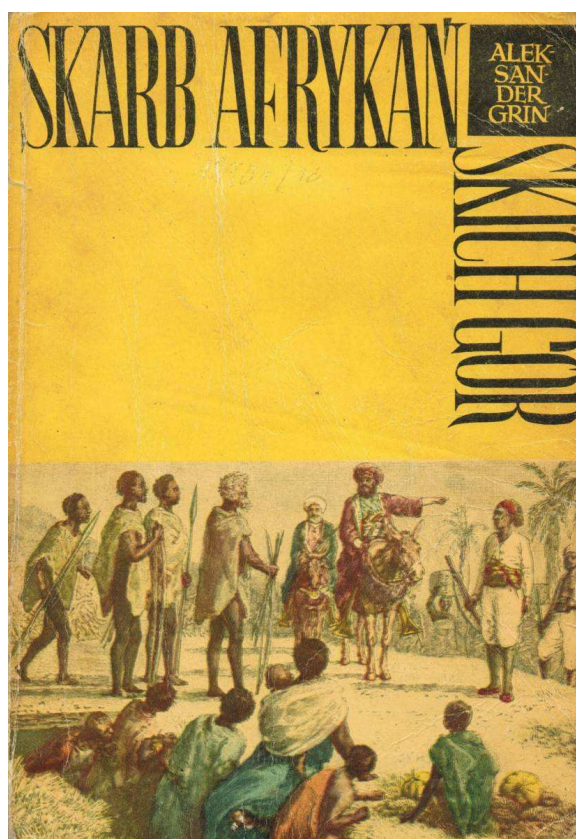


ALEKSANDER GRIN

SKARB AFRYKAŃSKICH GÓR

TYTUŁ ORYGINAŁU: СОКРОВИЩЕ АФРИКАНСКИХ ГОР
PRZEKŁAD: JANINA LEWANDOWSKA



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1960

Rozdział I

STANLEY UDAJE SIĘ W GŁĄB AFRYKI

Szesnastego października 1869 roku obywatel amerykański Henry Stanley, podróżnik i korespondent prasowy, mieszkający w Madrycie w hotelu „Walencja”, otrzymał telegram następującej treści:

„PROSZĘ O NATYCHMIASTOWE PRZYBYCIE DO PARYŻA SPRAWA PILNA

GORDON BENNETT”

Gordon Bennett, energiczny Amerykanin, był właścicielem gazety „New York Herald”.

Już po upływie dwóch godzin Stanley wsiadł do pośpiesznego pociągu i następnej nocy przybył do Paryża. Wprost z dworca udał się do „Grand Hotelu” i zapukał do drzwi pokoju zajmowanego przez Bennetta.

Owe drzwi, niczym nie różniące się od innych, otwały się i zamknęły z powrotem, lecz za nimi, w ciszy uspionego miasta, odbyła się między dwoma Amerykanami niezwykła rozmowa, która szybkością, zwięzłością i stanowczością przypominała pasaż fortepianowy w dolnym rejestrze.

Sprawa dotyczyła znakomitego podróżnika, doktora Dawida Livingstone'a, który w roku 1866 pojechał do Centralnej Afryki. Od roku 1869 zaczęto przypuszczać, że zaginął bądź też znajduje się w sytuacji wymagającej niezwłocznego udzielenia mu pomocy.

Z niezwykłą rzeczowością, charakterystyczną dla narodu zamieszkałego po drugiej stronie Atlantyku przy załatwianiu wszelkiego rodzaju spraw, Bennett polecił Stanleyowi, bez względu na koszty, odszukać Livingstone'a.

Stanley był zdziwiony — jeżeli zdziwieniem nazwać można wątpliwość co do celowości podobnej decyzji — lecz przemógł szybko to niezwykle u niego uczucie i wyraził swą zgodę, po czym obaj przystąpili niezwłocznie do omawiania praktycznych szczegółów przedsięwzięcia.

— Moja gazeta jest dla mnie więcej warta niż wszystkie kapitały Nowego Jorku — rzekł Bennett. — Nie dbam o wydatki, gdy chodzi o tak ciekawe informacje dla pisma.

Potwierdził ową zasadę szeregiem drobnych poleceń, wyrażonych tonem największej beztrioski, jeśli idzie o rozmiary naszej planety:

- 1) Stanley ma być obecny przy otwarciu Kanału Sueskiego;
- 2) ma popłynąć w górę Nilu i zebrać wiadomości o podróży Samuela Beckera do Górnego Egiptu;
- 3) pozostać przez pewien czas w Jerozolimie;
- 4) wstąpić do Konstantynopola po najnowsze wiadomości polityczne;
- 5) obejrzeć historyczne pola bitew na Krymie;
- 6) przeprowić się przez Kaukaz do Morza Kaspijskiego;
- 7) przejechać przez Persję do Indii;
- 8) i wreszcie z Indii udać się do Afryki na poszukiwania Livingstone'a.

To były owe skromne zadania, które Gordon Bennett, ziewając ze znużenia i paląc drogie cygara, przedstawił o brzasku tego paryskiego poranka Stanleyowi.

Wykonawszy wszystkie zadania zlecone mu przez wydawcę, szóstego stycznia 1871

roku Stanley przybył na wyspę Zanzibar na pokładzie amerykańskiego wielorybniczego statku i zaraz przystąpił do organizowania ekspedycji w celu odnalezienia znakomitego podróżnika.

W Zanzibarze zestawiał pięć karawan. Cztery wysłał nieco wcześniej w głąb kraju, tak obliczając ich marszrutę, aby każda podążała w pewnej odległości za poprzednią, sam zaś objął kierownictwo nad piątą. Prócz broni, przyborów do polowania, dwóch żaglówek (na wypadek przepraw przez rzeki), namiotów, siodeł, sprzętu kuchennego i zapasów żywności karawany te — składające się z przewodników, tubylczej eskorty, tragarzy i jucznych zwierząt — wiozły towar przeznaczony do wymiany na żywność w drodze. Murzyni nieśli na głowach podłużne toboły z amerykańskimi tkaninami, indyjskim niebieskim płótnem i muślinem, kolorowym barchanem, paciorkami i miedzianym drutem. To wszystko odgrywało wśród tubylców rolę pieniądza.

Szóstego lutego 1871 roku ekspedycja przybyła do Bagamojo *.

Osiemnastego wyruszyła pierwsza karawana złożona z dwudziestu czterech tragarzy i trzech żołnierzy.

Dwudziestego pierwszego — druga, licząca dwudziestu ośmiu tragarzy, dwóch nadzorców oraz dwóch żołnierzy.

Dwudziestego piątego — trzecia, składająca się z dwudziestu dwóch tragarzy, jednego białego, którym był eks-marynarz nazwiskiem Farkoogar, kucharza i trzech konwojentów oraz dziesięciu osłów.

Jedenastego marca — czwarta, licząca pięćdziesięciu pięciu tragarzy, dwóch przewodników i trzech konwojentów.

Dwudziestego pierwszego marca w piątej karawanie wyruszył z dwunastoma żołnierzami Stanley, zabierając ze sobą jednego białego nazwiskiem Show, również byłego marynarza, oraz krawca, kucharza, tłumacza, siedemnaście osłów i dwa konie, które otrzymał w darze od zanzibarskiego sułtana, i wreszcie psa.

Tak oto rozpoczęła się owa równikowa Odyseja, jedna z najbardziej udanych w dziejach badań nad Afryką.

Rozdział II

STANLEY I GENT

Karawana posuwała się wolno wśród dzikich zarośli kolczastych krzewów. Wóz zatrzymywał się często, ponieważ cierniste pnącza oplątywały koła. Wyczerpani tragarze przysiadali na niesionych przez siebie pakunkach, aby owinać gałganami poranione stopy. W miejscach gdzie zarośla były nie do przebycia, używano stalowych amerykańskich siekier.

Soczyste przekleństwa rozlegały się na pustkowiu. Ogólne zdenerwowanie i zmęczenie, spowodowane tym odcinkiem drogi, doszło do szczytu. Należało jednak bezwzględnie przebić się do niedalekiego już lasu, gdzie karawana miała zatrzymać się na nocleg.

Tragarze klęli *muzungu* ** osły i siebie nawzajem, krzyczeli, chwytając się za brzuchy i nie zwracając prawie uwagi na nawoływania przewodników.

Słońce chyliło się już za las. Powietrze pełne oparów i zaduchu gnijących roślin, ciężkie

* Bagamojo — port na wschodnim wybrzeżu Kanału Zanzibarskiego.

** Muzungu — biały naczelnik.

od woni mokrych kwiatów o fantastycznych kształtach i barwach, wywierających na Europejczykach niesamowite wrażenie — było powiewem tropikalnej Afryki. Zbliżała się pora deszczowa, straszna ze względu na rozmaite choroby, właściwe *mazice* *. Cały dzień spadały z nieba prostopadłe strumienie wody — ohydny, ciepły deszcz. Pod wieczór ulewa ustała, pozostawiając błoto i pokrywając ziemię śliskimi kałużami, w których odbijały się chmury.

Dzięki uporczywym wysiłkom zmęczona karawana dotarła wreszcie do skraju lasu.

Rozbito namioty. Nad ogniskami gotowała się w wielkich kotłach kolacja. Murzyni, zgromadzeni przy ogniu, rozprawiali na temat wydarzeń dnia i pletli naiwne i niestworzone historie o kraju białych ludzi, skąd przyszedł pan, który ich wynajął i prowadził w samo serce Czarnego Łądu.

W namiocie naczelnika ekspedycji paliła się świeca, a na słabo oświetlonym płótnie rysowały się dwa cienie; jeden z nich należał do Bombeya, dowódcy murzyńskiej eskorty. Przy wejściu siedział czarny, bosy wojownik i nucąc monotonną pieśń przytykał palcami o kurek karabinu.

Specjalny korespondent amerykańskiej gazety, Henry Stanley, ulokował się przy polowym stoliku. Przed nim stał talerz z resztkami mięsa i bobu na słoninie, dzbanek i szklanka gorącej kawy. Stanley, paląc, zapisywał w dzienniczku szczegóły ostatniej przeprawy. Bombey siedział na rozpakowanym tłumoku, z nogami po turecku, i czyścił starą, srebrną pochwę.

Był to Arab w podeszłym wieku, drobny, o suchej, nerwowej twarzy, chytrych ustach i oczach, w których wyraz sztucznej tępoty maskował jego prawdziwy charakter.

— Halib Dżemal ** robił lekarstwa, panie — mówił Bombay tonem wyrażającym upór. — Nazbierał czaszek Wagenzich *** i wziął je ze sobą. Z czaszek robił lekarstwa.

— Bzdury! — zachnął się Stanley. — Przeszkadzasz mi pisać.

Bombey uśmiechnął się chytrze i po krótkim milczeniu zaryzykował jeszcze jedną wypowiedź na ten temat:

— Uderzał w czaszkę, a potem dłuwał w otworze.

— Bombay — przerwał mu Stanley — jeśli chcesz, opowiesz mi jutro o czaszkach Burtona, ale dziś, proszę cię, daj temu spokój. Idź zobaczyć, czy nakarmiono mojego konia, i daj proszek chininy Sarbokowi.

Bombey wyszedł. Stanley pisał jeszcze przez jakiś czas, po czym odłożył pióro, upił łyk kawy i zamyślił się. Denerwowało go wiele spraw związanych z podróżą. Z lasu dobiegało złowrogie wycie hien, nawoływania nocnych ptaków i jakieś nieokreślone szmery, jakby westchnienia gęstwiny, które swym na pół ludzkim, tajemniczym gwarem budziły wspomnienia bajek zasłyszanych w dzieciństwie.

Było chłodno. Stanley dopił resztę kawy i skreśliwszy szybko kilka wierszy w zeszycie, zamknął go wreszcie. Następnie nabił fajkę tytoniem i osnuł się chmurą dymu.

Przed namiotem rozległy się szybkie kroki *karangoziego* ****. Wszedł, skłonił się z powagą i oznajmił, że jakiś nieznajomy przyszedł z lasu i pragnie widzieć się z *muzungu*. Jest to również biały, ma długą brodę i dobrą broń. Siedzi przy ognisku.

— Przyrowadź go tutaj — rozkazał Stanley i czekał, zwrócony ku wejściu. Za namiotem odbyła się krótka, niezrozumiała rozmowa; głowa przewodnika ukazała się na moment w otworze namiotu i znikła, a czyjaś ręka rozchyliła przemokłe płótno i wszedł wysoki mężczyzna. Ruchy jego znamionowały zręczność i siłę. Ubrany był w skózaną bawolą kurtkę, czapkę ze skóry czerwonej antylopy, spodnie z mocnej, białej tkaniny i buty z cholewami. U pasa zwisał rewolwer dużego kalibru, spoza ramienia zaś wystawał doskonały angielski sztu-

* Mazika — arabska nazwa afrykańskiej zimy, pory deszczowej.

** Halib Dżemal — arabskie przydomko podróźnika Burtona, który gromadził kolekcje czaszek i wskutek tego uchodził za czarownika.

*** Wagenzi — Murzyni.

**** Karangozi — przewodnik.

cer. Nieznajomy ściągnął go i postawił w kącie, po czym zdjął czapkę i skłonił się swobodnym, krótkim ruchem.

Gdy zbliżył się do światła, padającego od płonącej świecy, Stanley bystro zajął mu w twarz, a przekonawszy się, że ma przed sobą prawdziwego Europejczyka, powstał ze składanego krzesła.

W życiu swym widywał rozmaitych ludzi, jednakże wygląd przybyłego wydał mu się nieprzeciętny. Długa, ciemna broda i wąsy całkowicie niemal zakrywały surowe usta, ale górna część twarzy odznaczała się niezwykłą wyrazistością i regularnością rysów. Wysoko zarysowane, proste brwi były zrosnięte, a cienki nos przedłużał z profilu linię szerokiego czoła znamionującego niepospolity umysł. Mrużył lekko łagodne, ciemne oczy, co nadawało czujnemu spojrzeniu wyraz przenikliwości. Czarne włosy opadały spletaną grzywą na kołnierz kurtki.

— Nazywam się Gent — rzekł po prostu. — Pan jest *mister* Stanley? Dobry wieczór.

Podróżnik odpowiedział na powitanie i wskazał przybytemu krzesło. Obaj usiedli. Po krótkim milczeniu przemówił Gent:

— Celem pańskiej wyprawy jest odnalezienie Livingstone'a?

— Tak jest — odparł Stanley. — Wydawca „New York Herald”, Gordon Bennett, obarczył mnie zaszczytnym zadaniem odszukania sławnego podróżnika. Będę szczęśliwy, jeśli nie zawiodę okazanego mi zaufania.

— Czy ma pan już jakiś plan?

— Bardzo nieokreślony. Jadę do Tanganiki, gdzie znajdę się w węzłowym punkcie wypraw Livingstone'a. Tam będę go szukał wypytyując ludność i kupców. Od roku 1866 brak o nim jakichkolwiek wiadomości. Przypuszczam, że będę zmuszony zatoczyć w tych okolicach wielki krąg, lecz odnajdę go z pewnością.

— Tak — skinął głową Gent. — Ale i ja również muszę się koniecznie widzieć z zaginionym bohaterem. Bo przecież tacy ludzie to bohaterzy, prawda?

— Tak, *mister* Gent, to prawda.

— Zwracam się do pana z prośbą, aby zechciał pan przyjąć mnie do swej karawany. Jestem dobrze obznajmiony z polowaniami w Afryce, znam tutejsze warunki, przyrodę i klimat oraz Murzynów, mogę być panu w pewnym sensie pomocny, jeżeli mi pan na to pozwoli. Jestem odporny na wszelkie trudy i niewymagający. To nie samochwalstwo z mojej strony, ale coś w rodzaju „mówionego paszportu”. W drodze pozna mnie pan lepiej. Co pan sądzi o mojej propozycji?

Stanley położył przed Gentem fajkę i tytoń i podsunął gościowi szklankę kawy. Ruchy te złagodziły nieco naprężenie wywołane propozycją Genta. Stanley był ostrożny.

— Korespondent jest ciekawy — odezwał się wreszcie — tylko w zakresie swoich zainteresowań. Toteż nie ciekawość, lecz wyłącznie wzgląd na sytuację, w której się znajduję, upoważnia mnie do postawienia panu pewnych pytań, *mister* Gent. Od odpowiedzi pana uzależnię moją odpowiedź „tak” lub „nie” w sprawie pana uprzejmej propozycji. Nie będę ukrywał, że potrzebuję w podróży wiernych, śmiałych i zdecydowanych towarzyszy. Wszyscy dawni kompani Burtona i Speke'a, których odszukałem w Zanzibarze, to porządne łobuzy, tragarzy zaś muszę utrzymywać w karności najsurowszą dyscypliną.

— Uprzedzę pańskie pytania, opowiadając o sobie wszystko szczegółowo — odpowiedział Gent zapalając fajkę. — Szczegółowo, w sensie dokładności, a nie gadulstwa.

— Dobrze, bardzo pana o to proszę.

— Doskonale. Niech pan spojrzy na to — Stanleyowi wydało się, że w rękę gościa zapłonęła druga świeca. Gent podawał mu pierścień w kształcie kwadratu z okrągłym otworem wewnątrz, wykonany z masywnego złota w starym wschodnim stylu. Oprawę brylantu, ważącego jakiegoś piętnaście do dwudziestu karatów, pokrywał starodawny cyzelowany wzór. Sam brylant był nieprawidłowo oszlifowany, lecz dzięki jakiejś optycznej sztuczce posiadał nie-

zwykły blask, po prostu sypał tęczowymi iskrami. Gdy podróżnik, uśmiechając się bezwiednie na widok cudnego kamienia, oglądał pierścień, Gent rzekł:

— Pokazuję go panu na dowód prawdziwości mego opowiadania o sobie i o mych zamiarach. W mojej sytuacji najmniejszy szczegół nie jest zbędny.

Schował pierścień i spojrzał pytająco na Stanleya.

— Proszę mówić. Skłonny jestem panu wierzyć — powiedział Stanley.

I Gent zaczął opowiadać. Była to półtoragodzinna rozmowa, prowadzona półgłosem. Od czasu do czasu Stanley zadawał jakieś pytanie i za każdym razem otrzymywał zwięzłą i ścisłą odpowiedź. Gdy skończyli, Gent zamyslił się i pykał z fajeczki, oblicze zaś Stanleya wyrażało podziw i sympatię.

Upłynęło kilka chwil. Skądś dobiegło rzenie spętanego konia. Świeca dogasała.

— Jest nas w karawanie dwudziestu pięciu — przerwał wreszcie milczenie Stanley. — Pan będzie dwudziestym szóstym, Gent!

— Dziękuję! Ale tylko pod warunkiem, jaki postawiłem.

— Tak. Zgodnie z pana życzeniem nie wspomnę o panu i o pańskim udziale w wyprawie nikomu — ani słowem, ani w liście.

— Raz jeszcze dziękuję. Gdzie mam spać tej nocy?

— W namiocie Showa. Od jutra będzie już pan miał własny namiot. Proszę iść ze mną, *mister* Gent.

Wyszli. Do opuszczonego namiotu zajrzał pełniący właśnie wartę Wagenzi. Nachylił się i bystrym spojrzeniem obrzucił znajdujące się tu przedmioty, po czym ścisnąwszy karabin kolanami, śpiesznie wypił kilka łyków słodkiej kawy z dzbanka, ściągnął okazałą garść tytoniu z leżącej na stole paczki, wycofał się zwinnie na swoje miejsce i podjął przerwana pieśń o złej, lecz wspaniałej ziemi, której był synem.

Jeżeli chcemy się dowiedzieć, co Gent opowiedział Stanleyowi, musimy cofnąć się do chwili, kiedy podróżnik Dawid Livingstone rozpoczynał swoją długoletnią wędrówkę po Afryce.

Rozdział III

FEBRA

W roku 1866 jedną z ulic Zanzibaru szedł, a raczej włókł się z trudem, biały człowiek lat około trzydziestu, co chwila opierając się ręką o ściany domów i przysiadając na kamieniach. Poprzez opalenizną przebijała chorobliwa bladeść jego twarzy. Porwane ubranie mogło wprowadzić w błąd mało spostrzegawcze oko i nie pozwolić dostrzec inteligentnej twarzy przechodnia. Mimo upału, dochodzącego w południowym słońcu do 60° Celsjusza, biały trząsał się w napadzie dreszczów. Było widoczne, że siły go opuszczają. W pewnej chwili osunął się na ziemię pod zamkniętą na cztery spusty bramą arabskiego domu, wymamrotał jakieś przekleństwo i legł pod murem, obserwując bez zainteresowania gryzące się między sobą, wychudłe psy. Pomacał ręką kieszeń i wy dostał z niej garść okruszyn chleba, jakiś guzik i ołowianą plombę.

— Gdybyż to choć jeden miedziak! — mruknął. — Co prawda wcale mi się nie chce jeść, ale przecież zdechnę z wycieńczenia!

Minęła go grupa muzułmańskich kobiet, po same oczy owiniętych w pasiaste opończe, niosących na plecach miedziane dzbany i tłumoki z brudną bielizną. Przebiegł mały Murzy-

nek ściskając między zębami monetę. Psy przestały się gryźć i pokładły się, wyciągnawszy jęzory. Z portu dobiegało wycie syreny odpływającego do Indii statku. Chory przymknął oczy i od razu opadły go gorączkowe majaki.

Wydało mu się, że widzi kabriolet, bat woźnicy i wielki cień padający od marmurowego portyku, przez który, wysiadłszy z kabrioletu, wchodzi wysoki, biało ubrany mężczyzna.

— Przeszłość wydaje się lepsza, gdy jest już przeszłością — zamruczał w malignie chory.

— Czyżby? A to dlaczego? — rozległ się niespodziewanie jakiś głos.

Leżący drgnął i odwrócił głowę.

Przed nim stał człowiek nie pierwszej młodości, ubrany w prosty strój myśliwski pośledniego gatunku. Jego niezbyt pociągająca, duża twarz, obrośnięta siwiejącym zarostem, miała w sobie coś z lwa. Spojrzenie szarych, przenikliwych oczu odznaczało się dziwną siłą, przed którą nawet tłum musiałby się cofnąć.

Chory odparł z ociąganiem:

— Dlatego, *sir*, że od nas samych zależy, czy chcemy ją przeżywać, czy nie; to najważniejsze. Po drugie, przeszłość jest bezcielesna, niematerialna. — Usiadł z wysiłkiem i objął rękami drżące kolana. — Można w niej przebierać, niczym w szkatułce pełnej śmiecia i klejnotów, bez obawy, że odczuje się na nowo zmęczenie, spowodowane chodzeniem czy rozmową. Minione przeżycia nie zagrażają nam już chorobą albo głodem. Idą w zapomnienie, zacierają się sprawy nieistotne i przykre. Jak by to było dobrze, gdyby terażniejszość, a także przyszłość, wolne były od tego balastu!

Nieznajomy uśmiechnął się. Uśmiech momentalnie zmienił jego twarz, nadając jej miły wyraz. Chory uśmiechnął się również.

— Ludzie w moim położeniu skłonni są do filozofowania — rzekł w zadumie.

— Pan jest chory?

— Tak.

— Co panu jest?

— Malaria. Nie pozwala mi pracować.

— Gdzie pan pracował?

— W porcie.

— Kim pan jest?

— Jestem Gent...

— To tylko nazwisko.

— Tak. Ale nie sądzę, aby potrzebna była panu moja biografia.

— Gdzie pan mieszka?

— U tubylca sklepikarza.

— Daleko?

— Nie, niezbyt daleko.

— Chciałbym coś zrobić dla pana. Niech pan wstanie.

Myśliwy ujął Genta pod pachę, wykazując przy tym nieprzeciętną siłę, i postawił go na nogi. Podtrzymując go, rzekł:

— Niech pan spróbuje iść.

— Dokąd?

— Do siebie.

— Dziękuję — powiedział krótko Gent.

Ruszyli płataniną krzywych uliczek. Przed małym, brudnym domkiem Gent zatrzymał się i zapukał do furtki. Po chwili oczekiwania otworzył im stary Arab i pokiwawszy głową na widok Genta, cmoknął ze współczuciem.

— Chory, bardzo chory! — rzekł. — Oczy niedobre!

Postał przez chwilę, po czym zniknął za niskimi drzwiami zawieszonymi matą. Na

podwórku sterczały dwie cherlawe palmy, sterty śmieci po kątach ziały ohydny fetorem. Gent obszedł dom. Z tyłu znajdowała się otwarta, kamienna przybudówka bez drzwi, do której wchodziło się przez półkolistą framugę. W tym nędznym pomieszczeniu stał drewniany stół i przysunięta doń ława, a pod ścianą wyrko zbite z desek i przykryte trzciniową matą. Na stole widać było kilka glinianych naczyń, fajansową filiżankę i składany nóż.

Gent od razu położył się z westchnieniem ulgi. Jego gość rozglądał się uważnie dokoła i potrząsał głową, jakby mówił do siebie: „Tak, ciężka sytuacja”.

Obrzucił Genta bacznym spojrzeniem i ze słowami: „Wracam niebawem” — opuścił izbę.

Nieobecność jego trwała ponad pół godziny. Przez ten czas Gent rozmyślał nad dziwnymi kolejami ludzkich spotkań, które nierzadko stają się przyczyną nagłych zwrotów w życiu. W danym wypadku okręt przeznaczenia Genta nie miał prawdopodobnie zmienić kursu, lecz prawdopodobieństwo to mogło być złudne. Zdarza się przecież, że następstwa przypadkowego spotkania dają się odczuć dopiero o wiele później, niekiedy po całych latach.

Zmęczony rozmyślaniami, chory zapadł w drzemkę, ale ocknął się wkrótce — zbudziły go kroki powracającego myśliwego. Gent ujrzał, że dziwny ten człowiek rozpakowuje spore zawiniątko. Zawierało ono herbatę, cukier, kawę, białe suchary, sardynki, brzoskwinie, puszkę skondensowanego mleka oraz kilka butelek sodowej wody.

— Granaty proszę przekroić i włożyć do wody; otrzyma pan w ten sposób smaczny, kwaskowaty napój. Chininę trzeba zażywać trzy razy dziennie po dziesięć granów, po jedzeniu.

Przybysz milczał przez chwilę, pyknął z fajki, po czym odezwał się znów tonem pozabawionym jakiegokolwiek sztuczności, co dodało jego słowom niezwykłej, ujmującej prostoty:

— Widzi pan, kładę na stole pięćdziesiąt gwinei. Aż do wyzdrowienia niech się pan postara obejść tą sumą. Pan śpi?

— Tak — odrzekł Gent — a pan jest moim sennym widziadłem...

— Dobrze. Niech mi pan teraz opowie swoje dzieje.

— Jednak — powiedział Gent z pewnym ociąganiem — proszę mi wybaczyć chęć dowiedzenia się, komu będę miał zaszczyt opowiedzieć tę nudną historię...

— Jestem Dawid Livingstone.

Gent z niezwykłym zdumieniem spoglądał na słynnego podróżnika.

— Jeśli nie jest to zwykłe podobieństwo nazwisk — odezwał się wreszcie — oznacza to, że rozmawiam z człowiekiem, który od trzynastu lat przebywa jako badacz w Centralnej Afryce?

— Tak, tak! — Livingstone niecierpliwie strzepnął palcami. — Już mi się to porządnie sprzykrzyło, ale nie zaznam spokoju, dopóki nie osiągnę mego celu. No, ale mówmy o panu.

Gent przekroił granat i napełnił usta czerwonym miąższem, rozkoszując się jego orzeźwiającym, aromatycznym, kwaskowatym smakiem.

— Kiedyś — zaczął mówić — miałem tyle tysięcy funtów, ile jest pestek w tym granaście, panie Livingstone! Byłem sam. Sam na sam ze swoim bogactwem. W końcu miałem go dość, mówię to panu szczerze. Przytłaczały mnie moje posiadłości ziemskie, pałace, fabryki i zakłady przemysłowe. Dusilem się w dżungli różnych wspaniałych przedmiotów, mebli, cennych zbiorów, klejnotów, złota i tysiąca wygod życiowych. Miałem mnóstwo rozrywek, z których największą przyjemność sprawiało mi ścinanie kijem przydrożnych łopianów. Mój umysł był stale zachwaszczony jakimiś niepotrzebnymi sprawami.

Ale niekiedy urządzałem sobie święto, kupowałem bilet i wyjeżdżałem z pięcioma szylingami w kieszeni. Tym sposobem od czasu do czasu pracowałem w kolejowych bufetach, pasalem owce, budowałem koszary dla wojska, byłem palaczem na okręcie, obchodziłem podwórka z małą, rąbałem drzewo, handlowałem przyborami do lutowania i miałem się wielu innych prac w tym rodzaju.

Tak. Może się to panu wyda dziwne, ale przez całe życie miałem pociąg do włóczęgi, do takich sytuacji, w których człowiek zdrowy i mocny zależy wyłącznie od siebie i swoich sił. Lubiałem stwarzać dystans między życzeniami a możliwością ich zrealizowania. Zgłodniały, jadłem chleb ze słoniną, popijając kwaśnym winem. Wystawny obiad przy sytym żołądku w porównaniu z takim menu wydawał mi się wstrętą miksturą. Gdy podarłem spodnie, kupowałem na bazarze po zawziętym targu nowe i wydawało mi się, że całe miasto mnie podziwia. Myłem się nie w marmurowych łazienkach paryskim mydłem, ale w blaszanych miskach i wtedy, dopiero wtedy, panie Livingstone, doznawałem najwyższego zadowolenia, widząc, jak od łokcia po dłoń, niby atrament spływała tłusta, węglowa sadza odsłaniając białą, napiętą skórę, pokrywającą mięśnie. Nareszcie byłem wolny — tak w myślach, jak i w poruszaniu się i w wyborze miejsca pobytu.

Toteż gdy kilka kolejnych kryzysów ekonomicznych dało mieszkańcom Europy radośną możliwość nabywania szczyryków i stalówek o parę pensów taniej, a sprytni ludzie postarali się o wykupienie moich weksli — mój administrator zjawił się przede mną z grobową miną. Wysłuchałem wszystkiego, co miał mi do powiedzenia, to jest, że o godzinie dziesiątej minut pięćdziesiąt pięć rano, dnia dziewiątego lipca 1864 roku, zostałem żebrakiem, po czym zwolniłem go z jakąś dziwną promiennością w duszy, podobną do upojenia po świetnym koncercie.

Co prawda zostało mi coś około tysiąca pięciuset funtów, ale nabyłem za nie niewielki szkuner i zacząłem wozić śledzie. Trwało to trzy miesiące, aż pewnego mglistego dnia ostra rafa rozpruła wnętrze mojego „Gladiatora”. Wypadek ten pozwolił śledziom powrócić na łono ojczyzny, mnie zaś, po solidnej kąpieli, zmusił do szukania schronienia w charakterze majtki na statku „Kist”. Później przerzuciłem się ze statku na statek, pływałem wszędzie tam, gdzie miałem akurat ochotę, aż wreszcie, jak pan widzi, osiadłem z powodu zwichniętej nogi w Zanzibarze. Febra to już późniejszy nabytek. Tutaj odpoczywałem przez pewien czas jako afrykański *lazzarone* *, dopóki nie przejadłem ostatniej gaży i nie dostałem dodatku 4° do normalnych 36° wewnętrznej ciepłoty. Oto wszystko.

— Mało, ale dobre! — zaśmiał się Livingstone. — Proponuję panu przyłączenie się do mojej ekspedycji!

Gent z radością uniósł się na łokciu.

— Jestem chory, mister Livingstone — powiedział — ale pańska propozycja jest dla mnie niezwykle cenna!

— Nasze karawany wyruszają za dziesięć dni, proszę postarać się wyzdrowieć do tego czasu. Bardzo pragnąłbym mieć pana z sobą. Oto mój adres. — Skreślił kilka słów na wizytówce i podał Gentowi. — Teraz odchodzę. Życzę panu szybkiego powrotu do zdrowia!

Włożył kapelusz i wyszedł. Gent pozostał sam.

Gdy ucichły ciężkie, miarowe kroki, Gent wziął suchar i zaczął go machinalnie żuć, po czym popił łyżką skondensowanego mleka. Następnie zakrył ręką oczy, a gdy odjął od rzęs wilgotne palce, jego opinia o Livingstone był ugruntowana.

— To jest człowiek! — wyszeptał kładąc się z powrotem. — Gdybym był profesorem medycyny, wydałbym podręcznik pod tytułem „Leczenie metodą przyjemnych wrażeń”. Doprawdy, czuję się o wiele lepiej!

* Lazzarone (włoski) — włóczęga, żebrak.

Rozdział IV

ŁOWCY SŁONI

U wejścia do hotelu „Zambezi” drzemał oswojony gepard *. Na nosie siadła mu mucha. Zmarszczył się i kocim ruchem łapy spędził owada. Wylegając się leniwie, drapieźnik przez zmrużone powieki pogardliwie spoglądał na osiem par nóg obutych w olbrzymie buciory, które niezgrabnie przeskakiwały przez jego cętkowane cielsko, i oblizywał łapę.

Osiem par nóg skierowało się w stronę okna wychodzącego na wybrzeże i ulokowało wokół stołu. Właścicielami ich byli myśliwi, poszukiwacze kości słoniowej. Zrobiwszy między sobą zbiórkę, zakupili sprzęt niezbędny do myśliwskiej wyprawy i przyszli tu wypić za pomyslną przedsięwzięcia.

Główną osobą w tym towarzystwie, a jednocześnie jego duszą i wodzem, był stary Holender Van Land, chudy, zgarbiony, żylasty, o długich uszach, zwinny jak wąż. Człowiek ten, pokonując swoje sześćdziesiąt pięć lat przez nieustanne hartowanie niespożytego organizmu, był posiadaczem dwojga wyblakłych niebieskich oczu; ich suchy blask przypominał niebo w zamglony upał dzień. Siwe włosy rozwiewały się nieporządnie wokół wyschniętej twarzy, na której sterczały kości policzkowe, obciążone ciemną, pomarszczoną skórą. Towarzyszami starego byli ludzie rozmaitych narodowości, silni, okazałej budowy, ze znakomitą obojętnością odnoszący się do wszystkiego, co nie dotyczyło polowania, wódki i pieniędzy, z wyjątkiem jedynie młodego Van Busha, dość oczytanego i obdarzonego żywą inteligencją.

Rozmowa toczyła się wokół spraw zawodowych. Służący przyniósł kilka butelek koniaku i zakąskę w postaci bananów posypanych mialkim cukrem i polanych zimną śmietanką. Van Land zaczął rozmowę na temat ceny słoniowych kłów z jakimś kupcem, który przysiadł się do kompanii. Kilku myśliwych potasowało talię kart i wydobyło złote monety, a pozostali jedli, pili i śpiewali.

W tym momencie do stołu podszedł Gent. Jego choroba przeciągnęła się, a w dodatku wystąpiły komplikacje, tak iż zamiar wyruszenia z karawaną Livingstone'a spełził na niczym. Gent przeleżał sześć miesięcy w szpitalu.

Przyszedł do zdrowia, cztery lata spędził na takich mniej więcej zajęciach, o jakich opowiadał Livingstone'owi. Przez ostatnie pół roku był majtkiem na „Newadzie”, wielkim statku oceanicznym, który pływał między Suezem a Przylądkiem Dobrej Nadziei. Było mu jednak widocznie sążone, aby Zanzibar odegrał znowu rolę w jego życiu, ponieważ statek zawiął tu celem dokonania remontu w doku, a załogę zwolniono.

— Panie myśliwy — zwrócił się Gent do Van Landa — chcę zaproponować coś panu i pana towarzyszom: przyjmijcie mnie do swego grona. Jestem myśliwym, tak jak pan.

Gent nosił ubranie marynarza, toteż kilka osób z kompanii wybuchnęło bezceremonialnym śmiechem, a pozostali przyglądali mu się z niedowierzaniem.

— Czy polował pan już kiedy na słonie? — zapytał ironicznie Van Land. — Czym je pan ogłuszał? Pięścią? Kijem? Straszakiem? A może łapał je pan w sidła na przepiórki?

— Ubiłem jednaście indyjskich słoni — odparł spokojnie Gent, gdy ucichł grzmot śmiechu wywołany pytaniem Van Landa. — Były wśród nich dwa samotniki **. Polowałem razem z sir Reginaldem Sherleyem, angielskim posłem, i uczestniczyłem w kilku polowaniach urządzanych przez radzę Baganpuru, ale sześć sztuk zabiłem sam jeden, bez udziału

* Gepard — odmiana lamparta. Dawniej myśliwi afrykańscy używali do polowań gepardów, tak jak w Europie poluje się z psami.

** Samotniki — słonie błąkające się samotnie i szczególnie niebezpieczne.

innych myśliwych.

Śmiech zamilkł. Van Land, marszcząc sceptycznie brwi, zapytał:

— Lancasterem?

— Ciężkim sztuczerem Rayle'a, nadającym się na słońce — wyjaśnił Gent. — Słyszałem, że nadaje się także na nosorożce.

— To prawda — potwierdził stary. — Jeśli pan nie łże, to znaczy, że mówi pan prawdę. Powiem panu szczerze: jeden myśliwy więcej — to więcej upolowanych słońi. Zgadzam się pana zabrać, ale trzeba też na to zgody wszystkich.

Położył rękę na kartach, przerywając w ten sposób grę, a towarzystwo zaczęło się naradzać. Nikt nie zgłosił poważniejszych zastrzeżeń z wyjątkiem jednego z myśliwych, który oświadczył:

— Gadanie gadaniem, a robota robotą!

Natychmiast przyłączyło się do niego trzech innych.

— Trzeba przynajmniej przekonać się, jak on strzela! — odezwał się pierwszy sceptyk. — Dajcie mu moją strzelbę, a potem zadecydujemy.

— Niech pan idzie tam, pod okno! — rzekł Van Land podając Gentowi ciężki sztucer. — My będziemy patrzeć stąd. A oto cel: widzi pan tam za płotem, ze starej, nie używanej ławki wystaje żerdź z drewnianą gałką? Odległość od okna wynosi, jak przypuszczam, około dwunastu jardów. Niech pan celuje w gałkę.

— Trudny cel — zauważył Gent. — Ale spróbuję.

— Jeśli pan nie trafi, wskażę inny.

Gent wziął strzelbę. Wszedł na parapet okna i zeskoczył na podwórze.

W restauracji goście sfoczyli się przy oknie, robiąc zakłady i głośno udzielając strzelcowi rad.

Gent nacisnął spust. Gałka, przecięta kulą na pół, przekreśliła się i pochyliła, obnażając czarną linię gwoździ, którymi była przybita.

— Dobrze! — pochwalił Van Land. — Ma prawo polować na słońce. Ja mu wierzę.

Gent powrócił tą samą drogą i w milczeniu słuchał słów uznania.

— A więc widzicie, że umiem strzelać — zwrócił się do obecnych. — Nim zabiłem pierwszego słońia, wprawiałem się systemem Samuela Beckera: stawałem na szynach i schodziłem z nich dopiero w chwili, gdy nadjeżdżający pociąg był o pięć kroków ode mnie. Po takim wyczynie kolana drżą przez parę minut!

Później pito zdrowie nowego kolegi.

Następnego dnia Gent udał się po zakupy. Zaopatrzył się w nowy sztucer Rayle'a, dwururkową śrutówkę Lindersa, w kule zwykłe i rozrywające, w kapiszony, proch, pakuły, śrut i tłuszcz do smarowania broni. Hubka i krzesiwo, paczka woskowych świec, igły, nici, nożyczki, amerykański toporek, żelazny kociołek z pokrywką, cynowa miska i kubek, nóż składany i drugi myśliwski, plaster na rany, flaszka chininy, dziesięć kilo kawy, tyleż herbaty, dziesięć kilo tytoniu, fajka z ciemnego drzewa i dwa tuziny guzików — wszystko to, nie licząc uzbrojenia, było mu potrzebne do wyprawy.

Rozdział V

PIEZARA SKARBÓW

Po dwóch miesiącach wyprawa myśliwska Van Landa dotarła do jezior położonych w głębi kraju. Zaczęło się życie pełne trudów i niebezpieczeństw. Van Land odnosił się do Genta z surowym szacunkiem; wypadki w czasie podróży przekonały go szybko, że nowy towarzysz jest człowiekiem o wielkim doświadczeniu życiowym i trafnym instynkcie, który nie zawodził go w krytycznych sytuacjach. Poza tym Gent wykazywał tyle zimnej krwi i odwagi, że stary wyga był nim wprost zachwycony. Lecz prócz pewnego podobieństwa w trybie życia i osiągnięciach tych dwóch ludzi — istniało coś, co nie mając nic wspólnego z określonymi faktami, wyróżniało Genta spośród reszty myśliwych. Tym „czymś” był dziwny spokój wewnętrzny, którego nie sposób ukryć, podobnie jak nie sposób zataić radości, cierpienia czy smutku. Z tego powodu otoczenie odnosiło się też do Genta ze spokojną obojętnością. Początkowo nieco go to krępowało, ale później przyzwyczaił się i nie usiłował nawet ukryć pojawiającej się od czasu do czasu potrzeby pozostawiania sam na sam ze swymi myślami. W takich chwilach brał swojego „rayle'a” i szedł do lasu, by w jego ciszy szukać ukojenia dla smutnych wspomnień lub podświadomej trwogi — nieodstępnej towarzyszką samotnych ludzi.

Tak właśnie postąpił owego poranka, w którym było mu sądzone przeżyć niezwykle wstrząs.

Poprzedniego dnia myśliwi zatrzymali się nad jeziorem, przy ujściu niewielkiej rzeczki. Brzeg był błotnisty, a gnijąca trzcina wydzieliała przykry odór. Dalej ciągnęły się skaliste tarasy gór, które w perspektywie wydawały się kolorowe, z bliska jednak okazały się żółtawoszare. Ich kształty przypominały stosy bochenków chleba. Brak drzew nadawał temu skalistemu krajobrazowi ponury charakter.

Tu właśnie wybrał się Gent, pociągnięty niezwykłością okolicy, mającej w sobie coś pierwotnego. Chciał obejść część gór i powrócić na brzeg jeziora. Wziął sztucer, torbę z żywnością i brnąc po pas w wodzie celem ominięcia bagna, skierował się ku podnóżu skał. Rosły tu z rzadka baldaszkowate rośliny o pionowo rozpiętych gałązkach i grubych łodygach, a ze szczelin pomiędzy ponurymi, gładkimi głazami wyrastały kolczaste kaktusy.

Niebawem Gent pogrążył się w morzu oszlifowanych przez wody kamieni. Szedł poprzez nagie, skaliste wały i rozpalone słońcem parowy. Nad wszystkim panowała upalna, słoneczna cisza. Pozbawiona wszelkich oznak życia wśród falistych, masywnych, piętrzących się tarasów skalnych, odbijających nieznośny dla oczu blask słoneczny, cisza ta wprost dławiała. Rzekłbyś, ziemia w porywie gniewu zmusiła to miejsce do milczenia w zaklętym kręgu wiecznej śmierci. Kroki dźwięczały ponuro; nie było tu ptaków ani krzewów i tylko czasem kępka zakurzonego mchu, spalonego przez słońce, mówiła swym wyglądem o daremnym wysiłku przyrody stworzenia jakiejś formy życia na tym przeklętym obszarze.

Wdrapawszy się na pobliski pagórek, Gent zobaczył, że z drugiej strony zbocze przecięte jest stromym urwiskiem. Owa rozpadlina, a może i przepaść, nie miała więcej niż trzy metry szerokości. Za nią, ku północy, ciągnęły się nieprzerwanie takie same smutne zwały kamieni.

Doszedłszy do wniosku, że rozpadlina stanowi naturalny kres jego wędrówki, Gent postanowił zejść południowym zboczem nad jezioro, przedtem jednak usiadł nad urwiskiem, by się posilić szklanką wódki i sucharem z kawałkiem zimnego mięsa. Zaspokajał głód, z roztarżeniem spoglądając w przepaść. Jej wnętrze poorane było pionowymi rysami, które porastał mech.

Blask słońca, odbity od powierzchni gładów, nużył wzrok myśliwego, toteż z ulgą skierował go w cień. Gdy oczy oswoiły się nieco z mrokiem rozpadliny, zaczęły powoli rozróżniać szczegóły na przeciwległym stoku. Po chwili wypoczętym spojrzeniem Gent przeniknął mrok i zaczął przesuwając je niżej, aż zatrzymał na półkolistej, niezwykle prawidłowej, jak gdyby zakreślonej cyrklem linii. Zaczynała się dość wysoko, lecz dalej ginęła w gęstym cieniu, którego Gent nie mógł przeniknąć. Daremnie starał się odróżnić coś więcej. Dokładność i regularność linii wydała mu się nienaturalna, tym bardziej że wszystkie inne rysy i wypukłości ciemnych skał niezmiennie bieging pionowo.

Gent wyjął z kieszeni woskową świecę, odciął z niej niewielki kawałek i przymocowawszy go za pomocą pętli do sznura, zapalił improwizowaną latarnię i opuścił w dół aż do poziomu dziwacznej linii; jednakże małeńki płomyk nie mógł w żaden sposób rozjaśnić odwiecznego mroku. Chwiał się lekko i oświetlał tylko górną część sznura.

Gent zwinął go i poszukawszy kilku niedużych kamieni, rzucał je w przepaść, licząc czas ich spadania: raz... dwa... trzy... Gdy doszedł do jedenastu, usłyszał głuchy plusk wody. Wypełniwszy ten swego rodzaju „obowiązek” podróżników wobec przepaści, zaczął rozmyślać, w jaki sposób oświetlić półkolistą linię. Wreszcie znalazł wyjście. Odpiął wierzch skórzanej torby, wyciął zeń kawałek skóry, który napełnił prochem. Tak oto zmajstrował coś w rodzaju petardy, zaopatrzonej w szmaciany lont, który natarł uprzednio woskiem, aby spalał się powoli. Zapalił lont, opuścił sznur z przymocowaną petardą aż do poziomu zagadkowej linii i czekał.

Rozległ się huk; w ciemności na mgnienie oka błysnął jasny słup ognia i zgasł, po czym w przepaści zapanował znowu majestat nocy. Lecz w oczach Genta trwał obraz, jaki obnażył na moment płomień petardy. Półkole stanowiło górną część wielkiej kamiennej płyty — część dolna tworzyła linię prostą. Z wysokości skały płyta wydawała się nachylona swą górną częścią na jakieś dwie stopy. Była ociosana tak regularnie, że obecność jej tutaj, w miejscu tak pierwotnym i dzikim, należało przypisać dziełu rąk ludzkich. Od podstawy płyty ciągnęła się w dół nierówna szczelina. Prawdopodobnie płyta, tkwiąca niegdyś głęboko, wysunęła się na skutek trzęsienia ziemi, tworząc szczelinę i poszerzając wyrwę.

W ślad za wybuchem skórzanej petardy w umyśle Genta nastąpił wybuch rozmaitych uczuć. Nie wątpił, że płyta kryje w sobie tajemnicę; do jej odkrycia pchała go jakaś przemożna siła, nakazująca znaleźć wyjaśnienie — pragnienie niebezpieczne, lecz jakże właściwe ludzkiej naturze! Podniecony niezwykłym odkryciem — i podniecając się jeszcze bardziej, w miarę jak coraz uporczywiej o nim rozmyślał — Gent odszedł, aby zastanowić się w spokoju nad sytuacją. Nie zauważył, kiedy zszedł z góry, tak bardzo głowę jego zaprzętał plan wyjaśnienia tajemnicy. O odwróceniu kamiennej płyty wysokości sześciu stóp przy użyciu samych tylko mięśni nie mogło być nawet mowy; nie wystarczyłyby tutaj wysiłki jednego człowieka, co niezmiernie utrudniało zadanie. Gent nie miał bynajmniej ochoty wtajemniczać kogośkolwiek w swoje plany.

Po powrocie do obozu dowiedział się, że Murzyn, który podjął się służyć za przewodnika do miejsca odwiedzanego przez słońce, otrzymawszy tytułem zadatku pęk paciorków i butelkę wódki, przełożył tę zdobycz ponad ryzyko i przykrości niebezpiecznego polowania i nie zjawiał się więcej. Było to Gentowi bardzo na rękę. Znając tubylców, wiedział, że nikt z okolicznych wsi nie zechce zastąpić zbiega, a gdyby nawet znalazł się taki, to w każdym razie nieprędko, jako że każda sprawa wymaga u nich długiego namysłu.

Dlatego też Gent, przygotowawszy wszystko w ciszy nocy, znalazł się nad przepaścią o godzinie, o której brzask wschodzącego słońca jasną purpurą rozlewa się nad taflą jeziora i rozjaśnia łagodnym światłem tropikalny krajobraz. Przezroczystość powietrza nadawała ziemi fantastyczny wygląd: horyzont zdawał się unosić i falować w promieniach słońca. Znad wody dobiegały na wyżynę słabe okrzyki ptactwa.

Gent przystąpił do dzieła. Miał ze sobą sto stóp mocnego sznura, trzy funty prochu, sta-

lowe dłuto, młotek i kawał postronka nasyczonego tłuszczem zmieszany z prochem. Zrąbał w lesie młode drzewko grubości około pięciu cali i znacznie dłuższe niż szerokość przepaści. Przymocowawszy koniec sznura pośrodku tej żerdzi, na drugim jego końcu zrobił nieruchomą pętlę, którą owinął ubraniem. Żerdź przerzucił w ten sposób, że oba końce leżały w poprzek rozpadliny. Następnie — wzięwszy proch, dłuto, młotek i postronek — zawisł nad przepaścią i posuwając się po żerdzi, uwieszony na niej rękami, dosięgnął sznura. Po upływie niecałej minuty siedział już w pętli, przywiązanej do niej mocno rzemieniem od strzelby.

Teraz, oświetlając niewielką przestrzeń przed sobą, uważnie obejrzał płytę. Położono ją tu z pewnością bardzo dawno. Deszcze i wilgoć porządnie stoczyły jej krawędzie. Gent doszedł do wniosku, że rękami nigdy jej nie poruszy, twarde zaś gatunek skały nie pozwalał żywić nadziei na szybkie wyłobienie kanału, celem założenia miny.

Cał po calu zaczął wypatrywać w głębi rozpadliny i na wystających częściach płyty dogodnego wyłobienia, aby móc umieścić w nim ładunek prochu. Wreszcie wysiłki jego zostały uwieńczone powodzeniem: na samym dole — bądź to z powodu chropowatości powierzchni, bądź też z jakichś innych przyczyn — powstał szereg wyraźnych zagłębień. Przypominało to formę do pieczenia bab. Można było, przy pewnej zręczności, wsunąć tu rękę po łokieć między płytę i skałę.

Tymczasem Gentowi było bardzo niewygodnie na wiszącym siedzeniu. Przy każdym gwałtowniejszym ruchu huśtał się wraz ze sznurem i kołysał w niepokojący sposób. Toteż zmęczony tą niemal akrobatyczną pozycją, postanowił od razu wysadzić głąz, nie szukając dogodniejszego miejsca dla założenia ładunku.

Do kamiennych wgłębień pod płytę wsypał cały proch, licząc na to, że chociaż jej waga zdawała się niemała, to jednak trzy funty prochu też nie są bagatelką. Potem przyłożył lont i zapalił jego koniec, z którego od razu zaczęła się sączyć struga gryzącego dymu. Następnie wdrapał się na skałę i usiadł w oczekiwaniu wybuchu. W przepaści rozległ się huk i z siłą armatniego pocisku buchnął dym. Jednocześnie rozległ się łoskot sypiących się kamieni. Gent poczekał, aż dym się rozwieje, i zajrzał do przepaści. Płyta odsunęła się w swej górnej części od skały, przylegając doń jednak dolną. Teraz widać ją było wyraźnie. Myśliwy opuścił się w dół, zawisł na pętli, uchwycił się rękami górnej krawędzi płyty i całym ciężarem ciała wyszarpnął ją z posad. Płyta, odbijając się z łoskotem o skały, znikła w ciemności; dał się jeszcze słyszeć głuchy plusk wody i Gent stanął przed otworem kryjącym tajemnicę, przed wejściem do świątyni, skarbcza lub grobu.

Chwilę kołysał się w pętli, odwołując moment wejścia do jamy. Snucie domysłów sprawiało mu przyjemność. W tych igraszkach wyobraźni niepoślednią rolę odgrywały sklepienia tajemniczych pieczar, pełnych czarnej wody, w których blask pochodni oświetla dziwaczne kształty stalaktytów albo szkielety przedpotopowych potworów. Spodzielając się najbardziej zaskakujących niespodzianek, Gent podciągnął się ku skale i zajrzał do otworu, po czym wyprostował knot świecy i skrzesał ogień.

Przed sobą nie widział nic. Obmacał ścianę i stwierdził, że pochodzenie jej nie jest naturalne: żaden kaprys przyrody nie mógł spowodować licznych, charakterystycznych zadrapań i wyciosanych wnęk, będących dziełem żelaznego narzędzia. Posunął się naprzód. Wąskie przejście, którego wysokość nie przekraczała wzrostu człowieka, ciągnęło się na przestrzeni jakichś dziesięciu stóp; dalej znajdowała się przestronna grotta, której końca światło zrazu nie objęło. Myśliwy dopomógł walce ognia z ciemnością, odcinając kilka kawałków nawoskowanego postronka, które zapalił śpiesznie i przylepił do występu najbliższej ściany. Stopniowo oczy człowieka oswajały się z widokiem wyłaniającym się powoli i niewyraźnie z mroku, niby gromada ryb, gdy wypływa z głębiny na jasną powierzchnię wody. Wreszcie Gent nie miał już żadnych wątpliwości: znajdował się w sztucznej grocie o kształcie nierównego półkola, wypełnionej przedmiotami, których wartość mogła w głowie najspokojniejszego i najmądrzejszego człowieka wywołać bezładny zamęt cyfr. Potrafimy na rysunku przedsta-

wić odległość mili, dwóch czy dziesięciu; siłę dźwięku umiemy określić na podstawie armatniego wystrzału; bogactwo — stosownie do naszych pragnień; lecz ani olbrzymie odległości, ani huk tysiąca armat, ani skarby rozsypane w setkach kilogramów — choćby znajdowały się tuż pod ręką — nie mogą dać wyobrażenia o swej prawdziwej potędze.

Toteż Gent nie czynił zbędnych wysiłków. Obejrzał wszystko, wszystkiemu złożył należną dań bezinteresownego wzruszenia, pozbawionego nawet cienia owej szaleńczej radości, która towarzyszy zwykle odkrywaniu skarbów; spisał tylko wszystko swoim równym pismem, określając w przybliżeniu wagę i rozmiary bezcennych przedmiotów.

W najbliższym kącie, na lewo od wejścia, stało kilka glinianych, owalnych naczyń o grubych krawędziach, przykrytych i owiązanych na pół przegniłą skórą. Naczynia te sięgały Gentowi do piersi. Zerwał skórę, zanurzył rękę i wyjął garść pereł. Nawet mętne światło kaganka wystarczyło, aby uwydatnić barwy, którymi lśniły córy oceanu, i wydobyć wszystkie blaski, połyski i grę kolorów powstałe z zetknięcia się zwykłego kamyczka z wrażliwym ciałem mięczaka. Delikatna, jakby uduchowiona biel, tak ciepła, że zdawała się żywym, precudnym ciałem, mieniła się barwami porannych obłoków, tworząc jakąś bajeczną harmonię. Niektóre perły były wielkości orzechów. Większość, zaczerpnięta ręką Genta, nie przekraczała objętością ziarn dużego grochu, ale drobnych nie było tam w ogóle.

Gent oglądał dalej. Przechodził od jednego naczynia do drugiego, wszędzie odkrywając niezmiernie bogactwa. Większa część naczyń napełniona była drogimi kamieniami, przede wszystkim diamentami, oszlifowanymi dwustronnie w kształcie stożków. Błyszczały one jak oczy fantastycznych ptaków. Szafiry, rubiny i szmaragdy łączyły swe płomienie w ręce myśliwego, oświetlając jego szorstką, ciemną dłoń jasnym blaskiem. Gent wrzucił je z powrotem do glinianych naczyń, wsłuchując się w zimny dźwięk padających kamieni. Ich światło nużyło, urzekało i przyciągało, przenikało do duszy, budząc skomplikowane, drzemające na jej dnie uczucia.

Nieco dalej Gent natknął się na stopy srebrnych i złotych zastaw stołowych, godnych pierwszego miejsca w najwspanialszych muzeach. Ich wschodnia ornamentacja spletała arabski z ozdobami z drogich kamieni. Były tu różnej wielkości talerze, dzbany, kubki, czary i misy niewiadomego przeznaczenia. Wszystko to leżało ułożone w trzy rzędy, tworząc połyskujący, ciężki stos. Niektóre naczynia pełne były klejnotów w postaci bransolet, pierścieni, złotych blaszek, rękojeści kindżałów, kręconych i gładkich obręczy, przeróżnych ozdób głowy, sprzączek. Gent nie był w stanie obejrzeć wszystkiego. Poruszał się wolno, z trudem odrywając wzrok od jednego klejnotu, by zatrzymać go na innym. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył, była prosta, kamienna skrzynia pełna złotych monet. Gent przyjrzał się im pobieżnie, lecz zbyt trudno było mu ustalić pochodzenie tych nieprzebranych skarbów: wśród arabskich, perskich, hiszpańskich i indyjskich pieniędzy znajdowało się wiele francuskich i angielskich; choć szukał długo, nie znalazł monet późniejszych od złotych dukatów z wizerunkiem Henryka IV, toteż uznał skarb za szesnastowieczny.

Warto się zastanowić, ile ludzi na miejscu Genta zemdlałoby, dostało pomieszania zmysłów, a może nawet zmarło z wrażenia, nie wspominając już o niezwykłym, wyjątkowym wstrząsie, jakiego by doznali. W każdym razie nikt takiej próby nerwów nie przeszedłby bezkarnie. Gent jednak zniósł to przeżycie bardzo lekko. Jak już wspominaliśmy, był pozbawiony chciwości, a wzruszenie, jakie odczuwał, miało specjalny charakter. Rozmyślając o straszliwej potędze, która go otaczała, odgadywał tragedię milionów istnień ludzkich, tysięcy rodzin. Wyobrażał sobie wyprawy, rozboje, transakcje handlowe, rabowanie oszczędności biedaków. Wszystko to musiało dziać się w różnych krajach i w różnych okresach czasu, aż doprowadziło stopniowo do nagromadzenia nieprzebranych skarbów, składanych ongiś w jednym miejscu z wytrwałością i energią przez jakichś nieznanych ludzi. Gent zaczął już rozmyślać, w jaki sposób ruszyć ten skarb, wyrwać go z zacisza pieczary i zużytkować na naprawienie ludzkich krzywd. Powoli jednak umysł jego uspokajał się, opanowywał podnie-

coną wyobraźnię i podporządkowywał ją planom na wielką skalę. Coraz większy spokój ogarniał duszę Genta i kiedy nawoskowane knoty dopaliły się do wielkości dwucalowych ogarków, poczuł, że jest wyczerpany i głodny, że czas już odejść i że zawładnięcie skarbem nie pozostawiło na jego duszy najmniejszej skazy, nie licującej z jego zwykłą, obojętną postawą w stosunku do tego, co nazywamy panowaniem nad światem za pomocą wielkiego bogactwa. Lecz oto mimo woli stał się znowu bogaty i wybuchnął głośnym śmiechem, skoro zdał sobie z tego sprawę.

Raz jeszcze rozejrzał się wokół przeciągłym, zadumany spojrzeniem. Podeszedłszy do glinianego naczynia, wybrał kilka dużych diamentów i włożył je do kieszeni. Potem wziął garść złotych monet i wrócił na powierzchnię. Południowa godzina zastała go już w lesie; siedząc przy ognisku, piekł kawał mięsa dzika upolowanego w pobliżu strumienia. Skończywszy jeść powrócił do tajemniczego skarbcza i do wieczora sporządził dokładny spis drogocennych przedmiotów oraz w przybliżeniu oszacował zawartość glinianych naczyń. Gdy przy pomocy miarki przeliczył złote monety, stwierdził, że one same miały wartość jakichś pięćset tysięcy funtów szterlingów. Uporawszy się z tą nużącą pracą, starannie zatarł wszelkie ślady swojej bytności, żerdź razem z pętlą wrzucił do przepaści i jeszcze przed zachodem słońca znalazł się w obozie, gdzie zastał towarzyszy zajętych omawianiem czekającego ich polowania.

Trzeba nadmienić, że przed opisanymi tu wydarzeniami nieszczęśliwe wypadki spowodowały śmierć trzech myśliwych, którzy spoczywali teraz w opuszczonych mogiłach. Zwali się Peters, Helmind i Oruk. Petersa zabił ranny słoń, łamiąc mu trąbą kręgosłup. Zwierzę tak zmasakrowało zwłoki, że pozostała z nich tylko bezkształtna miazga. Helmind zginął niemniej okropną śmiercią — został zabity przez bawołu, który zmiażdżył pierś nieszczęśliwego w chwili, gdy ten przyklęknął i gotował się do celnego strzału. Lecz sztucer zaciął się i nie wypalił. Oruk utonął. W ten sposób liczba członków ekspedycji zmalała do pięciu, nie licząc Genta. Byli to dwaj Anglicy — ojciec i syn — Stephensonowie, pozostali zaś, tak jak Van Land, urodzili się w Holandii. Zwali się Van Bush i Kleben. Niech czytelnicy nie biorą nam za złe, że wtrącamy tu pewne szczegóły, które posłużą nam później za klucz do dramatu, spowodowanego rozmaitymi okolicznościami.

Ongiś Stephensonowie mieli szynk w Port Saidzie, a przy okazji zajmowali się paserstwem. Policja zmusiła ich do szukania sobie innego terenu działania. Szereg niepowodzeń zawiódł ich na służbę w faktorii prowadzącej handel z Murzynami. Marzeniem obydwu było zdobycie majątku i powrót do ojczyzny. Ojcu stuknęła już czterdziestka. Był to człek mało mówny i ponury, zagłębiany w rachunkach i wiecznie skłócony z synem, który cały swój zarobek topił w hazardowych grach. Syn żył nadzieją nagłego zwrotu fortuny i raz w Bagamojo został srodze pobity za próbę wskazania kapryśnej bogini szczęścia właściwej drogi przy pomocy piątego asa. Nierzadko ojciec i synalek upijali się i po pijanemu ponuro złorzeczyli sobie nawzajem.

O ile Van Bush był z natury namiętym myśliwym i od dzieciństwa pędził życie w lasach, komponując czasem wcale niezłe piosenki, o tyle trudno było zrozumieć, z jakich przyczyn Kleben porzucił swą rodzinę dla zawodu nie mającego nic wspólnego z jego poprzednim zajęciem.

W wieku lat osiemnastu Kleben zaczął pracować jako pisarz w kancelarii notariusza. Jego życie do lat trzydziestu upływało cicho i spokojnie. Aż nagle znikł tajemniczo. Niemniej tajemniczo została zamknięta kancelaria notariusza, przy czym pryncypał znalazł się w więzieniu za sfałszowanie testamentu na wielką sumę. Kleben ani nie napisał, ani nie zawiadomił rodziny o swym ewentualnym udziale w tej aferze, natomiast zjawił się pewnego dnia na rynku w Zanzibarze jako kupiec korzenny. W tym czasie ze starannego, kaligraficznego pisma pozostało już tylko wspomnienie, jego posiadacz zaś przedzierzgnął się w „ciemne indywiduum”. Po wielu niepowodzeniach Kleben zgodził się na służbę do pewnego myśliwego, Belga,

nazwiskiem Boisrobert, a następnie przyłączył się do kompanii Van Landa. Ten dziwny, nerwowy człowiek o cienkim głosiku, uważnym, łagodnym spojrzeniu i gęstej brodzie stał się doskonałym myśliwym. Swemu nowemu zawodowi oddawał się jednak bez najmniejszego zapału. Gromadził chciwie pieniądze, odmawiając sobie jakichkolwiek przyjemności czy rozrywek.

Van Land z usposobienia i powołania był typowym poszukiwaczem przygód. Żyjąc długo, zapomniał już wiele z przeszłości, lecz ani w sprawach zapomnianych, ani w tych, które pamiętał, nie istniały sytuacje dwuznaczne. Całym sercem oddawał się swym namiętnościom, które jednak nie miały wpływu na jego żelazny organizm, wiecznie na nowo zasilany ogniem nie starzejącego się serca i niezłomnej duszy. Był to gracz, pijak i włóczęga, namiętny i niezmordowany myśliwy, dla którego dalekie wyprawy stały się nawykiem tak naturalnym, jak sen i pożywienie; nie bawiąc się w słowa i długie monologi, do których tak skorzy są pretensjonalni nicponie, kochał przyrodę i na swój sposób rozumiał ją nie gorzej od zawodowych poetów. Tyle zapału wkładał w każdą wyprawę, że energią zarażał najbardziej obojętnych. Był znawcą natury ludzkiej i liczył się tylko z tymi cechami, które by jego samego nie odstręczyły — inne pomijał milczeniem i pogardą. Do Afryki przybył jako młodzieniec i w jej trujących, lecz cudownych dżunglach znalazł nową ojczyznę.

Z takimi oto ludźmi połączył swe losy Gent.

Wszedł do namiotu z błyszczącymi oczami. Van Land pierwszy zwrócił na to uwagę, pytając, czy przypadkiem, w tajemnicy przed towarzyszami, nie zabił kilku słoń. Gent nie kwapił się z wyjaśnieniami. Z uwagą przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą, rozważając sytuację, i mimo woli zadając sobie pytanie, czy nie narazi się na przykrości i kłopoty. Nie znał przeszłości swych przygodnych towarzyszy i nie pragnął jej znać, ale bliskie z nimi współżycie odsłoniło różnice poziomu moralnego między nim a resztą myśliwych. Raczej ich nie lubił robiąc wyjątek dla Van Landa, którego darzył milczącą sympatią za żywą bezpośredniość, dziecięce wady i młodzieńcze usposobienie przy siwych włosach.

— Panie Gent — odezwał się Van Land — ponieważ, jak widać, nie zabił pan słoń, ale za to skończył pan już swe tajemnicze spacerki, chcemy zapytać pana o zdanie. Otóż głosy są podzielone: Stephensonowie i Kleben są za przyjęciem pomocy Murzynów, ja zaś i Van Bush — za uczciwym polowaniem. Zaraz wyjaśnię, o co chodzi.

Gent dowiedział się, że wieczorem kompania zdobyła dwa wspaniałe kły za beczułkę prochu, skałkową strzelbę, pięć lusterek i butelkę wódki. Gdy zaczęli prosić Murzynów, aby przynieśli więcej towaru, król wsi, popiwszy sobie solidnie, oświadczył, że wódka to dobra rzecz i że jeśli dostanie całą beczułkę, urządzi polowanie z nagonką złożoną z tysiąca jego poddanych. W rzeczywistości polowanie proponowane przez pijanego czarnego despotę miało być czymś ohydny.

Odbywało się ono zazwyczaj w sposób następujący: tłum tubylców pod wodzą przewodnika okrążał w lesie stado słoń, samców i samic z małymi, czemu towarzyszyło ogłuszające wycie, bicie w bębny i potrząsanie grzechotkami. Przeżalone zwierzęta zaszywały się w leśny gąszcz, a wówczas Murzyni rozpalali ogniska, które nie pozwalały słońom przerwać w nocy pierścienia obławy, rankiem zaś zwalano dokoła stada olbrzymie drzewa, tworząc w ten sposób zasieki nie do przebycia. Tymczasem słoń, odcięte od wodopoju, cierpiały ogromnie z powodu pragnienia i po paru dniach zatracaly instynkt samozachowawczy. Murzyni wykorzystywali to, przynosząc pod zasieki napełnione zatrutą wodą pirogi. Umęczone słońie śpieszyły zaspokoić pragnienie i natychmiast ginęły od okrutnego poczęstunku. Silniejsze wpadały w stan otępienia i można było wszystko z nimi zrobić. Murzyni posługują się prymitywną bronią, toteż według opowiadań myśliwych, ciała nieszczęsnych, otępiałych olbrzymów, jeszcze zanim udało się je dobić, przypominały dosłownie sita. Wówczas następowała afrykańska uczta: Murzyni pławili się w krwi i grzebali w trzewiach swych ofiar, rwąc, krzając i wysysając ciepłe jeszcze mięso, pożerając łakomie całe kawały tłuszczu. Ze słońa pozostawał

szkielet, skóra, część mięsa i wnętrzności, a kły przechodziły na wspólną własność plemienia.

Proponując ten plan, kacyk miał na uwadze niedawno wytropione stado, składające się z ośmiu sztuk dorosłych i czterech jeszcze bezzębnych młodych. Van Land obiecywał mu beczułkę wódki za samo wskazanie miejsca żerowania stada, dzikus jednak odmówił w przewidywaniu, że polowanie bez jego „opieki” jest interesem niepewnym. I oto teraz myśliwi wiedli między sobą spór. Stephensonowie i Kleben żądali przyjęcia propozycji kacyka.

— Przecież w ten sposób sami odrąbiemy gałąź, na której siedzimy! — tłumaczył Van Land. — To będzie zwyczajny rabunek. Mordując samice i młode, w krótkim czasie wytrzebimy słonie w tej okolicy! A poza tym — dodał z błyskiem gniewu w oczach — to hańba dla myśliwych. Tak się nie robi, kamraci Stephensonowie i ty, Klebenie!

— Zbytńia wrażliwość, Van Land! — obstawał przy swoim Kleben. — Jesteśmy przecież ludźmi interesu. Potrzebujemy pieniędzy. Musimy zabić jak najwięcej słoni, i kwita!

— Dobrze mówi! — poparł go Stephenson-syn. — Ani mój ojciec, ani ja nie mamy podobnych skrupułów. Może pan, panie Van Land, ma czas czekać, aż młode dorosną. Diabeł z nimi tańcował!

— Nie! — bronił swego stary. — Nie warto paskudzić się dla kilku dodatkowych kłów. Zresztą spółka z dzikimi nie przyniesie nam żadnej korzyści. Oni nas wycisną jak cytrynę! Po tygodniu polowania z taką nagonką będziecie przeklinać, żeście się urodzili!

Gent słuchał z uwagą. W sporze zaczęto już sobie wypominać różne stare sprawy. Wtedy wstał i zabrał głos.

— Pozwólcie mi wypowiedzieć moje zdanie. Otóż prosty rachunek arytmetyczny od razu zakończy waśń. Powiedzcie mi, Stephensonowie, jaka suma zaspokoiłaby wasze pragnienia?

— Gdybym miał jakieś dziesięć — odparł po namyśle ojciec — no, powiedzmy dwadzieścia tysięcy funtów, to tak otrzepałbym podeszwy, że nie pozostałaby na nich ani grudka tutejszej ziemi! Zresztą pytanie całkiem niepotrzebne, mister Gent!

— Ale ponieważ ja będę żył dłużej od ciebie, muszę posiadać więcej! — zaprotestował syn. — Jesteś, tatusiu, niezwykle skromny! Czy nie widzisz, że mister Gent ma zamiar wystawić czek? Proszę wystawić i mnie — zwrócił się drwiąco do Genta — na sumę dwa razy większą niż dla mego ojca.

— Dobrze, zobaczę — rzekł Gent. — A pan, Klebenie?

— Do diabła z żartami! — przerwał Van Land. — Ja odchodzę!

Zerwał się gwałtownie, ale Gent powstrzymał go.

— Chwileczkę, to nie są żarty. Mówię zupełnie poważnie i przeczuję wasze zdumienie. Dajcie mi słowo, że żaden nie okaże zbytnej ciekawości i nie będzie mnie wypytywał, skąd wzięłam to, co wam dam za chwilę, a życzenia wasze zostaną spełnione. Mówiąc krótko: wszyscy, jak tu jesteście, spakujecie natychmiast manatki i odejdziecie z bogactwem w kieszeni.

Pięć par szeroko otwartych oczu wpatrywało się w Genta. Ton jego głosu był taki, że ogólne zdumienie wyraziło się w milczeniu pełnym napięcia. Przeczucie mówiło tym ludziom, że przemawiający tak śmiało Gent nie żartuje.

— Zgoda! — wyrwało się jednocześnie obu Stephensonom i już ich podstępne umysły zaczęły szukać sposobu, jak by tu nie dotrzymać obietnicy.

— Ja także się zgadzam — Kleben ruszył do przodu, ocierając się niemal o Genta, z którego nie spuszczał płonącego spojrzenia.

Van Bush i Van Land skinęli głowami.

Wówczas Gent wyjął z kieszeni pięć olbrzymich brylantów, położył zamkniętą dłoń na środku stołu i nagle rozwarł ją, ukazując zawartość, płonąca jasno w świetle słońca. Kamienie byty prawie jednakowej wielkości i najczystszej wody, wagi nie mniejszej niż dwadzieścia karatów. Garść ich, choć niewielka, rozbłysła oślepiająco i przesłoniła swym blaskiem cały

świat tym, którzy na nie patrzyli. Głośny okrzyk zachwytu, zmieszanego z pożądaniem, wyrwał się z piersi myśliwych. Na chwilę zapomnieli o Gencie. Nikt jednak nie dotykał brylantów, pragnąc jakby oswoić się najpierw z tak niezwykłą niespodzianką. Dopiero po chwili kamienie zaczęły krążyć z rąk do rąk, wywołując mnóstwo uwag, obliczeń, podniecenia i sporów. Uznano jednogłośnie, że wartość skarbu wynosi jakieś dwieście tysięcy funtów.

— To fakt niezbity — odezwał się Van Land ocierając spocone czoło. — Żałuję, że nie dowiem się, jak te skarby trafiły do pana kieszeni!

— Mniejsza z tym, ale do waszych kieszeni trafiły po prostu z mojej! Daję wam te kamienie. Jest was pięciu, kamieni również jest pięć. Może dobrałem niezupełnie jednakowe — w takim razie możecie je rozłosować między sobą. Bierzcie bez żadnych ceremonii. Przeżyliśmy wspólnie kawał czasu, oddychaliśmy tym samym powietrzem pełnym niebezpieczeństw i nie chciałbym, abyście mojemu podarunkowi nadawali jakieś specjalne znaczenie. Cieszę się, że zdołałem nieco przynaglic los. Zwłaszcza jeśli idzie o pana, Van Land, i o pana, Van Bush!

— Nie! Dla nas to jeszcze ważniejsze! — krzyknęli inni myśliwi, źle zrozumiałwszy słowa Genta.

Dla nich jasne było jedno — to, że każdy stał się posiadaczem majątku, który przypadł im w tak nieoczekiwany sposób. W tej sytuacji wyraźnie zarysowały się ich charaktery. Najmniej podniecenia okazywali Van Land i młody myśliwy Van Bush. Z nieśmiałym uśmiechem na promieniejącej twarzy Bush chwycił rękę Genta i potrząsnął nią mocno. Van Land długo poruszał wargami i spoglądał spod chytrze zmrużonych powiek to na kamienie, to na szczodrego ofiarodawcę, lecz Gent odczuwał jego głęboką wdzięczność. Pozostali miotali się dziko: Kleben usiłował uściskać Genta, nazywając go „drogim przyjacielem”, i w uśmiechu rozciągał usta od ucha do ucha, ale jego oczy pozostawały ohydnie nieruchome. Stephensonowie — uważając, że powinni mówić więcej, niż to leżało w ich naturze — wypowiadali swe uczucia w sposób krzykliwy i beładny. Następnie wszyscy stłoczyli się w jedną grupę i oglądali klejnoty.

Gent wyszedł. Towarzysze obejrzeni się za nim przelotnie, ale żaden go nie zatrzymał ani nie okazał większego zainteresowania. Tajemnica, jaką otoczył swój dar, postawiła go w szczególnej sytuacji. Ostatecznie miliony nie spadają z nieba, zwłaszcza w gąszczu dżungli. Tak samo nikt nie ma zwyczaju nosić ich po kieszeniach po to, aby pewnego pięknego dnia zaimponować towarzyszom, a co najważniejsze — wątpliwe, by taka suma była ostatnim przysłowiovym „wdowim groszem”. Stanowi ona oczywiście część nieznaną, ale na pewno ogromnej całości. Pomiedzy Gentem a pozostałymi członkami wyprawy zaległa wielka tajemnica, otaczając go niedostępnym murem, ich zaś uczyniła męczennikami, ponieważ chciwość, zaostzona ciekawością nie znajdującą ujścia, staje się trudną do wytrzymania torturą.

Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Gent opuścił obóz i jeszcze raz udał się nad urwisko. W głowie świtał mu plan, którego wielkość i śmiałość mogłaby wypełnić życie setek podobnych mu ludzi. Zaopatrzył się znowu w sznur i żerdź. Tym razem wybrał najdrogocenniejsze kamienie i wziął ich tyle, ile mógł zmieścić w ukrytej kieszeni swej torby, po czym ominął jezioro i skierował się na wschód, ku dolinom.

Zatrzymamy się teraz na pewnym epizodzie, który poprzedził zjawienie się Genta w karawanie Stanleya.

Wysoki Murzyn, obwieszony niebieskimi, białymi i czerwonymi paciorkami, stał między czwórką uzbrojonych w łuki i dzidy tubylców, których wygląd świadczył o okrucieństwie. U jego nóg leżał rozpruty toból. Murzyn był tragarzem z piątej karawany Stanleya. Doszedł do wniosku, że lepiej opłaci się umknąć z tak kuszającym ciężarem aniżeli dźwigać go od rana do nocy w zamian za kilka metrów perkalu. Skrywszy się w lesie, na swoje niebezpieczeństwo zapalał żądzą niezwłocznego zaspokojenia swej chciwości i obwiesił się dziesiątkami

mi funtów paciorków. Jakby mu tego było jeszcze mało, wokoło na gałęziach porozwieszał barwne, błyszczące girlandy tych jaskrawych ozdób i wykonując dziki taniec, śpiewał na całe gardło pieśń o sobie, swym sprycie i przedsiębiorczości. Niestety owe ryki, jak również dostrzegalne poprzez gałęzie migotanie pstrych szkiełek zwabiły tubylczych rozbójników, mających zwyczaj posuwać się w ślad za karawanami. Na podstawie dziwnych praktyk tragarza uznali go za czarownika i postanowili powiesić.

Tu należy zaznaczyć, że w Afryce istnieje mnóstwo czarowników, których despotyczna władza nad życiem, dobytkiem i losem współplemieńców stanowi dla tych ostatnich źródło bezustannej udręki. Ze zrozumiałą więc satysfakcją rabusie gotowali się do wykonania swego zamiaru. Już sznur omotał szyję tragarza, gdy wtem niedaleko rozległy się strzały, kule odbiły się od pobliskich drzew, a czarni rzucili się w popłochu do ucieczki, pozostawiając swą ofiarę, razem z paciorkami i strachem, na łaskę białego człowieka, który ze sztucerką w ręku wynurzył się właśnie z zarośli. Był to Gent. Natknął się przypadkiem na wyżej opisaną scenę, a nie miał zwyczaju pozostawać niemyym świadkiem w podobnej sytuacji.

Uratowany tragarz, nieprzytomny z wrażenia, rzucił się z wdzięcznością do nóg swego wybawcy i dopiero wtedy odzyskał mowę. Gent dowiedział się więc, do jakiego plemienia należy ów *pagazi* *, komu służy i na czyje poszukiwania udaje się Stanley. Gent zbeształ Murzyna, który zalewał się łzami skruchy, zabrał go z sobą i w dwóch szybkich etapach marszu dogonił Stanleya. Nadzieja odszukania Livingstone'a stała się dla Genta — przy realizowaniu jego planów — decydującym bodźcem działania. Podobnie jak wszyscy, był pewien, że znakomity podróżnik dawno już zginął, ale teraz — dowiedziawszy się, że ważne osobistości organizują ekspedycję w celu odnalezienia go i że istnieje nadzieja zastania go przy życiu — zaczął wierzyć w powodzenie poszukiwań. Livingstone był człowiekiem, mogącym się stać duszą całego planu, który Gent sobie nakreślił. Jednakże nie zwierzył się ze swych zamiarów Stanleyowi, pragnąc zdradzić je dopiero później, gdy już się upewni, że podróżnik jest przyzwoitym człowiekiem. Również wspominając o znalezionym skarbie, umniejszał jego wartość, pragnąc nadać swemu opowiadaniu cechy prawdopodobieństwa i nie wzbudzić niedowierzania. Stanley nabrał przekonania, że Gent chce przekazać Livingstone'owi znaczny kapitał na cele dalszych odkryć i wypraw, lecz nie podejrzewał nic ponadto.

Gdyby jednak przyroda obdarzyła ludzi zdolnością odczytywania myśli, to czytając w myślach Genta, Stanley nie omieszkałby schylić głowy przed skromnością tego człowieka, który w głębi swej duszy zbudował coś na kształt olbrzymiego gmachu i ukrył się w jego cieniu.

Przyszłość miała udowodnić, w jakim stopniu budowla ta była trwała. Lecz bez względu na dalsze wypadki prawdziwa wielkość powstaje tylko w naszej duszy; reszta to dzieło mocy od nas niezależnych, często przeciwnych naszym zamiarom. Zarówno ten, kto rzuca się na ratunek tonącego i tonie z nim razem, jak i ten, kto za uratowanie tonącego przypina medal do kłapy swego surduta — jednakowo zasługują na uznanie.

Rzeczą najbardziej pociągającą i najcudowniejszą w takiej podróży, jak opisywana tutaj, jest włożony w nią wysiłek i zapoznanie się z obyczajami tubylców.

Ale najniezwyklesza rzeczywistość z czasem powszednieje; przystosowanie się do tego faktu wymaga więcej męstwa aniżeli walka.

Życie w krajach tropikalnych od dawna stało się dla Genta chlebem powszednim. Toteż do karawany Stanleya przyłączył się bez żadnych złudzeń, wiedząc dobrze, iż współżycie ludzi różnych ras i plemion — mówiących rozmaitymi językami i mających odmienne potrzeby, a niejednokrotnie żywiących wręcz wrogie zamiary — łatwo może rozbudzić ich najniższe instynkty. W dodatku ludzie ci odcięci byli od świata cywilizowanego i całkowicie zdani

* Pagazi — tragarz.

na własne siły.

Gdy Gent wprowadził się do namiotu Showa, ten ostatni przyjął go niechętnie, nie kryjąc przy tym beczelnej ciekawości. Gent wyjaśnił, że odłączył się od arabskiej karawany, zdążającej ku jeziorom w głębi kraju. Show okazał zręcznie wyrażone powątpiewanie, a w odpowiedzi na to Gent wymyślił na poczekaniu tak zawiłą opowieść o uratowaniu jakiegoś Araba, który jakoby przyjął potajemnie chrzest i zaopiekował się nim, że Show — odurzony trochę whisky, wypitą przed udaniem się na spoczynek — prędko stracił wątek całej historii i ziewając wybałuszał na Genta klejące się z senności oczy. Gent zasnął jednak pierwszy na postaniu ze skóry gazeli. Show przez pewien czas podejrzliwie zerkał na śpiącego, ale ostatecznie, pociągnawszy jeszcze z butelki, zgasił świecę.

Show był mężczyzną lat trzydziestu pięciu, o drobnych rysach twarzy, kwadratowej, rudej bródce i rzadkich jak u dziecka brwiach. Jego kwaśnej minie towarzyszyło obrażone spojrzenie oczu bez wyrazu i koloru. Niegdyś pracował w charakterze szypra na amerykańskim statku wielorybniczym, skąd zabrał go Stanley, zwiedziony jego „doświadczeniem”, czego zresztą nie mógł później odżałować, ponieważ Show był niezwykle skory do kłótni i bójek, a jego wysokie mniemanie o sobie czyniło go często wręcz nieznośnym.

Rozdział VI

DIABEŁ W KARAWANIE

Obecność nowego członka ekspedycji, który w dodatku zjawił się tak nieoczekiwanie, wychodząc z leśnej gęstwiny, została przyjęta w różny sposób. Biały człowiek w sercu Centralnej Afryki jest zasadniczo zjawiskiem zagadkowym: albo ma jakieś wrogie zamiary, albo coś do ukrycia. Jeżeli ma wrogie zamiary — to napada na ludność i porywa niewolników, trzebi drogocenne stada słońi, wtrąca się do wojen domowych i zabiera ziemię. Gdy coś ukrywa, to co prawda nie czyni nikomu krzywdy, ale i tak trudno pojąć postępowanie chytrego, silnego, zdobywczego i upartego *muzungu*. Samotnie udaje się tam, skąd z wrzaskiem ucieka całe plemię, szukając ratunku przed czarownikami i złymi duchami. Przybywa z krajów, gdzie woda zimą twardnieje, porzuciwszy rodzinę i dom. Zamiast ubierać się w prześliczne, barwne perkale, płótno w kwiaty i cudne szklane paciorki, nanizane na miedziany drut, które tak ładnie błyszczą na nogach lub w nozdrzach — rozdaje te wszystkie skarby, wywołujące pożądlive westchnienia, w zamian za ziarno, palmowe wino i mięso. Dziesiątek jaj woli od pięknego guzika! Ale najdziwniejsze jest to, że nie kupuje niewolników, żywicy ani kości słoniowej. Zebrawszy tragarzy i żołnierzy, naraża się wraz z nimi na trudy uciążliwej podróży i idzie daleko, daleko, dopóki nie znudzi mu się pisanie nocami w namiocie. Kiedy zaś mu się to znudzi, a on sam jeszcze żyje, zbiera nową karawanę i wraca, wprawiając w zdumienie całe wsie w obrębie tysiąca mil. Dlaczego tak postępuje?!

Na podobne pytania Czarnego Łądu niezbyt jasną odpowiedzią był tupot kilku dziesiątków bosych stóp należących do członków karawany Stanleya oraz postać białego ze strzelbą na ramieniu, wpatrującego się bacznie w olbrzymi baldachim nieba i wciąż zmieniający się widok dalekich lasów i gór.

Trudno odgadnąć, kim jest biały człowiek i jakie są jego zamiary. Arabscy konwojenci, z natury nie tak ciekawi, przyjęli Genta — przynajmniej na pozór — ze wschodnią obojętnością. Show jednak zamęczał go pytaniami na temat jego przeszłości. Gent zbywał go krótko, odpowiedziami o charakterze raczej filozoficznym niż praktycznym; czasami tragarze znów

zasypywali go pytaniami na temat jego pojawienia się w karawanie i warunków, na jakich się do niej przyłączył. Przez pierwsze dwa czy trzy dni było to nieco męczące, ale potem zostawiono go w spokoju. Gent opowiadał wszystkim tę samą historię, co Showowi.

Szybko zorientował się i zajął pozycję neutralną. Stroniąc świadomie od wszelkich spraw dotyczących gospodarki, administracji i samego celu ekspedycji — zastrzegł sobie rolę turysty-myśliwego. Nie znaczyło to bynajmniej, że unikał pracy czy dzielenia z innymi trudów podróży, lecz wszystko, co robił, czynił w sposób swoisty: doskakiwał do wozu grzęznącego w błocie i wyciągał koła; pomagał objuczać i rozjuczać osły; gdy tragarze wahali się, pierwszy wchodził w bagno; przenosił pakunki, prał i szył, czyścił broń i poganiał maruderów, nierzadko podnosząc batem symulantów; pielęgnował chorych — ale wszystko to robił od niechcenia. Za to pewne czynności pozostawiał wyłącznie dla siebie. Gotował sobie sam, znajdując wielką przyjemność w jedzeniu wtedy, kiedy miał właśnie apetyt, i takich potraw, które mu smakowały. Urządził sobie oddzielny namiot i ustawiał go zawsze na skraju obozu. Zdarzało się, że zniknął w nocy, aby powrócić dopiero rankiem. Od czasu do czasu odwiedzał Amerykanina w jego namiocie i opowiadał mu rozmaite historie z tak niezmaconym humorem, że Stanley zaśmiewał się jak szalony. W stosunku do Murzynów był przyjacielski i dobrotliwy, wstawiając się za nimi u Stanleya, aczkolwiek nie zawsze z powodzeniem; bardzo chętnie przesiadywał wieczorami wraz z czarnymi przy ognisku i słuchał ich naiwnych opowiadań. Potem z kolei sam opowiadał o miastach, domach, cywilizacji i życiu Europejczyków, o maszynach, przyrodzie i obyczajach białych. Jednak wszystko, a przynajmniej prawie wszystko, wydawało się im tak dziwne w stosunku do prymitywnego, afrykańskiego bytowania, że odchodząc słyszał często okrzyki.: „U! *Muzungu!* Jak on kłamie!” i wybuchy gromkiego śmiechu.

Gent lubił, gdy karawana wcześniej zatrzymywała się na nocleg. Wówczas szybko przyrządzał sobie posiłek, zjadał go, popijając dużym kubkiem mocnej i słodkiej herbaty, po czym udawał się do lasu. Jeżeli w pobliżu, nad strumieniem lub leśnym jeziorem, liczne tropy zwierzy wskazywały miejsce wodopoju — krył się w zaroślach lub wspinał na drzewo.

O zachodzie słońca, gdy jego gasnące promienie wydłużały się w ciemnym lesie, gdy w ich blasku trawa i liście mieniły się jak pasy czerwonego złota, a za świetlistą krawędzią gęstniał mrok, Gent czuł się najlepiej. Widział, jak dostojnym krokiem schodziły do wodopoju lwy, podwijając zwyczajem kotów ogony. Piły przetykając głośno, parszając i prychnając, co chwila wyprężając ciała w pozie wyrażającej napiętą uwagę przy każdym podejrzanym szmerze. Ich przerywane ryki brzmiały jak huk spadającej lawiny kamieni. Kiedy lwy odchodziły z kroplami wody na wąsach, na ich miejsce przybywały chrząkające i postępujące nosorożce. Czarne ich cielska, podobne do olbrzymich, rogatych chrząszczy, zanurzały się w wodę stopniowo, a małe, złe oczka błyszczały zadowoleniem. Po nich przychodziła kolej na gnu, zebry i antylopy. Ostatnie zjawiały się hieny, po czym jezioro zasypiało.

U wodopoju Gent strzelał rzadko, biorąc przykład ze zwierząt, które oszczędzały się wzajemnie w tych godzinach zaspokajania ważnej życiowej potrzeby. Pewnego razu zabił lwa, który odkrył jego kryjówkę w krzakach i z wyprężonym ogonem czał się do skoku. Gent strzelił stożkowatą kulą z „rayle’a”. Lew cofnął się z przestrelonym łbem, przysiadł i wbił pazury w ziemię. Nagle przezwyciężył osłabienie, skoczył na Genta, przewrócił go i skonał na jego ciele w przedśmiertnych drgawkach. Innym razem myśliwy zabił krokodyla, który chwycił za pysk antylopy w chwili, gdy piła wodę. Kula — tak jak Gent wycelował — trafiła gada w oko. Trup potwora wypłynął po paru minutach, błyskając białozielonym brzuchem i został porwany prądem ku przeciwnemu brzegowi rzeki. Antylopa była tak okaleczona, że Gent musiał ją dobić.

Lubił obserwować zwierzęta w warunkach ich naturalnego bytowania, ale lubił też polować. Czynił to zaś w sposób dość oryginalny, jako że nigdy nie stosował zasady korzystania ze śladów, tropów lub innych wskazówek, tylko całkowicie zdawał się na przypadek. Celem

polowania nie było jakieś określone stworzenie — antylopa, cietrzew, flaming, kuropatwa czy bawół — ale każda zwierzyna. Dlatego zabierał ze sobą dwojaką broń: sztucer i strzelbę na drobny śrut. Godzinami potrafił przesiadywać w lesie i przyglądać się kolorowym, podobnym do iskier, małym afrykańskim ptaszkom, śmigającym wśród drzew błękitnym drozdom lub wijącym się płynnymi ruchami węzom, które wpatrywały się w człowieka fosforyzującym nieruchomym wzrokiem. Trzepocząc wolno barwnymi skrzydłami, kołysały się przed Gentem olbrzymie motyle, pod względem wymyślnego ubarwienia rywalizujące z kwiatami, przypominające raczej ptaki niż owady. Czasem stado małą dawało przedstawienie wśród listowia: z nieprawdopodobną szybkością przybierały komiczne pozy, ich pyski — porośnięte sierścią, z siwymi brodami lub kitkami na uszach — zabawną mimiką wyrażały każde doznane uczucie: wykrzywiały się i marszczyły, a oczy, pozbawione uśmiechu, błyszczały z napięcia i mówiły o niezwyklej żywotności tych na pół ludzkich, histerycznych i wrzaskliwych istot. Zdarzyło się kiedyś, że Gent zgubił puszkę z tytoniem w miejscu, na którym siedział, a będąc pewny, że ją tam zostawił, wrócił po nią. Głośne „f-fuch! f-fuch!” zmusiło go do podniesienia głowy. Wielki psiogłowy pawian, porwawszy puszkę, wdrapał się na drzewo i próbował ją otworzyć. Gdy mu się to wreszcie udało, prędko wpakował sobie do pyska sporą porcję gorzkiej substancji i zaczął głośno pluć. Jego zabawna fizjonomia wyrażała wstręt i przerażenie. Z wytrzeszczonymi oczyma wycierał ręką język. Drugą ręką machinalnie tulił do piersi puszkę, ale na widok Genta z wściekłością cisnął weń pustym pudełkiem.

Gent prowadził zapiski, podobnie jak Stanley. Jednak w dzienniku tym czytelnik znalazłby tylko niewiele uwag z dziedziny geografii i jeszcze mniej opisów wydarzeń, natomiast mowa tam była o różnych sprawach, które mogły się wydać wprost dziwne, jak na przykład troska o czystość ubrania w czasie bitwy. Całe stronicę pełne były opisów nieznanymi kwiatów, ich woni oraz porównań z kwiatami Północy. W innym znów miejscu pisał o wyrazie oczu różnych zwierząt. Dalej następował opis krajobrazu ze specjalnym podkreśleniem nieoczekiwanych zmian barw i linii. Czasami Gent zapuszczał się w rozważania na temat zalet szybkiego strzelania z przyrzutu, twierdząc, że ten system jest lepszy niż długie, dokładne celowanie, lub też wspominał o świetle słonecznym, muskającym wierzchołki drzew i o promieniającym ich liście, o dżunglach, ich zapachu, dzikości i różnorodności, o fantastycznych konturach skał, mówił o jeziorach i bagnach i wymieniał najlepsze sposoby rozpalania ognisk; nie brakło tu nawet notatek o języku małp. Jednym słowem, w dzienniku było miejsce na wszystko, co tylko przyciągnęło jego uwagę. Na zapisanych stronicach można było znaleźć także murzyńskie baśnie, pieśni czy urywki rozmów. Opisy roślinności nosiły inny charakter: palmę nazywał Gent „fontanną wachlarzy”, drzewo parasolowe — „fruwającym wierzchołkiem”, drzewo hebanowe — „Murzynem w zielonej sukni”, kaktus — „dzikiem pustyni” lub „wiązką krzywych szabel”

I tak dalej. Kilka zdań warto przytoczyć w całości:

„Ta część lasu oddzielona była głębokim parowem, a na jego dnie grzmiał melodyjnie potok. Promienie, padające spoza mnie na leśne zarośla po drugiej stronie parowu, zapaliły je oślepiającą, przezroczystą pożogą. Opary, powstałe po nocnym deszczu, napełniały ten złoty potop tęczowymi iskrami. W moich oczach rodziły się, rzekłbyś, kształty, oszałamiające swym delikatnym pięknem. Za pobliskimi drzewami słała się świetlista mgła o barwach zory. Wśród niej pojawiały się i znikwały fruwające stworzenia, które roztrącały gałęzie i przyskały na zaczarowane kwiaty jasnymi brylantami kropel wody. Wszystko się poruszało i nawoływało w jakimś tajemniczym porozumieniu. Tam właśnie mogłem oddać się niewinnej radości, przypominającej szczęśliwość raję”.

Rozdział VII

SPISKOWCY Z ZIMBAUENI

Gent przyłączył się do piątej karawany na krótko przed jej przybyciem do stolicy okręgu Ungereri, podległego Arabom warownego grodu Zimbauenien. Miasto założył arabski rozbójnik, handlarz niewolnikami, który grabił okoliczne wsie. Obecnie sułtanką kolonii była jego córka i od jej imienia stolica wzięła swą nazwę.

Zanim karawana dotarła do Zimbauenien, musiała odbyć kilka etapów marszu podczas największego nasilenia pory deszczowej. Woda stała się dokuczliwym wrogiem, który otaczał podróżnych zewsząd jak powietrze. Mieli wrażenie, że lśniące nad puszcza, nisko zwisające fałdy chmur grożą zawaleniem. Ulewne deszcze przez całe dni dręczyły ludzi, zwłaszcza Europejczyków, ubranych w sposób bardziej skomplikowany niż tubylcy, którym wystarczało posiedzieć wieczorem przy ognisku, a potem wsunąć się do namiotu, aby osuszyć się i przyjść do siebie. Nawet osły i konie otrząsały się całym ciałem niczym psy. Nogi ślizgały się po rozmytej ziemi. Wszystkie zagłębienia gruntu, wąwozy i bagna pęczniały od wody. Strumienie zamieniały się w rwące potoki, rzeczki — w rzeki, rzeki — w morza, bagna — w jeziora. Wszystko mokło i butwiało napełniając powietrze dusznym odorem zgnilizny. Deszcz niszczył zawartość tobołów z towarami. W te wieczory, kiedy się nieco przejaśniało, Stanley kazał rozwijać pakunki i suszyć tkaniny. Wokół obozu rozciągały się wtedy długie, barwne wstęgi muślinu, sukna, płótna i kolorowego barchanu niby na jakim jarmarku. Jednakże pora deszczowa miała tę dobrą stronę, że karawana nie cierpiała od ukąszeń owadów. Ulewy odstraszały groźne muchy, wśród których nie pojawiły się jeszcze na szczęście muchy tse-tse, inaczej bowiem konie i osły wyzdychały- by w ciągu kilku dni. Bolesne ukąszenia rozmaitych owadów, wywołujące natychmiast silne dreszcze, stanowiły istną torturę.

Zimbauenien leżało u podnóża łańcucha gór. Miasto przypominało białą, kwadratową skrzynię bez pokrywy, napełnioną kawałkami mydła. W kątach sterczały baszty ze strzelnicami dla armat, a pośrodku każdej ściany znajdowały się dobrze strzeżone wrota z ciemnego drzewa, upiękzone ozdobami z miedzi lub rzeźbionymi arabeskami.

Deszcz ustał. Góry błysnęły zielenią. Między miastem a nadchodzącą karawaną szumiął rwący potok — mała rzeczka, wezbrana deszczem, cieszyła się swoją przejściową wspaniałością.

Po drugiej stronie potoku stał *simbo*, rodzaj karawanseraju, zbudowany przez nieznanego poszukiwacza złota. Były to zwykłe chałupy otoczone pierścieniem częstokołu. Tu piąta karawana zatrzymała się na postój, o czym zawiadomiła miasto hukiem beładnych wystrzałów. Nie minęło nawet pół godziny, gdy z pierwszej bramy Zimbauenien pośpieszyły w stronę obozu, poprzez wiszący nad potokiem most, tłumy handlarzy i gapiów.

Gent kręcił się jakiś czas wśród gwarne go tłumu, dopóki mu się to nie sprzykrzyło. Wtedy wyszedł z *simbo*, posuwając się wzdłuż zewnętrznej strony częstokołu. Napotkał tam gęste krzaki. Usiadł wśród nich i od razu miał powód podziękować losowi, że uczynił to bez hałasu. W krzakach słychać było głosy ludzi rozmawiających po arabsku. Już pierwsze słowa, które pochwyliło czułe ucho Genia, wydały mu się podejrzane.

— Asmani, czekaj na naszego człowieka dziś po zachodzie słońca, za mostem na brzegu rzeki. Teraz idź do *muzungu*. Czy pomiędzy tragarzami mamy odpowiednich ludzi?

— Jest kilku, których znam.

— No to bywaj! Kiedy ujrzałem cię w *simbo*, od razu wiedziałem, że jak usłyszysz, co powiem, nie odwrócisz się plecami do starego druha!

— Nie — odpowiedział Asmani. — Przyjdę, będę czekał i wykonam wszystko, czego

się podjąłem.

Gent znał arabski. W chwili gdy rozmawiający opuszczali zarośla, wsunął się głęboko pod krzak i ukrył w jego cieniu. Ale poprzez gałęzie widział, jak w stronę Zimbaeni skierował się jakiś obdarty Arab, w kierunku zaś *simbo* — jeden z *pagazich*. Asmani był Mulatem o twarzy nieruchomej i chudej, którą oświetlały, jak spod maski, pałające, podłużne oczy. Był to człowiek milczący, wytrzymały na trudy i obojętny na wszystko.

Gent wstał i zaczął pogwizdywać uliczną londyńską piosenkę. Szedł (na wszelki wypadek) bez pośpiechu, z rękami w kieszeniach i ziewając. Lecz wokoło nie było widać żywej duszy. W bramie *simbo* przystanął, przyglądając się czarnym, którzy wymienili prowiant i odchodzili, wrywając sobie nawzajem i przymierzając kwieciste materiały. Niektórzy byli już przystrojeni w paciorki i niejeden zwój miedzianego drutu, owinięty na ręce, błyszczał na ciemnej skórze. Na podwórzu *simbo*, koło chaty Stanleya, stał rząd trzciniowych koszów, przykrytych palmowymi liśćmi; wystawały z nich pęki bananów, mięso, ogony kur nieprzytomnych ze strachu i ciasnoty. Krzątał się tu Stanley.

— Udany dzień — odezwał się. — Proszę, panie Gent, niech pan zje ze mną kolację. Widzi pan, kuchnia Bunder-Salaama bucha już gęstym dymem, a on sam stara się, jak może.

— Dobrze — zgodził się Gent — dziękuję. Niepokoi mnie tylko to, że jesteśmy jeszcze tak daleko od celu.

Weszli do chaty. Stanley obliczał, że pozostaną tu jakieś pięć dni, aby przewietrzyć i wysuszyć porządnie zawartość tobołów, podleczyć grzbiety osłów i pozwolić karawanie wypocząć. Stół zastany był obrusem, na którym ustawiono talerze i sztucce. W wydrążonej tykwie mieniły się barwne, leśne kwiaty.

Siedli. Usługiwał im tubylec, Selim, chłopak o wiecznie otwartych ustach.

— Selim, powiedz Salaamowi, żeby się pośpieszył! — rozkazał Stanley pukając widelcem o talerz. — *Muzungu* są głodni! Nie jesteśmy jeszcze blisko celu — zwrócił się do Genta — ale dzisiaj febra mi nie dokucza i umysł mam jasny. Wie pan, co panu powiem? Na stu kilku podróżników, którzy poświęcili się badaniom kontynentu afrykańskiego, nie powróciło pięćdziesięciu. Trudy związane z klimatem, choroby, gwałtowna śmierć i tortury — oto ich los. Z pozostałych pięćdziesięciu cztery piąte do końca życia cierpiało na ciężkie choroby. Widzi pan więc, że znajdujemy się w pełnym egzotycznych rozkoszy ogrodzie i jeżeli do spotkania z Livingstone'em pozostało choćby tylko dziesięć mil, to trzeba stwierdzić, że i tak jesteśmy jeszcze bardzo daleko od celu naszej wyprawy. Pan, który spędził w afrykańskiej głuszy kilka lat, orientuje się w tym doskonale.

— Owszem — z udanym roztargnieniem zgodził się Gent. — Przypadek jest tu prawem. W razie zdrady, buntu, wrogiego nastawienia tubylców...

— Dlaczego pan... — szybko zaczął Stanley, lecz w tej chwili wszedł Selim niosąc półmisek baraniny z ryżem, oblanej palmowym olejem z pieprzem. — Zmykaj, Selimie!

— Tak jest, *muzungu*! — powiedział chłopiec. — Salaam zjadł nerkę i więcej placków, niż ja tu przyniosłem. Kładł na nie daktyle, dużo jadł! Patrzyłem przez szparę. Schował wszystko, jak wszedłem.

— W porządku! — przeciął Stanley. — Zmykaj!

Zdawało się, że zapomniał o tym, co uderzyło go w słowach Genta. Obaj zaczęli jeść z apetytem.

Wreszcie Amerykanin zapytał:

— Na jakiej podstawie powziął pan te podejrzenia?

— Na razie nie mam żadnych podstaw — odpowiedział spokojnie zagadnięty oddzielając uważnie mięso od kości. — Widzę, że pan mnie zrozumiał. W każdym razie proszę się nie niepokoić, gdybym jedną, a może nawet dwie noce spędził poza domem.

— Pan zawsze działa w pojedynkę — rzekł z rozdrażnieniem Stanley odsuwając talerz i nerwowo pakując do fajki więcej tytoniu, niż mogło się w niej pomieścić. — Przyniesł pan

sam, poluje pan sam, sam przesiaduje pan w namiocie. Ale zdaje się, że tym razem powinien pan wtajemniczyć mnie w wydarzenia, jeśli rzeczywiście miały one miejsce, oraz w pańskie domysły, jeśli są oparte na jakichś podstawach.

— Nie, mister Stanley! — zaśmiał się Gent. — I w tym wypadku będę działał sam. Obiecuję jednak, że jeśli próba wyjaśnienia moich podejrzeń nie powiedzie się, poinformuję pana o wszystkim.

— No, jak pan woli. — Stanley bacznie popatrzył na Genta. — Tak czy inaczej, życzę powodzenia!

— Dziękuję panu — rzekł Gent z powagą. — Ja bym także pragnął, aby to wszystko okazało się głupstwem. Spodziewam się, że jutro będę mógł zdać panu szczegółową relację!

Skłonił się i wyszedł z chaty, po czym położył się w cieniu ogrodzenia i długo palił fajkę, dopóki nie usłyszał wrzasku Bombeya i Mabrukiego, którzy wołali kogoś, wyęzając rozpaczliwie gardła. Gent podszedł do bramy i ujrzał gromadkę tragarzy wymachujących rękami w kierunku górskiego stoku, po którym nie odwracając się, szybko sunęła jakaś ciemna postać.

— Co się stało? — zapytał Gent Bombeya, gdy ten splunął i przestał wołać za uciekającym.

— To uciekł kucharz, *muzungu* — wyjaśnił Bombay. — Mister Stanley krzyczał na niego, że kradnie prowiant.

— Co to znaczy?

— Znaczy to — podchwycił Show, z sardonicznym uśmiechem przyglądający się ucieczce kucharza — że mister Stanley jest bardzo surowy. Biedak zjadł, powiedzmy, kawałek baraniny albo czegoś tam innego — sprawa moim zdaniem błaha. Stanley zaś tak go zbeształ, że kucharz zostawił swego osła oraz wszystkie manatki i tyle go widać!

— Show — powiedział zbliżając się Stanley — który to już raz staje pan publicznie w obronie oszustów i leniów? Nie jestem zbyt cierpliwy, proszę to sobie zapamiętać! Bunder-Salaama przyłapałem po raz piąty. Kradł kawę, herbatę, cukier, zjadał połowę mojego obiadu. Zagroziłem, że go wyrzucę. Skoro tak mało ma do siebie zaufania i ucieka, tym gorzej dla niego. Karawana w puszczy to to samo, co okręt na morzu, i ja tu jestem kapitanem. Gdybym zaczęła patrzeć przez palce na te wszystkie kręctwa...

Nie dokończył, machnął ręką i wolno ruszył w stronę *simbo*. Tymczasem Salaam zniknął już między skałami, a gapie rozeszli się. Zapadł wieczór.

Gdy się ściemniło, Gent wyszedł z *simbo* i przystanął niedaleko bramy, skryty w cieniu. Czekał jakieś pół godziny, wsłuchany we wszystkie podejrzone szmery. Nie każdy słuch uchwyciłby kroki Asmaniego, który niemal bezszelestnie prześliznął się przez bramę. Równie cicho Gent ruszył jego śladem, trzymając w ręku rewolwer i zachowując odległość dogodną dla ewentualnego odwrotu.

Doszedłszy do brzozy rzeki, Asmani zatrzymał się. Było tak ciemno, że nawet bystry wzrok z trudem mógł odróżnić jego sylwetkę. Mulat nachylił się, Gent usłyszał cichy głos zadający pytanie i równie cichą odpowiedź. Następnie leżący tu człowiek wstał i razem z Asmanim ruszył przez most. Gent postępował za nimi krok w krok. Grupa posuwała się w głębokim milczeniu. Po przejściu mostu Asmani i jego przewodnik skierowali się ku narożnej baszcie w murze okalającym miasto. Teraz Gent uznał za konieczne trzymać się bliżej tubylców, domyślając się, że wejść do miasta nie przez bramę. Nie chcąc rezygnować z najmniejszej szansy pomyślnego zakończenia pościgu, szedł za Mulatem w odległości najwyżej dziesięciu metrów. Pod basztą wszyscy trzej przystanęli.

Zastukano do drzwi. Widocznie było to umówione hasło: raz, dwa, trzy i cztery. Zaraz też rozległ się szcęk odsuwanej sztaby i na równinę padło mdłe światło spoza niskich drzwiczek, ukrytych w głębokiej niszy. Otworzył je jeden człowiek i Gent zapamiętał to sobie. Asmani wszedł do baszty wraz z przewodnikiem, pozostawiając Genta rozmyślającego, co

dalej robić. Drzwi zatrzasnęły się, światło zgasło. Myśliwy przyłgął uchem do desek, lecz nic nie usłyszał.

Z bijącym sercem podniósł rękę i powtórzył manewr ze stukaniem: raz, dwa, trzy, cztery...

Teraz usłyszał, że za drzwiami ktoś mruczy, co oznaczało prawdopodobnie zdziwienie. Niemniej sztabę odsunięto i drzwi uchyliły się tworząc szparę, która stopniowo się rozszerzała, aż wreszcie wyłoniła się z niej głowa Murzyna. W jednej ręce trzymał mosiężną lampę, drugą zaś, opartą na zasuwie, wysunął naprzód. Gent widział jego oczy, w których malowała się podejrzliwość. Chwyił rękę Murzyna opartą na zasuwie i mocno szarpnąwszy ku sobie, wyciągnął go z wnęki. Jak wielka ryba wydobyta wędką rybaka na powierzchnię nie stawia zbytniego oporu, poddaje się biernie nieznaney przemocy i dopiero poniewczasie zaczyna rzucać się i skakać — tak samo Murzyn, połapawszy się, spróbował wyrwać się z silnych rąk Genta. Pierwszy dźwięk jego krzyku i potężny prosty w podbródek, zaaplikowany według wszelkich prawideł klasycznego boksu, zwały się w jedno. Murzyn zdołał tylko jęknąć „aww...” i poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg, ujrzał wszystkie gwiazdy i jak skoszona trzcina osunął się nieprzytomny do stóp Genta. Ten, nie tracąc czasu, odciągnął ciało na bok, związał leżącemu ręce i nogi, a do ust, zamiast knebla, wsadził nieduży kamień, owinięty chusteczką do nosa. Wtedy dopiero odetchnął z ulgą i ponownie podszedł do drzwiczek.

Były otwarte. Lampa, upuszczona przez Murzyna, leżała kopczą na ziemi, a jej niebieski płomyk już dogasał. Gent podniósł ją, poprawił knot i zamknawszy za sobą drzwi, oświetlił miejsce, gdzie się znajdował. Było to coś w rodzaju głębokiej wnęki w ścianie, obitej matami; nędzny tapczan i gliniane naczynia świadczyły, że mieszka tu dozorca. Ciemne, kręte schody, bardzo wąskie i strome, wiodły na górę. Mroczne wejście napawało trwogą, tak iż Gent mimo całego swego męstwa, musiał zebrać się na odwagę, aby ruszyć tamtędy. Stopnie były pochyłe i krzywe. Gent zgasił lampę i zostawił ją na dole. Z chwilą gdy zabrakło światła, w tym niebezpiecznym i obcym miejscu wszystkie jego zmysły, jak gdyby za pomocą prądu elektrycznego, połączyły się od razu, gotowe do szybkiego współdziałania. Zaczął wspinać się po omacku, nie wypuszczając z dłoni rewolweru, i od czasu do czasu macał ręką następny stopień, aby upewnić się, że nie zatrzeszczy. Tak był tym pochłonięty, że gdy po zrobieniu półtora obrotu na spirali schodów wyprostował się po jednej z takich prób — nieoczekiwanie ujrzał z prawej strony światło. Padało z niewidocznego otworu w ścianie, było mdłe i tak słabe, że mógł rozeznaczyć przed sobą zaledwie dwa czy trzy stopnie.

Zatrzymał się pragnąc sprawdzić, czy światło nie posuwa się w górę lub w dół. Płonęło jednak równo i — jak mógł się przekonać osiągnawszy jego poziom — padało poprzez wełnianą kotarę, która z prawej strony schodów osłaniała półokrągły otwór wysokości człowieka. Było to nie tyle światło, ile słaby poblask, możliwy do zauważenia tylko w absolutnej ciemności, w jakiej właśnie znajdował się Gent. Ostrożnie uchylił brzeg zasłony i, podniecony, zajrzał do środka. Ale nie było tam nikogo. Przestrzeń, zakryta zasłoną, stanowiła coś w rodzaju pustej sieni czy przedpokoju, wydłużonego na podobieństwo małego korytarzyka. Ściany pokrywały barwne puklerze zdobne w arabeski, podłogę — dywan, od sufitu zaś, na trzyramiennym łańcuchu kutym w delikatne wzory, zwisała srebrna lampa rzucając jasne, łagodne światło. Po lewej stronie korytarza widniały otwory, oświetlone jaskrawo, skąd dobiegał monotonny głos, jakby ktoś coś czytał.

Gent z najwyższą ostrożnością przesunął się wzdłuż ściany ku oświetlonym wewnętrznym drzwiom i położył się na podłodze, ciasno przywierając do muru. Jego głowa znajdowała się na poziomie progu. Cicho, tak cicho, jak prostuje się zgięty liść, wyciągnął szyję i na mgnienie oka zajrzał w otwarte drzwi, po czym natychmiast cofnął głowę.

Trzej starzy Arabowie, siedzący na okrągłych poduszkach, tworzyli najwidoczniej tajną radę. Ich twarze były brunatne, a rysy znamionowały dostojne pochodzenie; pomimo zmarszczek i siwizny ich okazałe, wspaniałe odziane postacie cechowała niezwykła siła żywotna:

wrażenie to sprawiał wyraz ich twarzy i ruchy. Oczy w niczym nie przypominały oczu starców. Zza kolorowych pasów sterczały kolby pistoletów i rękojeści kindżałów — zebranie odbywało się więc w atmosferze zbrojnego pokoju, który w każdej chwili może skończyć się błyskiem kling. Starcy siedzieli dostojnie na podwiniętych nogach, przy każdym z nich stały pantofle z ciemnego safianu, pokrytego kosztownym haftem. Nieduży, okrągły dywan z zastawą do kawy, nargile, z których wił się błękitny dym, oraz wałki z dywaników służące do opierania łokci — wszystko tchnęło wspaniałością w tej scenerii, w której zarówno upozowanie postaci, jak i barwy tworzyły, zda się, jakiś dalszy ciąg zamierchłej przeszłości. Lampa zupełnie podobna do tej, która oświetlała pierwszy pokój, tylko większa i cięższa zwiisała do połowy wysokości ścian. Cały pokój wystany był dywanami; na skutek braku okien jaskrawe barwy drogich tkanin zdawały się tworzyć fantastyczne granice, za którymi nie ma już ani światła, ani powietrza.

Asmani stał odwrócony do Genta tyłem. Najstarszy z Arabów, człowiek średniego wzrostu, mówił:

— Teraz widzisz, że bardzo jest źle. Karawana za karawaną z Anglikami i Francuzami przechodzą koło naszych posiadłości. Widzę, jak myszkują wypatrując zdobyczy. — Potrząsnął nerwowo smagłą ręką i ciągnął dalej: — Koran nie zabrania handlu z niewiernymi. Ale Europejczycy nie zadowolają się kupowaniem i sprzedażą, wtrącają się także do naszych spraw. Zniesiono handel niewolnikami i teraz musimy mieć się bezustannie na baczności tam, gdzie dawniej otwierało się szerokie pole do działania. Wpływy Europy sięgają coraz dalej. Nie możemy już żyć spokojnie w tych stronach. Wokół naszej kolonii włóczą się stale niewierni, stanowiący dla nas wielkie niebezpieczeństwo. Toteż każdy biały, który się tutaj pojawia, jest naszym wrogiem. Musimy p r o s i ć o daninę, podczas gdy dawniej ż ą d a l i ś m y jej. Dyktowaliśmy prawa, obecnie zaś — jeśli tak się będzie podobało wrogowi — jego prawo zostanie nam narzucone przy pomocy wielkich armat. Robiliśmy, cośmy chcieli, dziś robimy tylko to, co nie grozi niebezpieczeństwem lub donosem do zanzibarskiego konsula. Zaczyna nam być ciasno, bracie Asmani! Choćbyś na ziemi zajmował nie wiem jak mało miejsca, to z woli Allacha nieraz i słaba ręka może zniszczyć silnego! Zresztą nie mam potrzeby rozwodzić się długo. Wywołuj niezgodę w karawanie Anglika. Wykorzystuj każdą sposobność, aby sprowokować bunt podwładnych, posługuj się trucizną i kulami. Niech w mękach i udręce upływa dalsza podróż twego niewiernego *muzungu*, dopóki — niech usłyszysz to Allah! — nie zakończy swych dni, opuszczony przez wszystkich, bądź też... no, ale ty już zrozumiałeś!

— Asmani słucha uszami, jego uszy są otwarte, mądry i czcigodny szejku Hassanieben-Alide. Oby twe dni trwały jak najdłużej!

— Asmani — odezwał się Arab siedzący po prawej stronie szejka. — Będziesz prowadził dalej dzieło rozpoczęte z takim powodzeniem. Nasi w Zanzibarze nie spali, kiedy karawana, w której znajdował się konsul, miała wyruszyć na poszukiwania starego Anglika *; wydano tam dużo złota i karawana stała trzy miesiące! Może stoi jeszcze do dziś. Co się tyczy starego, to jego ludzie rozbiegli się po drodze. To było naszym dziełem. Teraz ty nam pomóżesz.

Asmani skłonił się pokornie. Trzeci Arab podał mu Koran; tragarz przysiągł, że pozostanie wierny swej obietnicy, i pocałował świętą księgę. Następnie Arabowie wręczyli mu wyszywaną sakiewkę ze złotem, którą ukrył z nie mniejszą czcią, z jaką całował Koran, po czym zapytał:

— Czy mogę już odejść?

Na te słowa Gent podniósł się ostrożnie z dywanu i cofnął za zasłonę w półmrok schodów. Widocznie razem z Asmanim schodził za myśliwym również i przewodnik, Gent bo-

* Livingstone'a.

wiem postyszał za sobą kroki i głosy dwóch ludzi. W czasie rozmowy Asmaniego z Arabami przewodnik siedział za ścianą na lewo od wejścia i dlatego Gent go nie zauważył. Obaj szli o wiele szybciej niż myśliwy, który na wąskich schodach nie mógł się nigdzie schować, a tym mniej ustąpić z drogi spiskowcom. Toteż Gent uznał dalsze ukrywanie się za bardziej niebezpieczne od ucieczki i puścił się pędem ku wyjściu. To spowodowało, że usłyszano jego kroki. Powstało zamieszanie. Na górze ktoś krzychał niewyraźnie i z trwogą, a potem rozległ się wystrzał z pistoletu. Kula odbiła się rykoszetem o ścianę i ominęła Genta. Myśliwy jednym susem dopadł komórki dozorczy i w kompletnej ciemności szukał po omacku drzwi. Kiedy je otworzył, nie pobiegł wprost przed siebie, aby nie narazić się na możliwą kulę, ale przemknął się na prawo koło ściany na odległość kilku jardów i tam przypadł do ziemi. Było rzeczą nieprawdopodobną, aby odkrył go tu ludzki wzrok. Czerń afrykańskiej nocy zacierała wszystko. Gent mógł obserwować tylko długie, ogniste wstęgi wystrzałów, których odbłask ukazywał plamy białych burnusów i błyszczące oczy strzelców, mierzących na chybił- trafił.

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Gent powrócił do *simbo*, gdzie zastał nie wygaszone jeszcze ogniska i światło w izbie Stanleya. Podróżnik leżał na ziemi, na wielkiej mapie, którą umocowywał szpilkami.

— No i co, mister Gent, czy skończył pan już swoją tajemniczą wyprawę? — Stanley odwrócił się usłyszawszy kroki przybysza. — Ogromnie niepokoiłem się o pana. Z drugiej strony ten niepokój uzmysłowił mi, jak bardzo mi na panu zależy.

— Dziękuję. To samo odczuwam w stosunku do pana.

— Jak to?

Gent opowiedział swoją przygodę. Stanley wstał z mapy, zwinął ją i usiadł przy stole, prosząc myśliwego o zajęcie miejsca naprzeciw niego. Selim przyniósł herbatę i koniak. Gdy wychodził, Stanley w zamyśleniu popatrzył na jego plecy.

— Ten chłopiec przyda się nam — rzekł. — Nie możemy przecież wypędzić Asmaniego, nie wyjaśniając ludziom przyczyny, a powiadomić ich o spisku równałoby się gaszeniu ogniska przez rozrzucenie płonących głowni po suchym lesie. Pan twierdzi, że w obozie są wspólnicy Asmaniego. Przede wszystkim należy ich zdemaskować. Selim jest mi oddany, więc każę mu śledzić Asmaniego. Później zobaczymy, co dalej począć z tą miłą kompanią.

— Niech pan jednak będzie ostrożny!

— Do diabła! Co za paskudna historia! Co mi pan radzi uczynić?

— Po pierwsze, niech jedzenie przygotowuje nam Selim albo Bombey, po drugie, proszę przenieść Asmaniego i tych, których pan podejrzewa, do innej karawany. Podczas polowań trzeba się trzymać miejsc otwartych.

— Ma pan chyba rację. Osobiście niezbyt wierzę w odwagę Arabów i Murzynów, lecz bezwzględnie należy się mieć na baczności. Pan także niech uważa na siebie, jest pan również białym.

Pożegnali się. Gent zasnął szybko. Stanley znowu rozwinął mapę i zaczął ją studiować obliczając dni marszów.

Rozdział VIII

NIEWOLNIK CAUPERE

Rano Amerykanin wezwał do siebie Selima i przeprowadził z nim długą rozmowę, po czym chłopak wyszedł z zatroskaną i poważną miną. Odtąd częściej niż dawniej można było go widzieć siedzącego przy ogniskach lub we wspólnych namiotach. Od owej pamiętnej nocy Asmani, mając w pamięci zakneblowanego i związanego dozorcę z baszty, miał się na baczności i zaprzestał jakichkolwiek rozmów z tragarzami na temat ekspedycji. Niejednokrotnie jego nieufne spojrzenie zatrzymywało się na Gencie, który zachowywał się beztrzesko i swobodnie. Lecz Arab coś podejrzewał. W każdym razie Asmaniego nie można było złapać na jakichś przestępczych poczynaniach. Mimo to Stanley przeniósł go do czwartej karawany wraz z innym jeszcze, podejrzanym tragarzem, który próbował kiedyś ucieczki, ale złapano go i ukarano. W stosunku do przewodnika użyto pretekstu, że czwarta karawana jest licznie słabsza od innych.

Droga wiodła przez góry i po ich stokach, przez moczary i rzeki. Pora deszczowa panowała w całej pełni. Gliniasty grunt zastępowała raz po raz stepowa gleba przeistoczona w grzęzawisko. Prócz tego drogę czasem zagradzało takie bagno, że nawet doświadczeni tragarze wchodzili w nie z westchnieniem: „Uch, dużo wody!” i trzeba ich było popędzać. Takie marsze wśród zgniłej mgły, kiedy woda sięgała pasa, męczyły wszystkich. W porównaniu z tym przeprawy przez rozlane potoki i rzeczki wydawały się drobnostką, aczkolwiek przechodzenie przez afrykańskie mosty, będące po większej części ogromnymi pniami — na których liany oplątywały kikuty uciętych gałęzi — wymagało nie lada akrobacji. Ale niekiedy trafiano na rzeki tak szerokie i burzliwe, że przepłynięcie się przez nie trwało po kilka godzin i wyczerpywało kompletnie ludzi i zwierzęta.

Co dzień padały po trzy, cztery osły; chore zwierzęta zostawiano na pożarcie drapieżnikom.

Wycieńczeni tragarze ledwie trzymali się na nogach. Stanleya omal nie zabiła krwawa biegunka. Ale po pewnym czasie karawana zbliżyła się do okolicy suchszej i zdrowszej. Droga zaczęła się wznosić wiodąc na szczyty Gór Uzagarskich.

U ich podnóża, w dużej wsi, karawana zatrzymała się na kilkudniowy odpoczynek.

Wytchnienie to pokrzepiło chorych i pozwoliło im stanąć na nogi. Przeprawa odbyła się pomyślnie. Gdy podróżnicy minęli góry, ujrzeli dolinę, przez którą płynęła rzeka. Karawana przebyła ją w bród i dotarła do małej wioski Kiora. Postanowiono się tu zatrzymać i tutaj właśnie Gent ujrzał gromadę pędzonych niewolników. Mijali wieś w asyście silnego konwoju pieszych i konnych Arabów. Stanley i Gent zbliżyli się do nich na tyle, że mogli widzieć wyraz twarzy nieszczęśliwych i policzyć ich. Było ich stu dwóch. Na szyi każdego zwisała ciężka, drewniana kłoda, połączona łańcuchami z kłodami innych niewolników, postępujących z tyłu i z przodu. Ta długa linia idących gęsiego Murzynów przypominała żywy, czarny naszyjnik.

Widok ludzi w pętach wśród bezkresnych obszarów Afryki, — gdzie, zda się, każda piędź ziemi wzywa do wolnego i pełnego wrażeń życia — wywarł na Gencie straszne wrażenie. Nie był sentymentalny, ale niektóre zdarzenia, bardziej aniżeli słowa, wywołują w naszych duszach niezmiernie złożone uczucia. Gent na moment tylko wyobraził sobie własną szyję skutą łańcuchem i przerażony potrząsnął głową. Przypomniał mu się wiersz:

*Hen, od Konga wieje wicher i na zachód bryg porywa,
Co sześciuset nieszczęśników pod pokładem swym ukrywa.*

*Z południowych wiezie krajów drogocenny łup „hebanu”,
Słysząc jęki przeraźliwe i złowrogi brzęk kajdanów.
Ale nikt tych skarg nie słucha, nadaremne łzy i krzyki,
Tylko szumem im wtóruje wolny wicher z puszczy Afryki.*

Przyszła mu też na myśl „Chata wuja Toma” i „Dred, opowieść z krainy ponurych bagien” *. Wrażenie przeżywanej sceny wyraziło się w słowach:

— Myślałem często, że najgorsze jest w tym wypadku nie cierpienie z powodu utraconej wolności, lecz martwota duszy, w jakiej wychowują się i żyją ludzie korzystający z pracy niewolników — ich okrucieństwo i zezwierzęcenie. Wszelkie ujarzmianie innych wyzwała najniższe instynkty.

— Nie wiem — rzekł Stanley z roztargnieniem. — Niech pan jednak spojrzy, jakie poddanie się losowi i potulność wyrażają twarze tych biedakowi Słyszałem, że łatwo przyzwyczajają się do niewoli.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa wysoki, młody Murzyn skierował pełne wyrazu spojrzenie na Genta, skrzywił usta w żalonym grymasie i wymownie potrząsnął łańcuchem. Gent uśmiechnął się. Miał w kieszeni składany nóż, który prócz kilku ostrzy był zaopatrzony w widelec, łyżeczkę, świderek i pilnik. Ponieważ ręce Murzynów nie były związane, Gent szybkim ruchem rzucił nóż jeńcowi, który zwrócił na siebie jego uwagę. Czarny błysnął białkami oczu i pochwycił go z małpią zręcznością.

— Co to było? — zapytał Stanley. — Co pan mu rzucił?

— Pilnik. Ale rzuciłem mu raczej wolność, jeżeli będzie miał dość rozumu, by się nim posłużyć.

Stanley wzruszył ramionami.

— Niech pan uważa, mister Gent, aby nie wynikły z tego jakieś przykrości. Arabowie są mściwi!

— Och! Jest ich trzy razy mniej niż nas! — odparł Gent. — A zresztą nie sędzę, by porzucili swój żywy skarb dla przyjemności strzelania.

Na następnym postoju, po przebyciu doliny zarośniętej dziko aloesem i kaktusami, których jaskrawoczerwone kwiaty płonęły między szarymi głazami, karawana zatrzymała się na brzegu rzeki. Z zapadnięciem zmierzchu zjawił się w obozie Murzyn z kłodą zawieszoną na szyi, ledwie żywy ze zmęczenia, z pokrwawionymi nogami. Momentalnie obstał go tłum ciekawych tragarzy, ale na widok nadchodzącego Genta czarny wyrwał się z kręgu, który go otaczał, i podbiegł do białego myśliwego. Upadł przed nim na kolana, następnie postawił nogę Genta na swojej głowie i zawołał:

— *Muzungu!* Noga twoja i głowa twoja! Jestem Caupere, twój niewolnik!

— Sprzedawca noża w Birmingham nie spodziewał się z pewnością takiego obrotu sprawy! — zaśmiał się Gent.

Jego słowa zbieg wziął bez wątpienia za jakieś zakłęcie, zerwał się bowiem i ze strachem spojrzął na białego.

— Caupere, będziesz moim niewolnikiem tak długo, jak długo sam tego będziesz chciał — ciągnął myśliwy. — A teraz idź do ogniska, dadzą ci tam jeść.

Następnie wyjaśnił tragarzom, że nowo przybyły zostanie włączony do karawany, i kazał go dobrze nakarmić, sam zaś udał się do Stanleya i opowiedział mu o całym zajściu.

— Zdobył pan sobie oddanego sługę w rodzaju mojego Selima — zauważył Amerykanin. — Zawołamy tego pańskiego Cauperego. Nie mam dziś zamiaru pisać, niech więc opowie nam o swoich perypetiach.

Caupere przyszedł. Szyja jego wolna już była od kłody, rozbili ją tragarze. Najpierw

* Książki autorki amerykańskiej Harriet Beecher-Stowe (1811—1896), opisujące niedolę niewolników murzyńskich w Stanach Zjednoczonych.

poprosił o tytoń i zapalił. Następnie usiadł na ziemi i tak zaczął swoją opowieść.

— Pochodzę z Udoe, stamtąd — wskazał ręką na południe. — Nasza wieś jest duża, odbywają się w niej targi i przychodzi do niej wiele ludzi. Dwa razy słońce obeszło ziemię, a moja żona Mzuta nie wracała do domu. Poszła po sól. Poszedłem szukać Mzuty, spotkałem ją i zabiłem, bo za sól dała słoniowy kieł. Potem usiedliśmy, bo to już było bardzo blisko naszej wsi, i jedliśmy sól. Ona dużo zjadła. Chciałem jej zabrać sól, ale usłyszałem strzały i oboje zapomnieliśmy o soli. „Poczekaj jeszcze — powiedziała Mzuta. — Musimy się dowiedzieć, co się stało”. Kazałem jej zostać, a sam podczołgałem się do wsi i zacząłem patrzeć. Na ulicy leżało dużo zabitych, sami nasi. Wtem znowu zaczęła się strzelanina i zobaczyłem Arabów. Biegali niczym jaszczurki, wymachiwali strzelbami i zganiali ludzi. Wkrótce zjawiły się kłody i łańcuchy. Zaczęto skuwać naszych, oni płakali, krzyczeli, a zbóje bili ich batami po głowach i plecach. Moje serce przestało bić, *muzungu*, jak to zobaczyłem. Leżałem i trząsałem się ze strachu, kiedy nagle zza krzaka, koło mojej głowy, ukazała się jeszcze jedna głowa, a była to głowa Jokiego, mojego wuja. „Uciekłem — powiedział. — Ty też się schowaj. Przyszedł Sulejman-ben-Nazib z trzystu wojownikami”. „Biada nam!” — zawołałem i w tej samej chwili usłyszałem za sobą szelest — to przyczołgała się Mzuta. Najpierw lamentowaliśmy razem, a potem zaczęliśmy radzić, co począć. Wtem — paff, paff! — rozległy się wystrzały z dwóch strzelb naraz i tak blisko, że zdawało mi się, jakby mi strzelono prosto w uszy. I Mzuta od razu padła martwa. I zaraz skoczyło na nas pięciu Arabów, związali Jokiego i mnie. Ja milczałem, bo ich uszy są dla nas zamknięte. Pomyślałem: „Co będzie dalej?” Joki krzyczał głośno, a później splunął i trafił Araba w oko. Wtedy drugi Arab odrąbał mu głowę, kopnął ją i powiedział: „Tak stanie się z każdym, kto nie będzie posłuszny”. Żał mi było Mzuty, ale wtedy nie mogłem płakać.

Skuto mnie razem z innymi, a później Arabowie podpalili wieś. Szliśmy przez góry i z góry obejrzałem się. Za nami było dużo dymu i ten dym jakby nawoływał nas do powrotu. Nie powiedziano nam, dokąd idziemy, a zresztą było nam już wszystko jedno. Ja nigdy nie byłem niewolnikiem, ale jeden staruch już był w niewoli w Gabonie, na zachodzie, i po drodze opowiadał, jak tam żył. Przebywał u Fanów. Fanowie to wielkie plemię czarowników. Kazali mu ciężko pracować, ale można było odzyskać wolność. „Jak?” — zapytałem. „Jeżeli komu dokuczył łańcuch i czuł się zmęczony, mówił o tym nadzorcy, a ten dawał mu wtedy butelkę rumu. Człowiek wypijał rum i był pijany i wesoły. Wtedy Fan uderzał go maczugą w głowę i rozbijał mu czaszkę. Ja też powiedziałem, że nie będę pracował, ale mi głowy nie rozbili, tylko zaprowadzili przed radę starców, bo umiałem dobrze wynajdywać wodę i tam gdzie kazałem kopać, zawsze było źródło. Starcy nie zabili mnie, ale kazali mi pracować. Pracowałem trzy dni i uciekłem. Szedłem do domu dwa lata, nie wiedziałem, czy dobrze idę. Pewnego dnia spotkałem leśnego człowieka *. Wiesz przecież, że on umie mówić, tylko się boi, żeby go nie zrobili niewolnikiem. Ale mnie powiedział: »Ciagle kręcisz się w kółko. Idź prosto do skał, tam zobaczysz strumyk, potem dużą rzekę, a potem małą. Jak już będziesz nad małą rzeką, to skieruj się na wschód«. Tak uczyniłem i dotarłem do domu”.

Więcej nic nie mówił, a mnie stało się jeszcze ciężiej na sercu i zacząłem rozmyślać, jakby tu uciec. Wielu z nas pomarło w drodze. Połowa umarła. Ale ja nie chorowałem. Szedłem jeszcze długo, aż zobaczyłem wesołego *muzungu*. *Muzungu* rzucił mi nóż białych, a w nim był gwóźdź, który piłuje. W nocy położyłem się na łańcuchu i tak go piłowałem, że aż krew mi płynęła z palców i łańcuch pękł. Hieny już przestały wyć, kiedy przepiłowałem drugi łańcuch. Zbliżał się świt. Wyczołgałem się i uciekłem. Nikt mnie nie widział.

Opowiadający gestykulował obrazowo i śmiał się. Zapomniał już o swych cierpieniach.

— Wypij kieliszek wódki, Caupere — powiedział Gent.

Murzyn wypił łańcuchy. Jego oczy zabłysły, szeroka twarz rozpląnęła się w maślanym

* Tak Murzyni nazywają goryle.

uśmiechu. Ujął rękę Genta, położył na swojej głowie i wybełkotawszy: „Caupere jest twoim niewolnikiem”, powrócił do namiotu tragarzy.

Już niebawem Gent mógł się przekonać o szczerym oddaniu tego człowieka. Należy dodać, że odznaczał się on niezwykłą siłą i bagaże dźwigał bez trudu. Kiedyś, po długim marszu przez bagnistą okolicę, obuwie podróżników tak napęczniało, że wszyscy — Show, Farkoogar, Stanley i Gent — szli boso, wrzuciwszy buty na wóz. Wieczorem tragarze jak zwykle rozbili namioty i Gent chciał wejść ze Stanleyem do swojego. Szedł pierwszy. Nagle Caupere, który towarzyszył mu nieodłącznie, przypadł do ziemi, odepchnął go i wyciągnął z piasku kilka ostro zakończonych patyczków, których spiczaste końce pokrywała gęsta i ciemna jak dziegieć maź.

— Patrz, muzungu, i ty też patrz, gruby *muzungu* (tak zwali Murzyni Stanleya). Tutaj był twój wróg! A to jest śmierć!

Wyciągnął ku nim tajemnicze patyczki i wywracając białka oczu, drgał niby w przedśmiertnych konwulsjach.

— Tak to jest — mówił Caupere. — Człowiek stąpnie, skaleczy nogę i umrze, zanim zdąży przypomnieć sobie imię ojca!

Gent powąchał zatruty koniec zdradzieckiego patyka. Nieznana substancja wydawała duszący, cierpki zapach. Ale owe patyczki nie były wycięte za pomocą noża i fakt ten wywołał wątpliwości białych.

— A może te patyki przypadkiem upadły na ziemię, Caupere? — odezwał się Stanley.

— Przypadkiem? Spójrz, muzungu! — wzburzony Caupere pobiegł do wozu, na którym leżały powiązane kury, i wzięwszy jedną, ukłuł trzepoczącego się ptaka w nogę. — Patrz! Już po niej!

Rzucił ofiarę swego doświadczenia do stóp Genta. Kura słabo pisnęła, odrzuciła głowę i zeszytniała. Była martwa.

Mimo upału podróżnicy poczuli przykry chłód.

Gent przyjaźnie poklepał czarnego po ramieniu.

— Dzięki ci, przyjacielu! Nie zapomnę ci tego.

— Caupere jest twoim niewolnikiem — rzekł po prostu Murzyn — i będzie służył *muzungu*.

— Trzeba to zachować w tajemnicy przed naszymi ludźmi! — zauważył Stanley. — Nie wspominaj nikomu o tych patykach, Caupere. Sądzę — zwrócił się do Genta — że wszelkie plotki przyniosłyby nam tylko szkodę. *Pagazi* są przesądni i mogą uznać ten zamach za ostrzeżenie ze strony kogoś... no, jakiegoś tam ich diabła, któremu nasza wyprawa się nie podoba.

— Słusznie — przyznał mu rację Gent.

Po tym zdarzeniu kilka dni minęło spokojnie i karawana posuwała się dalej wśród górzystej okolicy, aż zatrzymała się wreszcie nad jeziorem Ugombo. Jego brzegi porastały szuwały i trzcina, tylko gdzieniegdzie widniały szerokie przejścia wydeptane przez hipopotamy, bawoły, żyrafy, zebry i antylopy przychodzące tu do wodopoju. Po gładkiej tafli wody pływały czarne łabędzie i kaczki; na kępach trzciny stały pelikany — wielkie ptaszyska o potężnych dziobach i zwisających wolach, dziwnie przypominające uczestników procesji w długopółnych, białych szatach. Po piaszczystych mierzejach przechadzały się różowe ibisy. Głośno pokrzykiwały czaple. Przenikliwe głosy tukanów — zdobnych w grzebieniaste, rogowe narośle na mocnych dziobach — wyróżniały się od czasu do czasu wśród chóralnego ptasiego gwaru. W zaroślach gruchały dzikie gołębie, śpiewnie pogwizdywały kuliki, chyżo zataczając równe koła nad wodą. Karawana zatrzymała się tu na dwa dni i w czasie postoju doszło do wyjaśnienia stosunków pomiędzy Farkoogarem a Showem z jednej, a Stanleyem i Gentem z drugiej strony.

Rozdział IX

LEKCJA UPRZEJMOŚCI

Farkoogar był to kłótlivy złośnik, kapryśny i wygodnicki. Ogólnie pokpiwano z jego niezaradności i wielkich wymagań. Usługiwało mu kilku ludzi, którym wymyślał używając ordynarnych wyrażen, godnych raczej szumowin z więzienia, a także bił w okrutny sposób swego kucharza. Jeździł na osłach, nie schodząc prawie z siodła, wskutek czego wykończył trzy wierzchowce, które nie umiały znieść tak niespokojnego ciężaru, na swoich grzbietach. Będąc naczelnikiem trzeciej karawany, do czasu połączenia jej z karawaną Stanleya, roztrwonił tyle paciorków, drutu i materiałów, że przy normalnym zużyciu starczyłoby ich na trzy miesiące. Stale sobie dogadzał kupując dziczyznę, palmowe piwo, masło, gęsi, kury, jaja i owoce, przy czym płacił za wszystko z bezmyślną szczodrością. Konwojenci tak byli zastraszeni napadami jego wściekłości, że bali się po prostu doń zbliżyć. Na domiar złego zapadł na jakąś dziwną chorobę, coś w rodzaju puchliny wodnej, połączonej z malarią. W związku z tym stał się zupełnie nieznośny, chociaż z Showem starał się ostatnio żyć w zgodzie, wyczuwając w byłym marynarzu pokrewną duszę, którą raził despotyzm Amerykanina. Na temat tego despotyzmu trzeba powiedzieć, że tylko dzięki żelaznej wytrwałości i surowemu postępowaniu, koniecznemu w tych okolicznościach, Stanley mógł osiągnąć swój cel. Słabość zgubiłaby go prędzej niż wystrzelona z bliska kula.

— Farkoogar nas zrujnuje! — odezwał się rano Stanley do Genta. — Zajeździ na śmierć wszystkie osły i roztrwoni zawartość jeszcze kilku pak. Mam zamiar zostawić go w którejś z przydrożnych wiosek, żeby tam wyzdrowiał, i zaopatrzę go w towary na kilka miesięcy, żeby nie umarł z głodu. W powrotnej drodze zabiorę go z sobą. Dobrze, że pan przyszedł akurat na śniadanie, bo kazałem obydwu stawić się tutaj. Show także zasłużył na porządną burę.

Słońce stało jeszcze nisko nad horyzontem i zaglądało do namiotu, kiedy Selim przyniósł i ustawił na stole śniadanie. Składało się ono z pieczeni z koźlęcia, gorących placków, duszonej wątróbki i mocnej kawy, parzonej z cukrem. Stanley wyjaśniał Gentowi swój pogląd na pochodzenie jeziora Ugombo. Sprawa polegała na tym, że w okolicach jeziora, w obrębie wielu mil, trafiały się złoża skamieniałych muszli i fosforytów *. Dawało to Stanleyowi powody do przypuszczeń, iż Ugombo jest pozostałością wielkiego wewnętrznego morza.

Gdy nadeszli Show i Farkoogar, Gent zwrócił uwagę na ich ponure miny.

— Dzień dobry! — powitał ich sucho Stanley. — Proszę, niech panowie usiądą.

Usiedli bez słowa i spuścili oczy. Farkoogar ujął się pod boki i ciężko sapiąc wdychał zapach jedzenia. Show zacisnął usta i splótłszy dłonie, kręcił kciukami młynka. W pełnym napięciu zachowaniu się obydwu widoczna była śmiertelna uraza, rozjątrzona w dodatku wybijającą ambicją.

Stanley pobladł. Gent uśmiechał się.

— Proszę jeść, Show — powiedział spokojnie Amerykanin. — Może zechce pan podać Farkoogarowi placki.

— Psie jedzenie! — wybuchnął nieoczekiwanie Show. — Tak jest, psie!

— Co?

— To, że pańskie postępowanie w stosunku do nas jest haniebane! Zmusza mnie pan, abym chodził piechotą! Sądziłem, że będę mógł korzystać z osłów. Powinniśmy także mieć do naszej dyspozycji własną służbę. Chodzić co dzień pieszo w taki upał... pokorny sługa! Do

* Fosforyt — minerał pochodzenia organicznego.

diabła z tą całą pańską ekspedycją! Bodajby ją wszyscy diabli! Tak jest, mister Stanley! Ja nie z tych, co milczą, więc powiedziałem, co miałem na wątrobie!

— Wszelkie udogodnienia mieliście na początku naszej podróży. Teraz osły Farkoogara pozdychały, a z moich padło siedem. Zmuszony byłem wyrzucić z tego powodu wiele rzeczy, by móc zabrać najpotrzebniejsze. Jeżeli pan zajeździł na śmierć ostatnie osły, to skąd weźmiemy nowe? Gdzież tu wynajmę na ich miejsce trzydziestu tragarzy? Klnie pan w mojej obecności. Proszę pamiętać, gdzie się pan znajduje i kim pan jest! Jest pan moim sługą, a nie kolegą!

Show wykrzywił usta z wściekłością i wstał, a na jego twarzy malowała się groźba. Stanley odsunął talerz i zbliżył się do niego.

— Sługa?! — zaczął Show. — Takiego amerykańskiego idio...

Celne uderzenie w nos przerwało dźwięczne słowo. Show upadł.

— Chcesz jeszcze jedną nauczkę? — zapytał Stanley dysząc ciężko.

Show podniósł się. Trząśnięty całym i z trudem mógł mówić.

— Wracam. Mam tego dość! Nie chcę więcej pana znać! Rozliczenie!

— Z przyjemnością, Bombay!

Zjawił się Bombay. Stanley szorstkim gestem skinął w stronę pobitego.

— Słuchaj, Bombay, ten człowiek nie jest już w naszej karawanie. Odchodzi. Rozbierz jego namiot. Strzelbę i pistolet przynieś tu do mnie. Potem zabierzesz jego bagaż, odprowadzisz go jakieś dwieście jardów od obozu i zapomnisz o nim.

Podczas całej tej sceny Farkoogar nie ruszył się z miejsca ani nie odezwał słowem. Gdy Show odszedł, zaryzykował uwagę:

— Dość surowo obszedł się pan z nim, w dodatku w obecności Murzynów.

— Nic nie szkodzi — odparł Stanley. — Murzynom będzie przyjemnie, że kolor skóry nie stanowi obrony dla lenia i impertynenta. Proszę nie zapominać, że w tym okropnym kraju zdani jesteśmy wyłącznie na siebie. A propos pana, Farkoogar! Jest pan chory i wkrótce nie będzie się pan mógł w ogóle poruszać. Zostawię więc pana w jakimś spokojnym miejscu pod opieką naczelnika wsi, zapłaciwszy mu za tę opiekę i wyżywienie. To jest jedyny sposób, żeby pan wrócił do zdrowia. Innego wyjścia nie ma.

Farkoogar zgodził się z tym. Śniadanie było skończone i Gent właśnie zamierzał odejść, gdy wszedł Bombay.

— Buana Mdogo * prosi, aby *muzungu* wyszedł do niego. Jest tam.

— Gdzie?

— Za namiotem.

— Przyprowadź go tutaj!

— No, ja odchodzę — rzekł Gent domyślając się, że Showa czeka niemiła scena. — Chodźmy, Farkoogar!

— Co za okropny kraj! Po co tu przyjechałem? Człowiek może tu zdechnąć jak pies! Dużo bym dał, aby znaleźć się już w Europie!

— Tak samo, jak niejeden dałby dużo, aby znaleźć się na pana miejscu!

— Pan żartuje!

— Bynajmniej. Ludzka natura pożąda różnorodności.

— Bardzo kiepska ta natura. Idę spać.

Rozstali się. Wieczorem Gent zobaczył Showa, który czyścił strzelbę, więc spytał Stanleya, co zaszło.

— Prosił o przebaczenie — wyjaśnił Stanley — i postawił mnie w sytuacji bez wyjścia. W tych okolicznościach musiałem mu wybaczyć. Ale daję panu słowo, że wcale nie jestem tym zachwycony.

* Buana Mdogo — mały pan; tak nazywali Showa Murzyni (buana — pan).

Zapadł mrok. Show siedział w namiocie i w ponurym nastroju przetrwał zdarzenia dnia. Zza namiotu dobiegał śpiew Murzyna. Dawny marynarz ze zdziwieniem i oburzeniem słuchał pieśni, nuconej tęsknym głosem; powtarzały się w niej od czasu do czasu drwiące, humorystyczne strofki, które przenikały serce Showa takim bólem, że aż zgrzytał zębami.

A-a! Oto Buana Mdogo,
Ważny, bardzo ważny,
Idzie jeść do *muzungu*.
A-a! Ważny, och, ważny,
Nie chce jeść!
A-a! Oto Buana Mdogo Zły, och, zły,
Wymyśla, *muzungu*.
A-a! *Muzungu* też zły,
Strasznie zły. Strasznie.
Zbił Buana Mdogo.
A-a! Buana Mdogo ugryzł się w palec.
O, ugryzł się do bólu
I uspokoił serce.
A-a! Buana Mdogo chodzi,
Chodzi, prosi *muzungu*,
Żeby nie bił Buana Mdogo.
A-a! *Muzungu* nie bije Buana Mdogo.
Siedzi i śmieje się Cha-cha-cha! I pije rum!

Rozległ się wybuch śmiechu. Show wypadł wściekły z namiotu, wymachując rewolwerem. Lecz nagle wszystko ucichło, a ciemność nie pozwalała dojrzeć czegokolwiek. Tylko w oddali słychać było głosy i pośpieszny tupot bosych stóp.

Show zawrócił. Ogarnął go wstyd i gniew. Plany zemsty rodziły się już w jego głowie, jeden bardziej niedorzeczny od drugiego. Chciał się uspokoić, więc wy dostał butelkę i o mało się nie zakrztusił pijąc z niej duszkiem whisky. Nagle poczuł za sobą czyjś oddech, odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z Asmanim.

— Czego? — zapytał Show niegrzecznie.

— Asmani nie przyszedł tu, aby oglądać namiot. On chce mówić — powiedział Mulat.

— Więc mów!

— Wszystkim nam jest źle, tak jak tobie. *Muzungu* zbił ciebie, a jutro zbije mnie. Zastrzel go!

— Czyś ty zwariował, czarna małpo?! — wrzasnął Show oprzytomniawszy po nieoczekiwanej propozycji. — Powtórzę twoje słowa Stanleyowi!

— Powtórz. Niech ten, którego ręka uderzyła ciebie jak niewolnika, uderzy Asmaniego. Ale Asmani nie daruje krzywdy!

— Wynoś się! — powiedział Show zmieszany. — Odejdź!

— Asmani pójdzie. O Buana Mdogo, Buana Mdogo! I to ja niosłem twoje rzeczy! Żegnaj, serce antylopy!

Mulat zniknął, zanim Show zdążył się na niego rzucić. Niespodziewana wizyta poruszyła całą gorycz nagromadzoną w jego sercu. Znowu pociągnął z butelki. Dwukrotnie układał się do snu, ale za każdym razem zrywał się jak ukąszony na wspomnienie szczegółów poniżającej sceny. Czuł się zdeptany przez Stanleya. Ogarniała go coraz większa wściekłość i oburzenie, aż doszły do takiego stopnia, kiedy wszelkie odruchy rozsądku ustępują na rzecz innych odruchów o błyskawicznym działaniu. Natrętna myśl o zemście prześladowała go uporczywie.

Show był właśnie u szczytu rozwścieczenia, kiedy Stanley zgasił światło w swoim namiocie i odwrócił się na bok, zamierzając spać. Nagle przypomniał sobie nazwę ptaka,

którego zauważył w ciągu dnia, i obawiając się, że znowu ją zapomni, zapalił świecę, wziął ze stołu dzienniczek i zapisał w nim słowo *ogolulu*. Ostatnie „u” zniknęło w ciągu ułamka sekundy — kula przebiła zeszyt, zniszczyła literę, wytrąciła ołówek z ręki piszącego, a dziennik upadł do jego nóg. Huk strzału odbił się złowieszczym echem. Falujące płótno namiotu, przepuściwszy kulę, chwiało cieniem Stanleya, który przez dobrą chwilę siedział oszołomiony. Następnie wyszedł z namiotu i zbliżył się do Murzynów grzejących się przy ognisku. Stali z otwartymi ze strachu ustami.

— Kto strzelał? — zapytał groźnie, przyglądając się uważnie ich twarzom.

— Buana Mdogo — odpowiedział jeden z *pagazich*, wskazując palcem stojący w pobliżu namiot Showa. — Tam... Namiot... Strzelał...

Stanley pośpiesznie wszedł do Showa. Marynarz głośno chrapał. Stanley zapalił świecę i trącił śpiącego. Ten poruszył wargami, przełożył rękę, lecz nie obudził się. Obok niego leżała strzelba. Stanley podniósł ją i dotknął palcem lufy. Stał była jeszcze gorąca, a palec pokrył się świeżą sadzą. Wówczas podróżnik już energicznie zbudził Showa.

— Co? Co to? Ach, mister Stanley! Czy to pan zapalił świecę?

Ziewnął nienaturalnie głośno i otworzył oczy, w których nie było śladu snu.

— Show, czy to pan strzelał?

— Ja? Strzelałem? Uchowaj Boże! Ach, tak! — wykrzyknął nagle. — Sen, sen! Miałem taki straszny sen! Śniło mi się, że do namiotu wtargnął złodziej. No, i tak we śnie... Tak, strzeliłem i... i z powrotem zasnąłem! Właśnie tak było!

Gdy tak bełkotał, sprawiał niezwykle ponure i żalosne wrażenie. Stanley wzruszył ramionami.

— Następnym razem, Show — przemówił wolno — następnym razem, gdy się panu znowu przyśni złodziej, proszę nie strzelać w kierunku mojego namiotu. Moje ciało może przeszkodzić kuli w osiągnięciu celu.

Odpowiedzią były jakieś słowa rzucone drżącym głosem bez ładu i składu. Stanley wrócił do siebie i długo nie mógł zasnąć. Usiłowanie zabójstwa nosiło cechy dziecinady, ale również i głębokiej nienawiści. Na polowaniu lub w czasie marszu mogło się zdarzyć wiele dogodniejszych okazji. Ale widocznie Show nie mógł czekać, nie umiał uzbroić się w cierpliwość, aby dokładnie obmyślić plan. Działał pod wpływem niepohamowanej żądzy zabójstwa, na której dnie leżała chęć zemsty. Brakowało jednak niezbitych dowodów przestępstwa, wobec czego Stanley postanowił nie nadawać temu zajściu dalszego biegu. Nawet nie wspomniał o nim Gentowi w obawie, że ten energiczny człowiek zareaguje inaczej i surowiej, co mogło spowodować niepożądane konsekwencje.

Rozdział X

ROZBÓJNIK MIRAMBO

Nazajutrz karawana wyruszyła przez dolinę położoną wśród tarasowatych występów skalnych, z których sypały się zachwiane dawnymi trzęsieniami ziemi olbrzymie głazy. Dolinę porastały gęsto baobaby, tamaryndowce i kolczaste krzewy.

Nieco dalej droga skręcała po gładkiej równinie ku wysokim górcom, widniejącym na północo-zachodzie. Rosła tu dżungla pełna niegościnnych cierni. Przebywszy ją, karawana zaczęła się zbliżać do bogatego okręgu Ugogo; spotykane karawany opowiadały z zachwytem o tej krainie.

W jednej z górskich wiosek Stanley zostawił Farkoogara, dając mu jako przewodnika tragarza Dżako. Farkoogar otrzymał również zapas towarów na sześć miesięcy — paciorków i sukna — a także strzelbę, kilka garnków i trzy funty herbaty.

W czasie marszu przez pozbawioną wody pustynię, szerokości trzydziestu mil, Gent zapadł na febrę. Mgła przesłoniła mu oczy i przez długi czas nie poznawał nikogo. Niekiedy z otaczającego go mroku wyłaniała się na moment zmartwiona twarz Cauperego, mówiącego coś nad noszami, na których transportowano chorego, lecz gorączka szybko gasiła sens słów i znowu powracały majaki, przybierając w skołatany umyśle kształty rzeczywistego świata. Za noszami kroczył tłum ludzi o surowych twarzach. Ich głosy brzmiały to bliżej, to dalej, a echo słów dźwięczało w głębi serca. Byli to podróżnicy, którzy już dawno zginęli.

— Mnie zamordowano — mówił jeden pokazując szyję opuchniętą i czarną. — Jad zatrutej strzały zatrzymał krew i rozsadził serce.

- A mnie porzucono — mówił drugi. — Zmarłem na febrę.

I wstrząsany dreszczami, szedł obok noszy.

— Ugryzł mnie wąż — opowiadał trzeci. — Zmarłem w puszczy, z dala od rodziny, już blisko celu.

Skargi te były nad wyraz bolesne, a opowieści przerażające. Mnóstwo zmarłych opowiadało kolejno o swych cierpieniach, trudach, wyrzeczeniach, chorobach i głodzie. Pokazywali swe popękane, zgrubiałe dłonie, które całymi miesiącami nie stykały się z mydłem, nogi broczące krwią. Szli wytrwałym, swobodnym krokiem ludzi nawykłych do długich i częstych marszów. Pałające, zarośnięte twarze świadczyły o bezsennych nocach w okresach walk, o smutku samotności, łagodnym czasem urywkiem postrzępionego listu; o gorącej żywotności duszy, dążącej wiecznie ku Nieznanemu. Gent wysłuchiwał tego z uwagą i kiwał głową, mówiąc: — Będę to miał na względzie. Wszystko się załatwi. Mam gotowy plan.

Chwilami spoglądał na obłoki i zdawało mu się, że brodzi po nich i błąka się wśród kolorowych i białych równin, zalanych jasnym blaskiem. Wznosiły się tam budowle o zmiennych kształtach — nieokreślone twory z mgły i światła; zapalały się snopy ognia bijące fontannami kropli i wybuchały bezgłośnie fajerwerki, wstrząsając osłepiającą grą dziwacznych barw białą krainą, unoszącą się nad ziemią. A podczas gdy Gent tam przebywał, gigantyczny ptak, wielki jak połowa nieba, leciał na zachód. Jego skrzydła widoczne były spoza fal obłoków i błyszcząły niby śnieg czy marmur.

Gent odzyskał przytomność na granicy okręgu Ugogo i przewyciężając osłabienie, wsiadł na osła. Jego choroba trwała trzy dni. Pierwszym człowiekiem, który przywitał go po powrocie do przytomności, był Caupere. Śmiał się szeroko, obnażając przy tym wszystkie zęby, i wywracał oczami, jednak w tej zabawnej mimice można było wyczuć łyzy wielkiej radości.

— *Muzungu* patrzy i widzi! — cieszył się Murzyn. — Widzi Caupere! Ja, Caupere, jestem tutaj. Kiedy zły duch męczył *muzungu*, Caupere zapalał *mcunę* * i dym nie podobał się duchowi. Zły duch sobie poszedł. O! O! *Muzungu* może już chodzić!

Oczywiście, wierzył szczerze, że tak właśnie było, choć Stanley, który regularnie poił Genta roztworem chininy, mógł mieć co do tego inne zdanie. Zdarzenie owo uzmysłowiło Gentowi z niezwykłą jasnością, jak słabe i kruche jest życie człowieka, który zabrnął do Centralnej Afryki, toteż uznał za konieczne napisać list i oddał go Stanleyowi. Na kopercie widniały słowa: „Proszę otworzyć, w razie gdybym umarł w drodze”.

Wręczenie tego listu, przyjętego przez Stanleya z milczącą zgodą, kazało Amerykaninowi stwierdzić ponownie, że prawdziwy cel podróży jego towarzysza jest mu nie znany. Może odkryje on go dopiero Livingstone'owi? Stanley był ambitny i przestał zastanawiać się nad tajemniczą kopertą.

* *Mcuna* — aloes.

Okręg ten zamieszkiwali Gogowie — lud wojowniczy, dziki, ciekawski, chciwy i przebiegły. Pobyt tutaj drogo kosztował Stanleya: w każdej wsi rządził król, przeważnie nałogowy pijak i oszust, i pragnął zaimponować białym swą wspaniałością i potęgą. Co prawda owa wspaniałość ograniczała się do pogniecionej europejskiej kapelusza i jakiegoś postrzępionego munduru z epoletami, przez którego rozłazące się szwy z prawdziwą wspaniałością przeświecało królewskie czarne ciało. Władcy prosili o tytoń, wódkę i bezwstydnie proponowali białym własne żony, lecz spotkawszy się z odmową, musieli wymieniać na towary Europejczyków rzeczy bardziej praktyczne, jak kozy, owce, kury, masło, ryż, jaja i owoce. Okolice były urodzajna i malownicza.

Gogowie na każdym postoju przychodzili tłumnie do obozu, przyglądali się białym ludziom z natrętą ciekawością, ufając przy tym bardziej zmysłowi dotyku aniżeli wzroku i obmacując wszystko, co tylko zwracało ich uwagę. Czasem trzeba było nawet rozpędzać tłum. Wtedy skupiali się ciasno, przybierali groźną postawę i chwytali się za ręce, ale gdy Stanley zaczynał lekko poklepywać kolbę sztucera, od razu przywoływał ich tym do porządku.

Pewnego razu do Genta podeszło trzech Gogów z zapytaniem, czy nie widział kobiety z dzieckiem. Gent otwierał już usta, aby odpowiedzieć przecząco, gdy Caupere, znajdujący się obok niego, gwałtownie szarpnął go za rękę.

— Co się stało? — zdziwił się myśliwy.

Milcz, *muzungu!* Jeżeli przemówisz, uznają cię za winnego. Kiedy powiesz: „Widziałem”, oskarżą cię, żeś zabił kobietę i dziecko. Kiedy powiesz: „Nie, nie widziałem” — też uznają cię za winnego i będziesz musiał zapłacić duże odszkodowanie!

Jednak i bez owych gogowskich pułapek podróżni musieli aż ośmiokrotnie zapłacić haracz. Paki stawały się coraz lżejsze.

W tych okolicach karawana Stanleya zetknęła się z karawaną arabskich kupców powracających znad Jeziora Białego w Tanganice. Szeik, przywódca karawany, poinformował Stanleya, że widział Livingstone'a w Udżidzi, niedaleko od miejsca, gdzie rzeka Malagarasi wpada do jeziora Tanganika. Stanley zasypał szeika pytaniami, na które ten odpowiedział, że „siwy człowiek przybył niedawno po długiej podróży do Udżidzi i jest chory”.

Dzięki tej wskazówce Stanley poczuł przypływ otuchy: upewnił się, że idzie do celu właściwą drogą.

Ostatni etap na szlaku wiodącym do Taboru, głównego miasta kolonii arabskich w okręgu Unianiemo, przebyto w uciążliwym skwarze, dochodzącym do 55° Celsjusza. Wszyscy byli zmęczeni do ostatnich granic. W Taborze arystokracja arabska powitała podróżnych z honorami, ofiarowując im wygodne kwatery i podejmując ze wschodnią gościnnością. Tam też połączyły się z oddziałem Stanleya pozostałe karawany.

Okazało się, że droga wiodąca do Udżidzi, gdzie widziano Livingstone'a, jest zamknięta. Stanley powiedział o tym Gentowi. Spowodowało to zupełnie nieoczekiwane skutki.

Obaj podróżni mieszkali w bogatym arabskim domu, który tutejszy szeik oddał do ich dyspozycji.

— Znosi się na wojnę — rzekł Stanley do Genta.

— Z kim?

— Z Mirambą. Niech pan posłucha, Gent. Właśnie wróciłem z narady wojennej, na której obecna była cała arabska starszyzna. Odbywało się to dość burzliwie. Wojna jest postanowiona. Mirambo to ktoś w rodzaju afrykańskiego Napoleona. Nie jest Arabem czystej krwi, jego matka była Murzynką. Mirambo, z zawodu tragarz, został hersztem ogromnej bandy, grasującej w wiliankurskich lasach. Kiedy zmarł naczelnik okręgu Ujowe, Mirambo zagarnął tę krainę i obwołał się jej władcą. Zgodnie ze zwyczajem wszystkich uzurpatorów umocnił swoje nowe stanowisko kilkoma udanymi wyprawami. Potem prowadził wojny z sąsiednimi plemionami, wyniszczył okoliczną ludność i zaczął napastować Arabów, którzy nie chcieli

przyłączyć się do niego w walce przeciw jego wrogom.

— Co za historia! — zaśmiał się Gent. — I cóż na to Arabowie?

— Arabowie są oburzeni. Mirambo napadł na arabską karawanę, idącą z Udżidzi, i zmusił ją do oddania pięciu beczulek prochu, pięciu strzelb i pięciu pak materiałów. Ale nie koniec na tym: Mirambo kazał karawanie zawrócić, oświadczając, że odtąd do Udżidzi będzie można przejść tylko po jego trupie.

— Czy próbowano jakichś pertraktacji dyplomatycznych?

— O, tak! Narody Wschodu to mistrzowie dyplomacji. Zawstydzano Mirambę, upominano, proponowano mu dary, ale on nie zgadzał się na pokój. Wypowiedział wojnę mającą trwać dopóty, dopóki Arabowie nie zawrą z nim przymierza. W przeciwnym razie będzie wojował, aż wytępi wszystkich Arabów w Unianiembo. Jego najbliższym celem jest zdetronizować starego Mkazawę, sułtana okręgu Waniumweha, i zasiąść na jego tronie.

— Teraz rozumiem, o co chodzi — rzekł Gent. — Kość słoniowa z Udżidzi oraz z pobliskiego Urundi, z Karagwe i Ugandy wyśliznie się z rąk Arabów, o ile Mirambo nie udostępni im znowu starych, najkrótszych szlaków.

— Tak jest, ale Arabowie spodziewają się zakończyć wojnę w ciągu dwóch tygodni.

— No tak — rzekł Gent po chwili milczenia. — Cóż więc poczniemy?

— Postanowiłem przyłączyć się do Arabów. Mam nadzieję, że po klęsce Miramby i jego sojusznika, bandyty Rugo-Rugo, zdołam przedostać się do Udżidzi prostą drogą. Jestem przekonany o zwycięstwie Arabów. A teraz, jaki jest pana pogląd na tę sprawę?

— Szczerze mówiąc, nie wiem jeszcze, jak postąpić — odparł Gent.

— Ach, tak! — Stanley był niemiłe zaskoczony stanowiskiem towarzysza. Przypuszczał, że wyrazi on od razu zgodę na przystąpienie do wojennej wyprawy. — Ale wydaje mi się, że sam nie zdoła się pan przedostać do Udżidzi.

— A to dlaczego? — zaprzeczył Gent z roztargnieniem, a widząc zdziwienie, jakie wywołały jego słowa, dodał: — Chcę powiedzieć, że jeszcze nie zastanowiłem się dobrze nad sytuacją. Zawiadomię pana wieczorem o mojej decyzji.

Stanley niechętnie wzruszył ramionami. Nie mając podstaw do podejrzenia Genta o tchórzostwo, nie chciał tłumaczyć sobie jego postępowania inaczej niż jakąś nową tajemnicą. Obecność w obozie człowieka cennego pod każdym względem jako towarzysza podróży, lecz którego postępowanie oparte było na niezrozumiałych pobudkach — drażniło trochę Stanleya. Ukrył wszakże niezadowolenie i postanowił wieczorem rozmówić się z Gentem. Teraz należało zjeść solidny obiad, który właśnie zaanonsował Arab, zjawiając się z ukłonem w drzwiach.

— Niech łaska Allacha spłynie na was, biali szejkowie! Nasz pan, Chamis-ben-Abdulla, przysłał wam ten nędzny posiłek i prosi o zaszczylenie go zjedzeniem wszystkiego.

W ślad za nim ukazało się dwóch kuchcików niosących srebrny półmisek spowity w obłoki pary. Wznosiła się na nim góra ryżu oblanego baranym tłuszczem, zmieszanego z migdałami, rodzynkami i winogronami, całość zaś przybrano plastrami cytryny. Następnie wniesiono pieczone kurczęta, pierogi z baraniną, słodki, pachnący chleb, brzoskwinie, śliwki, morele, lody, gałki muszkatolowe w cukrze, rodzynki i daktyle.

Europejczycy zjedli obiad w milczeniu, po czym Stanley poszedł obejrzeć Taborę, Gent zaś rozłożył mapy i pograżył się w rozważaniach nad sytuacją.

Doszedł do wniosku, że choćby miał się poróżnić ze Stanleyem, nie weźmie udziału w wojnie. Miał przed sobą prostą drogę. Wzgardzić nią, licząc na wątpliwy wynik wojennej awantury, byłoby nonsensem. Oczywiście ryzykował wiele, ale za to nie przerywał podróży na nie wiadomo jak długo, co było niemniej, a może i bardziej ryzykowne, jeśli wplącze się w działania wojenne. Mogło to stworzyć sytuację nie odpowiadającą ani jego charakterowi, ani sposobom postępowania. Niezależnie od tego wszystkiego na wieść o wojnie owładnęła Gentem dawna, przemożna przekora. Motorem jego działania był zawsze bezpośredni poryw

serca i osobiste zainteresowanie. Przy takim nastawieniu nie odpowiadało mu zupełnie stanowisko przywódcy dzikich walczących z innymi dzikimi dla osiągnięcia jakichś własnych celów. Co prawda celem wojny było dla Stanleya otwarcie tej samej prostej drogi, którą chciał podążyć Gent, lecz istniało tu pewne odchylenie od czystości pierwotnego planu, jakim było odnalezienie Livingstone'a — odchylenie rażące uczucia Genta. Ostatecznie zdecydował się wyruszyć samotnie z Cauperem i swoim sztucerem.

Rozmyślając nad tym wszystkim, tak dużo palił, że Stanley, który zapukał i wszedł do pokoju, wykrzyknął:

— Mam nadzieję, że chmury tytoniowego dymu zasłonią powstałe między nami sprzeczności, jeżeli one rzeczywiście istnieją!

— Nie — zaprzeczył Gent. — Ale siądźmy przy tym oknie. Jakie olbrzymie gwiazdy! Ma się wrażenie, że grzeją z wysoka.

Okno było otwarte. Moskity, zwabione światłem, brzęczały monotonicznie. Noc tropikalna, pełna baśniowej ciszy i łagodnego aromatu kwitnących drzew, budziła uczucia uśpione za dnia. Jej majestat, słodycz i mrok działały jak muzyka.

— Mister Stanley — przemówił Gent. — Udam się sam, tylko z Cauperem, przez Mfutę do rzeki Malagarasi, skąd najkrótszą drogą w kierunku północno-zachodnim będę miał już do przejścia jedynie sześćdziesiąt mil. Znajdę pirogę i popłynę w dół rzeki, około trzystu mil, prosto do Udżidzi. Tak ułożyłem sobie to wszystko.

— Doskonale — rzekł wolno Stanley. — A więc drogi nasze się rozchodzą. Sądziłem, że pozostaniemy razem do końca podróży.

— Pana cierpki ton nie jest niczym usprawiedliwiony, Stanley! Nie mam absolutnie nic przeciw dalszym stosunkom towarzyskim, lecz nie wszystko, co jest powszechnie przyjęte w dodatnim znaczeniu tego słowa, pasuje do takich ludzi, jak pan i ja. Mówiąc szczerze, mój udział w wojnie nie miałby oczywiście decydującego znaczenia. Siły arabskie liczą trzy tysiące ludzi, a pan w pięciu karawanach posiada najwyżej stu. Natomiast, przy sprzyjających okolicznościach, od razu przedostanę się do Udżidzi, najdalej w ciągu dwóch tygodni. Przyzna pan, że nie tchórzostwo zmusza mnie do udania się w okolice zajęte przez nieprzyjaciela.

— Nie. Cóż zatem? Niech mi pan powie!

— Co?

Gent, zdenerwowany, wstał. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał odkryć przed Stanleyem swe prawdziwe zamiary, lecz przykro mu było zaskoczyć tego odważnego człowieka planem, którego rozmach przekraczał pod względem znaczenia najśmielsze tego rodzaju przedsięwzięcia. Gent nie przypuszczał, że wzbudzi w ten sposób nienawiść Stanleya, ale sądził, że odczuje on to boleśniej z racji swej władczej natury. Nie mógł jednak postąpić inaczej, nie wywołując, być może, wrogiego ochłodzenia wzajemnych stosunków. Nie kwapił się wszakże z odsłonięciem swych planów. Po krótkim namyśle postanowił wysunąć argument dostatecznie ważny z praktycznego punktu widzenia.

— Zapewne panu wiadomo — przemówił wreszcie — że w wojnie prowadzonej w tutejszych warunkach nie ma właściwie ani tyłów, ani frontu. Przeciwnicy krążą wokół siebie, atakując się wzajemnie to z jednej, to z drugiej strony. Przypuśćmy, że nie zniszczymy wojennej linii tego Miramby, a tylko przebijemy się przez nią. Wtedy ukryje się on w lesie, ponownie zbierze wojsko i będzie deptał nam po piętach w drodze do Udżidzi. A jeszcze nie wiadomo, jak zachowają się Arabowie.

— Tego doprawdy nie wiem, przyznaję. W każdym razie, jeśli idzie o mnie, za późno już na wycofanie się. Dałem słowo i dotrzymam go, by nie splamić honoru amerykańskiego sztandaru.

Gent myślał z natężeniem i znalazł wyjście.

— Pójdę na razie z panem do Mfuty i w ogóle pozostaniemy razem aż do wyjaśnienia sytuacji. Pod tym gorącym słońcem namiętności wybuchają szybko. Nie ulega kwestii, że po

jednej czy dwóch potyczkach losy wojny zostaną wyjaśnione. Jeżeli Mirambo pobije Arabów, to ruszę dalej z Cauperem aż do rzeki Malagarasi i popłynę nią w dół do Udżidzi. Jeśli Arabowie zwyciężą Mirambę, pójdę razem z panem!

— Dobrze, bardzo się z tego cieszę! — Stanley uściskał rękę Genta. — Byłoby mi przykro, gdyby rozeszła się wieść, że jeden z białych odchodzi przed rozpoczęciem wojny. Jednakże...

— Co takiego?

— Jeżeli uda się pan drogą wodną, to pierwszy odnajdzie pan Livingstone'a...

— Wolałbym być setnym, który go odnajdzie, gdyby się to miało okazać dla niego korzystniejsze!

— Czy jest pan zupełnie pozbawiony ambicji?

— Nie rozumiem, co znaczy to słowo!

— Jaki pan szczęśliwy!

Rozmawiali jeszcze przez chwilę na temat szajki Miramby, po czym Stanley odszedł. Gent chodził po pokoju. Rozmyślał.

„Jak to przykro zaśmiecąc sobie świadomość zjawiskami obcymi dla duszy! Co mnie obchodzi Mirambo? Co ja jego obchodzę? Ale bez względu na to trzeba będzie celować do jego towarzyszy broni i na całe życie pozostanie mi wspomnienie barbarzyńskiej, operetkowej wojny, w której brałem udział nie powodowany ani namiętnością, ani entuzjazmem, zadając sobie gwałt, nie odczuwając nic poza znudzeniem”.

Rozdział XI

USIŁOWANIE ZABÓJSTWA

Gent niewiele pomylił się w swoich przewidywaniach dotyczących liczebności wojsk. Arabowie wystawili dwa i pół tysiąca wojowników, a Stanley zebrał pięćdziesięciu. Trzeba bowiem nadmienić, że do chwili przybycia do Taboru ubyła mu znaczna liczba ludzi. Część zmarła na febrę i ospę, kilku zbiegło w drodze. Należało też pozostawić ochronę przy karawanie Livingstone'a, którą zorganizował konsul Kirk i która wreszcie nadeszła.

Murzyni sunęli w podskokach, wykrzywiając się straszliwie i strzelając w powietrze. Obecność białych uważali za dostateczną gwarancję pomyślnego zakończenia wojny. Na ich zapał w dużym stopniu wpływał też błogosławiony brak wyobraźni — niezdolność tych dzieci natury do spoglądania w przyszłość. Tak czy owak, oddział wystąpił bardzo efektownie. Stanley rozdał żołnierzom po kawałku czerwonej materii, z której poszyli sobie płaszcze. Rozwiewały się one imponująco na wietrze i gdyby nie obciążające *pagazich* toboły, mogliby — uzbrojeni w strzelby i toporki — zasługiwać w pełni na miano okazałego oddziału. Zadowolone z siebie i uroczysty nastrój szybko znalazły ujście w zwykłym u Murzynów strojeniu min i podskakiwaniu.

Tragarz Ulimengo rozwinął amerykański sztandar i zaintonował pieśń. Towarzyszył mu chór.

U l i m e n g o: Hej! Hej! Dokąd idziemy?

C h ó r: Idziemy na wojnę, tak!

U l i m e n g o: Z kim będziemy wojować?

C h ó r: Z Mirambą!

U l i m e n g o: Kto jest naszym wodzem?
C h ó r: Biały człowiek!
U l i m e n g o: Och! Och!
C h ó r: Ha! Ha!
U l i m e n g o: Ha! Ha! Chór: Och! Och!

Gent wybuchnął śmiechem. Bawił go także Bombey, który pozostawił w Taborze swoją czarnoskórą Dulcynę i teraz maszerował z nader kwaśną miną. Od czasu do czasu myśliwy rzucał spojrzenie na Asmaniego, idącego z lewej strony, lecz obojętna twarz Mulata nic nie wyrażała. Mimo to Gent miał się stale na baczności.

Arabowie czekali na oddział Stanleya, nie mogąc zdecydować się na wyruszenie bez niego z Mfuty. Była to nieduża, warowna wioska, odległa o mniej więcej trzydzieści mil od Taboru. Dowiedziawszy się o tym, Stanley rozkazał przyspieszyć marsz. Na trzeci dzień ujrzał Mfutę i tam połączył się z arabskim wojskiem.

Maruderzy przyprowadzili ze sobą Showa, którego znaleźli po drodze. Leżał w rowie i zaklinał się na wszystkie świętości, że jest chory i strasznie słaby. Jednak Stanley nie stwierdził u niego febry. Show napił się wina i zasnął słodko. Następnego dnia wszyscy odpoczywali. Podwórka dymiły mnóstwem ognisk, na których piekło się dziesięć sztuk zwierzyny w oddziale Stanleya i ze sto u Arabów. Nikt nie bronił Murzynom pić *pombe* *; gdy uraczyli się nim do syta, oddali się tańcom i ćwiczeniom wojskowym, co omal nie doprowadziło do ogólnej bijatyki

Na wszelki wypadek Stanley ukrył całe mienie karawany w Mfucie.

Ranek pierwszego dnia wojny przedstawiał następujący obraz: wśród ognisk, pak, stosów złożonej broni, ludzi jedzących lub czyszczących karabiny, można było zauważyć Arabów, wokół których zbierały się uważnie przysłuchujące się im grupy. Przecisnąwszy się przez jedną z nich, Gent ujrzał derwisza, suchego niczym kość dziada z siwą brodą i w olbrzymim turbanie. Przed nim leżał pożółkły papier, upstrzony czerwonymi liniami — horoskop ułożony z okazji wojny. Dziad kiwał się i mruczał przymknawszy oczy:

— Słuchajcie! Słuchajcie! Biała gwiazda gasi czarną gwiazdę, lew morduje hienę! Ciała niebieskie sprzyjają nam! Niebo daje znaki zrozumiałe dla wtajemniczonych! Idźcie śmiało naprzód!

Ta skomplikowana przepowiednia wywołała wybuch wojowniczych wrzasków, które zlały się z wołaniem mułły, błogosławiącego na drogę wojsko na drugim końcu majdanu. Trąbiono w ogromne rogi bawole, bito w bęben — *gomas*, który wydawał głuchy, basowy dźwięk. Mułłowie o rudych brodach przechadzali się wśród tłumu, błogosławiąc Arabów. W kącie badacz Koranu, przyciśnięty do ściany przez pobożnych wyznawców, czołgał się wykrzykując najodpowiedniejsze w tej chwili cytaty. W innym miejscu Gent zauważył nagich Murzynów, smarujących się nawzajem jakąś maścią, spreparowaną przez czarowników z kwiatów lian i soku aloesu — mieszaniną chroniącą jakoby od ran.

Przed rozpoczęciem ataku wszyscy zgromadzili się wokół mówcy, który wygłaszał *mannemo* *:

— Chwała! Chwała! Droga otwarta przed wami, leśni drapieżcy czekają na was! Oni grabią wasze karawany, kradną kość słoniową, zabijają wasze żony i dzieci! Z wami są Arabowie, z wami jest biały człowiek! Bijcie się, zabijajcie wrogów! Naprzód!

Słowa te zagłuszył niesamowity wrzask. Otworzono bramę i żołnierze runęli przez nią, skacząc w podnieceniu i strzelając na wiwat.

— Nasze dzielne wojska opanował bóg Mars! — odezwał się Stanley. — Płoną żądzą walki!

Był spokojny i pewny powodzenia wyprawy, ale Gent kiwnął tylko głową, zachowując

* Mannemo — przemówienie.

milczenie. Miał złe przecucia.

Oddział rozciągnął się na drodze. Biali oraz tragarze posuwali się w pewnym oddaleniu od głównych sił. Droga wiodła przez rzadki las, między polankami i skałami. Zapadał zmierzch, słońce rzucało ostatnie promienie spoza wierzchołków drzew.

Nagle Gent zauważył, że na przodzie oddziału powstało jakieś zamieszanie. Część tragarzy pozrzucała pakunki i stłoczona w gromadę gorąco o czymś rozprawiała. W grupie tej był Asmani i jego przyjaciel Mabruki.

Stanley również to zauważył. Gent zdjął z ramienia sztucer i trzymał go w pogotowiu. Stanley zbladł, lecz oczy jego zapłonęły, gdy spostrzegł, że niektórzy z *pagazich* zwrócili się w ich stronę, chwytając za broń.

— Tam, tam, Gent! Do nich! — wołał Stanley biegnąc.

Gent popędził za nim. Asmani i Mabruki rzucili się do ucieczki i skryli się za pagórkiem, skąd wystawili lufy karabinów, skierowane na drogę.

Stanley wycelował w Asmaniego.

— Wyjdź stamtąd natychmiast!

Okrzyk ten pełen był takiej wściekłości, że po nim mógł nastąpić tylko strzał. Buntownicy dobrze znali swego *muzungu*. Lufa za pagórkiem znikła. Dwie groźnie wyglądające postacie zeszły na drogę: Mabruki trzymał się nieco w tyle. W chwili gdy Asmani zbliżył się do Stanleya, jednym susem znalazł się za plecami podróżnika i podniósł karabin, ale Gent trzasnął go kolbą sztucera w pierś i Murzyn upadł. Przestraszony Stanley obejrzał się, a następnie zwrócił ponownie do Asmaniego ze złowieszczym błyskiem w oczach.

— Czego chcesz, łajdaku?! — zapytał.

— Nie najmowałeś mnie na wojnę; powiadają, że to kiepska sprawa — rzekł Mulat trzymając palec na cynglu.

Błyskawicznie przyłożył broń do ramienia i to samo uczynił Stanley. Podróżnik już miał pociągnąć za spust, gdy wtem Mabruki, który zdążył właśnie oprzytomnieć, wybił broń z ręki Mulata i rzucił się do nóg Stanleyowi.

To uratowało Asmaniego. Widząc, że został rozbrojony, pochylił się i zaczął uciekać. Stanley wystrzelił, ale Mabruki pokornym gestem objął jego kolana, co spowodowało, że strzał był niecelny. Tymczasem Asmani zdążył ukryć się w krzakach. Mabruki jęczał:

— Przebacz, przebacz, *muzungu*! Zły duch wstąpił w Asmaniego, a i mnie też pomieszał rozum! Teraz na pewno wszyscy pójdziemy do Tanganiki i razem odnajdziemy starego *muzungu*! Rozkazuj nam, *muzungu*! Przecież pójdziemy dalej bez kłótni i zatargów, prawda? Odpowiedz zaraz, *muzungu*!

— Ach! *Ballas! Buana Kongo! Gamuna manie po mgoni!* * — zaczęły wołać tragarze.

Zdecydowana postawa białych pokrzyżowała ich plany.

— Dobrze, Mabruki! — oświadczył Stanley. — Zaufam wam po raz ostatni. Dziękuję — dodał ściskając dłoń Genta. — Uratował mi pan życie.

— Może. Przypadkiem trzymałem karabin zwrócony kolbą w jego stronę.

Strzały, które rozległy się na czele pochodu, położyły kres zamieszaniu. Oddział pobiegł, by dogonić Arabów. Po kwadransie ukazała się wieś Zimbizo, otoczona mocnym częstokołem z ciasno wbitych pali. Przez szpary buchały kłęby dymu. Arabowie rozsypali się po okolicznych wzgórzach i ostrzeliwali wieś zajętą przez nieprzyjaciela.

Gent podbiegł do strzelających i położył się między nimi, posyłając od czasu do czasu kulę w częstokół. Strzelanina trwała parę minut, po czym atakujący zerwali się i rzucili do szturm. Niemal jednocześnie otworzyła się brama na końcu wsi i Gent ujrzał tłum dzikich umykających do lasu. Kiedy zwycięzcy weszli do wioski, zastali ją pustą. Kilku zabitych i rannych leżało wewnątrz palisady. Arabowie podbiegli ku rannym. Gent odwrócił się, lecz po

* Tak, klnę się na Boga, że to najczystsza prawda!

chwili spotkał wojowników niosących za włosy czarne głowy, o odwiniętych, grubych wargach. Krew kapłała z głów na suchy piasek i toczyła się po nim kroplami. Z daleka dobiegało wycie i odgłos strzałów: to Arabowie ścigali uciekających.

Gent spędził tę noc u Stanleya w dużej, pustej *tembo* *. Obaj nie zmrúżyli oka. Stanleya trapiło pytanie, jak zakończy się atak na Wiliankuru — ufortyfikowaną wieś, gdzie, jak przypuszczał, przebywał sam Mirambo.

— Szeik Sud-ben-Said poprowadził tam oddział — mówił Amerykanin, paląc fajkę i chodząc pod oknem zalanym światłem księżyca. — W oddziale było pięćdziesięciu Murzynów z plemienia Waniemwezi i dwudziestu młodych Arabów.

Ta sama troska gnębiła Genta. Pomimo pierwszego zwycięstwa o władnęły nim znowu złe przeczucia. Niepokoilo go także, że wiele ludzi z karawany, nie bacząc na zakaz, poszło z Arabami do Wiliankuru.

Nad ranem podróżnicy nieco się zdrzemnęli, lecz sen ich nie trwał długo. Zbudził ich krzyk Selima:

— *Muzungu*, proszę wstać, wszyscy uciekają, Arabowie uciekają!

Jednocześnie wpadli umazani krwią i błotem, zmęczeni *pagazi*. Historia ich była krótka, lecz okropna: wraz z Arabami dość łatwo zajęli Wiliankuru. Mirambo pozwolił im spokojnie zająć się grabieżą, a sam z silnym oddziałem zaczął się na drodze pomiędzy Zimbizo a Wiliankuru. Gdy zwycięzcy powracali z łupem w postaci słoniowych kłów i tobołów z tkaninami oraz z gromadą niewolników, oddział Miramby zaatakował ich z dwóch stron. Wywiązała się beładna walka, w której wszyscy Arabowie polegli. Opowiadający i jego towarzyszy przedostali się przez las, zataczając wielkie koło.

Stanley był wstrząśnięty. Na wieść o ucieczce Arabów rzekł:

— My także musimy się stąd wycofać do Mfuty. Selimie, biegnij i zwołaj wszystkich pozostałych.

Spiesznie wyszedł na podwórze, aby samemu dopilnować zbiórki. W wiosce zapłonęły ognie, rozległy się okrzyki, słyhać było jęki rannych, którzy właśnie nadciągnęli, żalosne zawodzenie kobiet oraz ciężki tupot uciekających. Migaly białe burnusy i turbany Arabów; darli się mułłowie. Pianie wiejskich kogutów — senne, ale głośnie — oznajmiało poranek.

W chwilach niebezpieczeństwa Gent stawał się milczący. Pozwalał zewnętrznym wrażeniom swobodnie przenikać do swej duszy, nie broniąc się przed nimi rozmową i dopiero potem rozprawiał się z dokonanymi faktami. Tak właśnie było w tej chwili. Wszyscy wybiegli z *tembo* tak szybko, że nie zdążył zebrać myśli i teraz dopiero zaczął zastanawiać się nad tym, co zaszło. Nie obawiał się o Stanleya ani o jego karawanę i tragarzy, wiedząc, iż droga odwrotu jest wolna. Ale wiedział także, że nadeszła chwila pożegnania.

Stanley wszedł szybko, trzymając w ręku rewolwer.

— Z trudem zażegnałem panikę — uśmiechnął się dysząc ciężko. — Show zdążył już zabrać moje siodło i zamierzał uciekać na osle. Arabowie wrzeszczą i niemal biją się między sobą. Przyjemność sprawił mi tylko widok tragarza Szando, który siedział spokojnie i jadł. Selim zawrócił trzech, grożąc im bronią. No, idziemy do Mfuty!

— Ja pozostanę — rzekł Gent. — Spróbuję przedrzeć się do Malagarasi.

— Już nic teraz panu nie powiem. Ale swoją drogą jest pan szalony. Tak po prostu pójdzie pan przed siebie?

— Tak. Tej nocy jeszcze nie wyruszę i dzień również tutaj spędzę. Dopiero następnej nocy wyjdę stąd razem z Cauperem.

Stanley wyciągnął dłoń.

— A więc do widzenia! Jest pan dzielny człowiekiem, lecz nie rozumiem pana.

— Do widzenia! Może spotkamy się w Udżidzi!

* *Tembo* — chata.

— Albo w niebie. To bardziej prawdopodobne.

— Ma pan rację.

Stanley uśmiechnął się, machnął ręką i wyszedł. Gent odprowadził go. Za białymi szedł Caupere.

Zatrzymała ich stłoczona ciżba ludzka na środku ulicy. Podróżni pożegnali się raz jeszcze, po czym Gent wrócił do pustej *tembo* i usiadł, by pomyśleć spokojnie. Zgiełk powoli cichł, niebawem wieś opustoszała i zapanował całkowity spokój. Gent palił fajkę. W duszy miał smutek — przed chwilą rozstał się z ludźmi, z którymi dotąd dzielił wspólny los, z którymi znosił trudy i niebezpieczeństwa wyprawy. Ich drogi rozeszły się, bo postąpił tak, jak mu nakazywało sumienie.

Resztę nocy obaj towarzysze — biały i czarny — spędzili na czuwaniu, a dzień przesiedzieli w lesie, gdzie czuli się bezpieczniej. Gent uprał w strumieniu zmianę bielizny, a także oczyścił i doprowadził do porządku sztucer. Wtajemniczył Cauperego w plan czekającej ich wędrówki, co Murzyn przyjął z pełnym spokojem. Zapewne równie spokojnie przyjąłby oświadczenie Genta, że go własnoręcznie zabije. Wola i życzenie *muzungu* stały się jego wolą i życzeniami.

Gdy zapadła noc, a Gent zorientował się, że w okolicy panuje spokój, powrócili do Zimbizo, gdzie nadal było pusto i ciemno. Gent położył się, choć nie miał zamiaru spać. Zmęczenie wzięło jednak górę i wkrótce zmorzył go sen. Caupere z takim samym pobożnym życzeniem udał się do pobliskiej szopy, ale i jego pokonało znużenie.

Gent spał krótko, ciężkim snem. Śniło mu się, że cały sznur hipopotamów o ludzkich twarzach płynie wprost na niego. Poruszył się we śnie i to wystarczyło, by się obudził. Wstał i wyszedł na podwórze. Ogromny afrykański księżyc wisiał na niebie. W jego świetle trawa wydawała się biała, a gałęzie drzew w pobliskim lesie, pokryte gęsto listowiem, zwisały srebrnymi pękami wśród czarnych cieni.

Caupere spał w szopie. Gent go zbudził. Murzyn otworzył oczy, przez sekundę leżał w niezmienionej pozycji, po czym zerwał się szybko.

— Caupere — cicho odezwał się Gent — idę nad Malagarasi. Czy pójdziesz ze mną?

Na twarz czarnego wypłynął uśmiech.

— Caupere pójdz z *muzungu*. *Muzungu* nie porzuci Caupere!

— Wiedziałem, że tak powiesz. Bierz swoją strzelbę. Nie powinniśmy pozostawać tu dłużej, musimy iść dalej.

Ponieważ Gent wyszedł całkowicie uzbrojony i miał ze sobą wszystko, czego potrzebował do niebezpiecznej drogi, przygotowania Cauperego nie trwały długo.

Rozdział XII

OBLĘŻENIE WYSEPKI

Wyszli przez bramę i po paru minutach znaleźli się w lesie. Gent przy pomocy kompasu oznaczył kierunek i śmiało zagłębił się w gęstwinę. Caupere szedł za nim lekkim, bezszelestnym krokiem. Droga wiodła przez pasmo niezbyt wysokich wzgórz, to wznosząc się, to opadając. W dole las był gęściejszy i bezładnie skłębiony, ale na grzbietach pagórków rósł kępami, wokół których rysowały się nierówne polanki zalane księżycową poświatą. Gent starał się, o ile to było możliwe, trzymać się w cieniu. Księżyc świecił tak jasno, że myśliwy, przeslizgując się przez miejsca nie osłonięte, doznawał nieprzyjemnego uczucia bezbronności.

Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw tej wyprawy, ale był rad, że pozostał wierny sobie. Cudowny obraz tej nocy ożywił jego umysł i spowodował napływ otuchy. Podniecony, rozglądał się bacznie i szedł naprzód z pewnością siebie zwierzęcia znającego dokładnie las. Omijał doły, bystrym spojrzeniem odnajdywał przejścia pomiędzy siecią lian i kłujących akacji, orientował się instynktownie wśród niewyraźnych cieni i od czasu do czasu spoglądał na kompas, aby upewnić się, czy idzie we właściwym kierunku. Przez cały czas myślał o Livingstonie i o swoim planie. Wszystko na razie układało się doskonale, zgodnie z jego zamiarami.

Co do niebezpieczeństw — to nie zastanawiał się jeszcze nad nimi. Aczkolwiek drobne oddziały nieprzyjacielskie oraz zwiadowcy niewątpliwie byli rozsiani po całej okolicy, istniało małe prawdopodobieństwo, że spotkają ich w puszczy. Jeśli roztawiono tu jakieś straże, to raczej na skraju lasu, a nie wśród gąszczu, dokąd Murzyni nocą niechętnie się zapuszczają. Gent liczył, że do wschodu słońca zostawi daleko za sobą punkty zajęte przez nieprzyjaciela, co jednak nie zmniejszało ryzyka napotkania wrogo usposobionej ludności. Dlatego uważał porę nocną za najodpowiedniejszą do wędrówki. Właściwie niebezpieczna była tylko droga do Malagarasi. Spływ tą wielką rzeką, na tratwie czy pirodze, nie wydawał się już przedsięwzięciem nazbyt skomplikowanym. Księżyc zszedł niżej. Cienie stały się dłuższe. Dochodziła godzina trzecia. Nagle Gent się zatrzymał. Spostrzegł, że jakiś cień pomiędzy krzakami zmienił pozycję i połączył się z drugim, po czym oba znikły. Z tego miejsca dobiegł go lekki szelest. Myśliwy podniósł kurek strzelby. Bez pośpiechu przeniósł wzrok z podejrzanego miejsca dalej, gdzie stosownie do kąta padającego światła powinien był znajdować się oryginał owego cienia, i oto ujrzał dwoje błyszczących, nieruchomych oczu. Lew stał przodem do myśliwego, z ciałem silnie wyprężonym. Nerwowo poruszał wyprostowanym ogonem, co znaczyło, że gotuje się do skoku.

Kula szybko uspokoiłaby zwierzę, ale Gent nie chciał strzelać, obawiając się zwrócić uwagę nieprzyjaciela. Widząc, że Caupere też ma zamiar strzelić, dał mu znak, aby się nie ruszał, sam zaś wziął małą, ręczną rakieta i śpiesznie zapaliwszy lont, który natychmiast zaczął sypać iskry, przekonał się o skutecznym działaniu fajerwerku. Rakieta z szumem wzniosła się ponad łeb lwa, który z przerażenia przewrócił się na grzbiet. Obsypany iskrami, odskoczył rozpaczliwym, łukowatym susem, tak że Gent zdążył zauważyć tylko gwałtowne machnięcie ogonem, którym nieszczęsne zwierzę chciało jak gdyby odpędzić od siebie niezwykle zjawisko. Myśliwy obejrzał się i nagle wybuchnął serdecznym śmiechem. Bo oto i Caupere, porzucając karabin, leżał twarzą do ziemi, chwyciwszy się rękami za głowę.

— Caupere, wstań! — zawołał Gent. — W rurce spłonął proch i to wszystko. Proch i węgiel!

— Biały człowiek — wielki czarownik! — wybełkotał Murzyn siadając i sapiąc jeszcze z wrażenia. — Wielki, dobry czarownik! Ta ognista żmija wybuchła w brzuchu Caupere! Uff! Uff!

Wstał, pewny już, że jest zdrow i cały, i obaj ruszyli dalej. Niebawem natrafili na potok, który płynął w kierunku obranym przez Gonta. Szli brzegiem wody. Światło księżyca z trudem docierało w głąb lasu, lecz woda błyszczała, co pomagało orientować się w gęstwinie. Gdy zrobiło się zupełnie ciemno, Gent zatrzymał się pod wielkim sykomorem i postanowił zaczekać tu do świtu. Pozwolił odpocząć Cauperemu, z czego ten skorzystał skwapliwie i natychmiast zapadł w mocny sen. Gent oparł się o pień drzewa, wyglądając brzasku.

Gdy słońce wzeszło, myśliwy zbudził Murzyna i obaj przedostali się na małą wysepkę pośrodku rzeczki. Była ona doskonale ukryta wśród gęstych krzaków. Tu rozpalili ognisko, przy którym Gent upiekł złowioną w rzeczce rybę. Polem nastąpiły godziny męczącej bezczynności, dzień włókł się niczym w poczekalni urzędu. Pod wieczór uciszył się gwar leśny, umilkł krzyk papug i niebieskich drozdów, a Gent zaczął przygotowywać się do dalszej drogi.

Caupere niósł niewielki tłumoczek ważący około ośmiu kilo. Zawierał on materiały,

które Gent nabył na wszelki wypadek od kupców w Taborze. Myśliwy miał właśnie zamiar wejść do wody, nie sięgającej tu nawet kolan, gdy spojrzawszy mimochodem na Cauperego idącego przed nim, zrozumiał przyczynę lekkiego świstu: była nią strzała tkwiąca w tłumoczku, który czarny niósł na głowie. Gent wciągnął Murzyna z powrotem na wysepkę za gęste zarośla i wyjął strzałę.

— Napadnięto nas! — wyjaśnił. — Patrz: twoja głowa przypadkiem tylko ocalała!

Caupere rzucił tobołek i porwał za karabin. Gent, o ile to było możliwe, zlustrował poprzez zarośla przeciwległy brzeg. Panował tam taki sam spokój i cisza, jak przed chwilą. Żaden cień się nie poruszył, nie drgnął liść. Strzała znalazła się w tobołku Cauperego jak gdyby cudem!

— Idź na tamtą stronę wyspy, Caupere — rozkazał Gent. — Ja będę stąd obserwował brzeg.

Czarny pochylił się i pobiegł. Gdy zniknął Gentowi z oczu, znowu dał się słyszeć świst i niemal jednocześnie przeleciały nad myśliwym dwie strzały. Był na siebie wściekły za pomysł rozpalenia ognia: to jego zdradziecki dym zwabił tajemniczego wroga. Potok widoczny był na przestrzeni kilku jardów i zdawało się, że nad jego brzegami panuje zupełny spokój. Uwagę myśliwego przykuł gęsty, nadbrzeżny las. W tym miejscu rzeczka była wąska i płytka. Dziesięciu ludzi, którzy by się zdecydowali na przekroczenie jej, mogło z łatwością ująć Genta.

Tak upłynęło parę minut, gdy wtem Gent zwrócił przypadkowo uwagę na pochyły pień drzewa, którego przednia część leżała w wodzie, i spostrzegł, że drugi jego koniec nieznacznie się kołysze. Błysnął promień zachodzącego słońca, oświetlił ten podejrzany ruch i wreszcie wszystko stało się jasne: myśliwy dostrzegł czarne ramię Murzyna, pełną ku wodzie za zasłoną pnia. Bez namysłu wycelował i strzelił prosto w owo ramię.

Od pnia z dzikim wyciem oderwała się ciemna postać, wymachująca rękami i nogami. Murzyn rzucił się do ucieczki i zniknął Gentowi z oczu, zanim ten zdążył zatrzymać go drugim strzałem. Niemał jednocześnie wyleciało z lasu, w kierunku obłoczka prochowego dymu, kilkanaście strzał; krzaki uchroniły jednak Genta od zranienia. Dwie strzały, których impet osłabiły zarośla, przedarły się jak żmije przez gałęzie i upadły na piasek. Gent cofnął się instynktownie. Straszny był widok tych trzcin, przystrojonych w papuzie pióra i zakończonych miedzianym grotem, grubo posmarowanym zatrutym tłuszczem.

Strzały padały jeszcze przez pewien czas, lecz lot swój kończyły bezsilnie wśród zarośli. Caupere zniknął i nie odzywał się. Gent zawołał go stłumionym głosem i posłyszał za sobą równie cichy okrzyk. Myśliwy uspokoił się i całą uwagę skierował na brzeg, gdzie wszczął się jakiś ruch. Prawdopodobnie wróg miał zamiar szturmem zdobyć wysepkę. Pomysłną okoliczność stanowił fakt, że atakujący nie znali widocznie liczby obłączonych, toteż Gent postanowił wpoić w nich przekonanie do czasu zapadnięcia ciemności, że na wysepce znajduje się co najmniej pięciu ludzi. Miał dwa rewolwery i dwa pistolety. Przywołał Cauperego.

Murzyn przyczołgał się natychmiast tak cicho, że Gent zobaczył go dopiero w chwili, gdy już leżał obok niego. Myśliwy podał mu dwa pistolety i pokazał, jak się strzela lewą i prawą ręką jednocześnie. Troszczył się teraz nie o celność strzałów, ale o wrażenie, jakie wywoła salwa.

Sam zaś odłożył karabin, wziął do rąk rewolwery i w dalszym ciągu śledził ruchy wroga na przeciwległym brzegu.

Tu i ówdzie dostrzegł czarne głowy ukazujące się spoza pnia lub wysokiej trawy. Pojawiały się i znikwały zacieśniając coraz bardziej krąg. Widocznie napastnicy zbierali się w gromadę. Czasem połyskiwało ostrze dzidy. Nadchodził moment decydującego natarcia.

Gent oczekiwał z utęsknieniem zapadnięcia mroku: dopóki było jeszcze jasno, wróg mógł dokonać tej wojennej operacji, ale w nocy nie uderzyłby na wysepkę nawet za cenę

całej beczułki spirytusu.

Wreszcie czarne głowy strojne w wysokie fryzury oraz twarze pomalowane w białe pasy przestały ukazywać się w gęstwinie. Ta rzekoma pustka była tak wymowna, że Gent zamienił się po prostu w słuch i wzrok, aby nie przepuścić krytycznej chwili. Z troską spojrzął na Cauperego. Murzyn z ważną miną trzymał oba pistolety, ale mierzył w wierzchołki drzew. Gent zdążył jeszcze nauczyć go prawidłowo celować, gdy jakaś dziwna, pstro pomalowana masa bez głów i nóg rzuciła się do wody, wystawiając ostrza dzid. Dzicy szturmowali, szczelnie osłonięci tarczami.

Jak już wspomniano, rzeczka w tym miejscu miała nie więcej niż sześć jardów szerokości, toteż atakujący w jednej chwili znaleźli się bardzo blisko zarośli okalających wysepkę. Caupere, kurczowo trzymając pistolety, wypalił z nich, po czym, jak to poprzednio ustalił z Gentem, pędem pobiegł na drugi koniec wyspy, aby uprzędzić atak od tyłu, o ile miałby on tam nastąpić. Kule Cauperego, bez uszczerbku dla nikogo, trafiły w wodę, za to Gent wycelował w sam środek zbitej masy tarcz i pięciokrotnie, szybko naciskał spust każdego ze swych rewolwerów z doskonałym wynikiem. Napad zakończył się szybko i bezładną ucieczką. Jeden z tubylców upadł, reszta zaś błyskawicznie zawróciła i umykała do lasu, wrzeszcząc dziko i popychając się wzajemnie. Gent zdążył podnieść karabin; za cel wybrał wysokiego Murzyna i powalił go w chwili, gdy ten znajdował się już na brzegu. Zabitego podniosły wśród wielkiego zamieszania ręce żywych i wszyscy zniknęli w gąszczu lasu. Trup innego Murzyna, który wpadł do wody, odwrócił się powoli i popłynął samotnie z prądem. Tarcza, ozdobiona błyszczącym drutem, utkwiała w nadbrzeżnych trzcinach.

Po ucieczce dzikich Gent obliczył w przybliżeniu, że nie było ich więcej niż piętnastu, i odetchnął z ulgą. Miał widocznie do czynienia z jakąś niewielką bandą. Ucieszyło go również, że Caupere więcej nie strzelał, świadczyło to bowiem, iż po drugiej stronie wróg się nie pokazał. Uznał zatem, że ze względu na swą słabość liczebną dzicy obawiali się podzielić na dwa oddziały, aby zaatakować równocześnie z frontu i od tyłu. Światło dnia gasło. Ponieważ w krajach podzwrotnikowych nie ma właściwie zmierzchu, Gent, spojrzawszy na zegarek, stwierdził, że zaraz zapadnie noc. Ciemności należało wykorzystać bez zwłoki, nie czekając na przybycie nieprzyjacielskich posiłków, które niewątpliwie się zjawią.

Obserwując brzeg, myśliwy zauważył błysk ognia w głębi lasu. Oblegający rozpalali ognisko. Płomień, przeświecający pomiędzy grubymi pniami, pozwalał odróżnić poruszające się sylwetki czarnych, jednak strzelać do nich można było tylko na chybił-trafił, od czego myśliwy rozsądnie się powstrzymał. Obmyślił natomiast inny plan: miał jeszcze w zapasie pięć małych rakiet, które zabrał ze sobą na wypadek podobnej przygody. Dał rozkaz Caupereemu, aby chodził po wysepce i zwracał uwagę na wszelkie podejrzanе zjawiska, sam zaś zatknął w ziemi gałąź, przywiązał do niej dwie rakiety — jedną poziomo, drugą pionowo — w ten sposób, aby pozioma skierowana była w stronę brzegu. Jednocześnie polecił Caupereemu ułożyć pośrodku wysepki kupkę chrustu i podpalić ją, co też Murzyn wykonał.

Tymczasem, wraz z zapadającym mrokiem, cienie zaczęły ogarniać wysepkę. Do wzejścia księżycy pozostawało nie więcej niż pół godziny. Trzeba było się śpieszyć.

Rzecz zrozumiała, że Gent starał się trzymać jak najdalej od brzegu, naprzeciw którego zaczął się nieprzyjaciel, aczkolwiek panujący tam spokój i pustka zachęcały do wycofania się właśnie tą drogą. Lecz pustka mogła okazać się złudną, istniało prawdopodobieństwo zasadzki. Ponadto rzeczka płynęła w kierunku Malagarasi. Trzymanie się jej brzegu (bo oddalenie się spowodowałoby dużą zwłokę w niebezpiecznej podróży), ze względu na obecność przesładowców prawie naprzeciwko — stanowiłoby także wielką nieostrożność. Najlepszym rozwiązaniem sytuacji wydawało się zaskoczenie nieprzyjaciela od tyłu i zadanie mu klęski przed nadejściem posiłków. Aby tego dokonać, należało za wszelką cenę całą uwagę wroga zwrócić na wysepkę — i to właśnie było celem przygotowań Genta.

Gdy ognisko już rozgorzało i oświetliło od wewnątrz wysepkę niby papierowy lampion,

Gent przymocował do raket dwa lonty i podpalił je, po czym wraz z Cauperem wszedł do wody, starając się posuwać z prądem i zachowywać całkowitą ciszę. Ponieważ ognisko otaczały gęste krzaki, zdradziecki blask nie padał na powierzchnię wody i uciekinierzy — a raczej atakujący — byli z brzegu niewidoczni. Zgięci w pół, posuwali się ostrożnie, po kolana zanurzeni w wodzie. Oddalili się już o jakieś pięćdziesiąt kroków od wysepki, gdy jasne smugi dwóch raket wzbłyły się nad nią w górę, a iskry rozjaśniły ciemność. W tym momencie Gent, trzymając w pogotowiu sztucer, wyszedł na brzeg. Caupere, przerażony wybuchem raket, tulił się do swego pana, w jego mniemaniu bowiem było to zjawisko nadprzyrodzone.

Gent wiedział, że z brzegu położonego naprzeciwko tubylcy obserwują bezustannie wysepkę, toteż nie zdziwił się wcale, usłyszawszy okrzyk grozy. Zabrzmiał on krótko i ucichł, a przy ognisku dzikich zapanowała panika. Ogień na wysepce utrzymywał ich w przekonaniu, że wróg znajduje się pośrodku rzeczki, a fajerwerk utwierdził ich w tym ostatecznie. Tak osłepiające i przerażające zjawisko nie mogło przecież powstać samoistnie, bez udziału człowieka.

— No, Caupere, czas ich zaatakować! — odezwał się Gent. — Niebezpieczeństwo jest znikome. Podejźmy bliżej.

Szybko zaczęli przedzierać się przez zarośla, aż znaleźli się w odległości kilkunastu kroków od nieprzyjacielskiego ogniska. Gdy Gent popatrzał w tym kierunku, ujrzał dzikich gestykulujących rozpaczliwie, jak gdyby się o coś sprzeciali czy może dzielili wrażeniami na temat raket. Należało działać bez zwłoki, aby wykorzystać moment paniki. Myśliwy, dobrze ukryty w ciemnościach, wystrzelił cały magazynek w sam środek gromady tubylców. Gruchnęła także strzelba Cauperego, a potem dwa rewolwery Genta wyrzuciły dziesięć kul. Wszystko to nie trwało nawet minuty. Nieoczekiwany huk salwy rewolwerowej spowodował paniczną ucieczkę czarnych. Kilku z nich upadło — czy to ze strachu, czy też od śmiertelnych ran. Las nagle ożył i rozbrzmiał hałasem: nawoływania, wrzaski, tupot biegnących stóp — wszystko to rozległo się i ucichło niezwykle szybko. Nagłość ataku rozproszyła dzikich jak stado wron. Na placu boju pozostało trzech, najwidoczniej ciężko rannych, ponieważ wili się, leżąc na ziemi.

— Koniec! — rzekł Gent dysząc ciężko. — A teraz naprzód, Caupere, chodźmy w dół potoku.

W ciemnym gąszczu nie mogli biec, lecz podniecenie pomagało im oddalać się dostatecznie prędko. Od czasu do czasu okrzykiwali się półgłosem, by się nie zgubić, i szli dalej, byle jak najbardziej zwiększyć odległość od nieprzyjaciela. Choć nie należało obawiać się pogoni, Gent pragnął oddalić się od miejsca potyczki, aby uniknąć spotkania z innymi bandami. Idąc w lewo, doszli niebawem znowu do rzeczki. Tam doczekali się wschodu księżyca, odpoczywając i paląc fajki, po czym ruszyli w dalszą drogę.

Rozdział XIII

LAS DŻUDŻU

Nazajutrz rano, wyczerpani trudami drogi i bezsennością, dotarli do brzegu Malagarasi.

Ranek był cudowny. Łagodne promienie słońca osłepiającymi pasami kładły się na błękitnych wodach tej bystrej i szerokiej rzeki. Przeciwny brzeg pokrywał gęsty las, który przebłyskiwał wśród nadbrzeżnych oparów jak delikatna koronka. Czajki, ibisy i czaple przelatywały nad rzeką. Ich skrzydła migotały czernią i złotem, gdy nagle skręcały w locie. W

miejsu gdzie Gent dotarł do wody, szereg polanek, szmaragdowymi plamami osypanymi kwieciami, przecinał nadbrzeżny las. W powietrzu unosiły się maleńkie, barwne ptaszki, metalicznie połyskujące drozdy, dzikie gołębie i kraski o modrych skrzydłach. Za polankami las był wyższy i gęściejszy niż ten, który otaczał Genta. Wydawało się, że króluje w nim wieczny mrok.

Myśliwy przeszedł przez łączkę i zdumiał się widokiem sieci ścieżek prowadzących w głąb puszczy. Widocznie w pobliżu znajdowały się ludzkie osiedla, o których ani Gent, ani Caupere nic nie wiedzieli. Ale Murzyn, przyjrawszy się owym ścieżkom, rzekł:

— *Muzungu*, to jest droga do *dżudżu*, do lasu *dżudżu*. O, tam!

Gent zrozumiał. Niejednokrotnie słyszał o świętych gajach, zapelnionych nagrobkami zmarłych. Takie nagrobki ustawiają tubylcy ze stosów rozmaitych przedmiotów i kamieni, a czasem nawet po prostu ze zwykłych pni obwieszonych szmatami. Słowo *dżudżu* oznacza ofiarę, składaną tajemniczej potędze, która rządzi życiem i śmiercią.

Zabobon czynił taki las niedostępną twierdzą. Wchodzić doń mieli prawo wyłącznie królowie, czarownicy oraz krewni zmarłych. Wszystkim pozostałym przekroczenie jego granic groziło śmiercią.

— Ach, *dżudżu*! — pokiwał głową Gent. — No cóż, nie będziemy mieli z niego pożytku, Caupere! Musimy iść na brzeg i zbić tratwę.

Nagle olśniła go nowa myśl.

— Czekaj! — Nie wiedział, jak odnosi się jego towarzysz do wierzeń na temat *dżudżu*. — Pójdziemy przez ten święty las. Nie boisz się?

— O, nie, to nie mój *dżudżu*! — naiwnie odpowiedział Murzyn. Bał się tylko duchów własnego plemienia.

Ruszyli ścieżką i zagłębili się w chłodnym półmroku.

Drogę przecinały inne ścieżki, gałęzie splatały się nad głowami idących, tworząc liściaste korytarze. Gent posuwał się ostrożnie i rozglądał wokoło. Gdyby zostali tu zauważeni, następstwa mogły być fatalne, ale na szczęście nie spotkali nikogo.

Początkowo ciągnęły się same *dżudżu* ubogich, jakieś kupki skorup pod daszkami z chrustu, pęczki strzał, blaszane puszkki i kości, lecz dalej ścieżka rozszerzała się i przywiodła wędrowców na małą polankę, na której wznosił się okazały dach podparty żerdziami. Pod nim leżały dwa słoniowe kły, garnki, broń, kilka kolorowych szmat, około dwudziestu miedzianych bransolet, a na samym wierzchu tego stosu widniało coś, czego właśnie Gent poszukiwał: piroga. Była długa, szeroka pośrodku, bez ławek, z wygiętą rufą i dziobem. Obok leżało kilka długich wiosł zakończonych z obu stron łopatkami. Wiosłowało się nimi stojąc. Pirogę zrobiono ze spoistej, lekkiej kory, zszytej wysuszonymi ścięgnami zwierząt. Obejrawszy łódź, Gent upewnił się, że można nią popłynąć choćby zaraz.

A zatem trzeba ograbić *dżudżu*!

Caupere dotknął nieśmiało łodzi, lecz pełna zdecydowania postawa myśliwego dodała mu odwagi. Nie zwlekając zdjęli pirogę, załadowali sobie na ramiona i — odpocząwszy parę razy po drodze — zdyszani, ale zadowoleni spuścili ją na wodę. Była nieco chybotliwa, ale zbudowana solidnie i mogła wytrzymać ciężar czterech ludzi.

— Wsiadaj, *muzungu* — powiedział Murzyn przenosząc do łodzi bagaż, który w czasie poszukiwań łódki leżał ukryty w krzakach. — Caupere będzie wiosłował. Woda dobra, płynie prędko!

Brzeg, od którego odbili, był urwisty i wartki nurt uniósł ich szybko. Bez użycia wiosł łódź popłynęła w tempie maszerującego zwawo człowieka. Dotąd wszystko szło pomyślnie. Genta niepokoiła tylko myśl o jedzeniu, ponieważ zapas prosa i sucharów zabrany na drogę już się kończył. Na dzień dzisiejszy pozostawało jeszcze dosyć, lecz o następnym trzeba było poważnie pomyśleć. Ale ostatecznie miał nadzieję znaleźć się w ciągu dnia daleko od okolic będących we władaniu i pod protektoratem Miramby, wobec czego możliwość nawiązania

kontakty z mieszkańcami przybrzeżnych wiosek nie była wykluczona.

Caupere, stojąc za Gentem, zręcznie poruszał wiosłem, uderzając o wodę to z prawej, to z lewej strony pirogi. Krajobraz był dziki i piękny.

W wodzie migocącej metalicznie, ciemnej przy dalekim brzegu, a jasnej wokół łodzi, odbijały się rozsiane po rzece, porośnięte lasem wysepki, podobne do zielonych budowli o dziwacznych kształtach. Tu i ówdzie płonęły jaskrawymi barwami kwiaty. Oczy, wpatrzone w tafłę wody, mogły odróżnić różnorodność urzekających odcieni lazuru. Na bliższym brzegu las zwieszał się nad tonią, tworząc cienisty korytarz, w którym gdzieniegdzie rozbłyskiwały słoneczne plamy. Rzeka wiła się kręto, zygzakami, toteż płynący mieli przed sobą jakby wielkie jezioro, za sobą zaś i dookoła lasy. W oddali — dzięki połyskowi wody i mirażom tęczyowych mgieł — las tracił naturalną, zieloną barwę i lśnił różowo i błękitnie. Poszczególne drzewa, zdobne we wspaniałe pióropusze koron, stały podobne przezroczystym ceniom. Niekiedy zamiast lasu występowały szuwary, zasłaniające jeziora i bagna. Krażyło nad nimi mnóstwo wodnego ptactwa, a środek rzeki pokrywała gnijąca roślinność. Czasem ukazywały się skaliste wzniesienia, zawieszane stromo nad wodą, pochyłe lub poziome pasy, utworzone przez pokłady rozmaitych minerałów, kładły na powierzchni skał bure, żółte, czarne i czerwono-brunatne odcienie.

Najwidoczniej Caupere czuł się dobrze, zaczął bowiem cicho monotonicznie nucić pieśń własnego układu:

Ukradliśmy pirogę, jo-nu!
Zręcznie ukradliśmy pirogę,
Biały *muzungu* nie boi się zmarłych!
Płyniemy. Caupere chce jeść, jo-nu!
Bardzo chce jeść, ale kiedy śpiewa,
Wtedy nie pragnie ani mięsa, ani mleka!
Jo-nu! Naokoło dużo wody.
Wszystko widać, nie ma żmij ani cierni!
A teraz muszę się trzymać bliżej brzegu!

Rozdział XIV

KRÓL N'KOMBE

Przez pierwsze dwa dni płynęli bez specjalnych przygód, jeśli nie brać pod uwagę spotkania ze stadem hipopotamów, które omal nie wywróciły pirogi. Gent odpędził je strzałami. Stary hipopotam, płynący najbliżej, wpadł we wściekłość, wynurzył się z wody i już miał uchwycić zębami burtę wywrotnego czółna, gdy Gent strzelił mu prosto w oko rozrywającą kulą. Zwierzę ciężko przewaliło się na bok i znikło pod wodą. Niebawem jego trup, niesiony przez prąd, wypłynął na powierzchnię rzeki.

W nocy wędrowcy przybijali do brzegu i spali kolejno przy ognisku. Trzeciego dnia rano ukazały się strome porohy. Woda kipiała wśród nich, zalewając czarne kamienie białą pianą. Od ciosów fal leciały na brzeg długie bryzgi. Gent z daleka już zauważył porohy. Oczywiście nie mógł narażać na rozbitcie swej jedynej łodzi, toteż kazał Cauperemu przybić do lewego brzegu; wzięli pirogę na ramiona, aby ją przenieść poza niebezpieczne miejsce.

Grunt, po którym posuwali się wzdłuż brzegu, był nierówny i porośnięty tak obficie pnączami, że mordowali się ze dwie godziny, zanim minęli porohy. Spuściwszy ponownie, nie

bez trudności, łódź na wodę (była tu akurat wąska wydma, pokryta wysoką trawą), Gent odwrócił się i... zastygł w niemym zdumieniu.

Nie opodal siedziało w kucki sześciu czarnych z wytrzeszczonymi oczami. Siódmy stał za nimi, kurczowo ściskając w rękach dzidę, w pozycji świadczącej o gotowości do ucieczki przy pierwszej oznace niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie trafili przypadkiem na scenę spuszczenia łodzi na wodę i tak ich to zaskoczyło, że całkowicie stracili przytomność umysłu. Gent był nie mniej od nich zdumiony i nie wiedział, jak ma postąpić w tej sytuacji, lecz odniósł wrażenie, że dzicy nie mają złych zamiarów. Ufając instynktowi Murzynów, zwrócił się do Cauperego:

— Co o tym sądzisz?

Ten błysnął białkami oczu i podszedł do jednego z siedzących, który momentalnie poderwał się z ziemi. Caupere poklepał go przyjaźnie po brzuchu. Powitany odpowiedział w ten sam sposób. Wówczas Caupere odegrał skomplikowaną scenę mimiczną, przy czym tak okropnie się wykrzywił, przeginał i machał rękami, że Gent zaczął już obawiać się o całość jego członków. Nic z tego nie rozumiał, ale tubylec pojął widocznie, o co chodzi, bo wskazał ręką w bok, podreptał w miejscu i wykonał jeszcze kilka innych gestów. Jednocześnie jego współplemieńcy otoczyli Genta, oglądali białego człowieka ze wszystkich stron, wydając przy tym dzikie okrzyki i chwytając się wzajemnie za palce.

— *Muzungu* — powiedział Caupere — oni nie życzą nam źle. Jeszcze nigdy nie widzieli białego człowieka i proszą abys zechciał pójść z nimi do wsi — tu blisko, na górze. Sprzedasz im, co zechcesz, a oni obiecują ci poczęstunek i prowiant na drogę.

Gentowi przyszło na myśl, że propozycja ta mogła kryć w sobie jakiś podstęp, lecz przyjrząwszy się lepiej dzikim, doszedł do wniosku, że zdumienie ich nie jest udane. Dotychczas nie zauważył w ich zachowaniu nic złowrogiego czy podejrzanego. W dodatku sam miał dwie strzelby, a Caupere był w posiadaniu trzeciej. Uświadomił sobie przy tym, że przecież cała podróż była ryzykiem i zagrażała niebezpieczeństwem na każdym kroku. Toteż ostatecznie zdecydował się na wizytę we wsi.

Skinął głową na znak zgody, a odpowiedzią był chóralny okrzyk radości.

Wywijając dzidami, czarni otoczyli Genta. Ten poklepał jednego z nich po ramieniu i wskazał na pirogę. Tubylcy pojęli myśl białego, wyciągnęli łódź na brzeg, ukryli ją w zaroślach, po czym cały orszak ruszył wąską ścieżką wijącą się środkiem lasu. Dzicy szli dwiema grupami obok Genia i coś mówili, porozumiewając się z Cauperem na migi. Było oczywiste, że się wzajemnie rozumieją, ale Gent czuł się bardzo głupio.

Wkrótce ukazała się wieś — podwójna linia chat podobnych do uli, pokrytych dachami z trzciny w kształcie stożków i otoczona gęstym ostrokołem. Z bramy wysypała się gromada czarnych dzieci, które na widok Europejczyka z piskiem pochowały się w krzakach. Następnie spotkali starca niosącego worek prosa. Ten stanął jak wryty, rzucił worek i umknął do chaty. Siedząca przed wejściem do innej chaty kobieta wrzasnęła przeraźliwie i uciekła.

Ale wkrótce ulica zapełniła się mieszkańcami, którzy gromadzili się przy drzwiach swoich chat i z bezpiecznej odległości, zdumieni i przerażeni, przyglądali się dziwnemu przybyszowi. Niektórzy uzbrojeni byli w łuki. Nieliczni tylko nosili podarte fartuszki lub kawałek szmaty na ciele, większość była naga, co najwidoczniej wcale nie żenowało tych dzieci natury.

Ci, którzy przyprowadzili Genta, rozproszyli się po wsi i z ożywieniem coś tłumaczyli jej mieszkańcom. Wyjaśnienia te wywoływały życzliwą wrzawę i do pochodu stopniowo zaczęli dołączać się najodważniejsi. Zebrał się spory tłum, wewnątrz którego, ściśnięci ze wszystkich stron, Gent i Caupere posuwali się wolno na drugi koniec wsi. Obmacywano ich jak jakieś przedmioty. Kolor skóry Genta i jego ubiór wywoływały piskliwe, gardłowe okrzyki. Murzyni dotykali ubrania lub ręki myśliwego i odskakiwali z dobrodusznym chichotem, chowali głowy w ramiona, podskakiwali i szczypali sąsiadów. Gent był cierpliwy, ale zaczynał

już mieć dość tego dobrego. Toteż z wielkim zadowoleniem zatrzymał się wraz z otaczającym go tłumem przed jakąś dużą chatą. Zaproszono go gestami, aby wszedł do środka.

Gent pochylił się, przecisnął przez wąskie drzwi i znalazł w obszernej, półkolistej izbie, wyłożonej drewnianą podłogą. Stały tu drewniane ławy. Siadłszy na jednej z nich, myśliwy posadził obok siebie Cauperego, a tłumoczek z towarami wsunął pod ławę.

Początkowo panował tak ogłuszający wrzask, że myśliwy nie mógł nic powiedzieć, ale pomału tubylcy zaczęli ustawiać się pod ścianami i w izbie zrobiło się luźniej.

Wtedy Gent powstał i w języku arabskim zwrócił się do obecnych, mówiąc, że po pierwsze — potrzebny mu jest tłumacz znający arabski, a po drugie — pragnie widzieć się z królem.

Na te słowa wystąpił jeden z Murzynów i oświadczył łamaną arabszczyzną, że mieszkał w Udżidzi i może porozumieć się z Gentem. Zapadła cisza. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

— Nie jestem waszym wrogiem — przemówił Gent. — Ja i mój sługa Caupere płyniemy do Tanganiki. Potrzebny nam prowiant. Mamy paciorki, wstążki, materiały i lusterka i w zamian za to chcemy dostać jaja, mięso, olej, chleb i owoce.

Murzyn, kręcąc się i gestykułując, niezwłocznie przetłumaczył te słowa obecnym. Tłum odpowiedział przyjaznymi okrzykami, lecz umilkł, gdyż znowu zabrał głos tłumacz:

— W Malagarasi jest dużo ryb. W lesie dużo zwierzyny. Biały człowiek ma dwie strzelby. Czemu więc nie strzela do antylop i do bawołów i nie zjada ich? Trudno to pojąć!

— Dlatego — wyjaśnił Gent — że się śpieszę. Czeka na mnie inny biały człowiek, którego od lat uznano za zmarłego. Chcę jak najprędzej przekonać się, czy on żyje, a jeśli tak jest, pomogę mu wrócić do domu.

Kiedy Murzyn przetłumaczył jego słowa, krzyki jeszcze się wzmogły, a spojrzenia stały się przychylniejsze. Gent zamierzał mówić dalej, ale w tej chwili przy drzwiach rozległy się dźwięki dzwoneczków i tłum zamarł w pełnym czci oczekiwaniu.

— O *muzungu!* — zawołał tłumacz. — Oto nadchodzi król królów N'Kombe i zaraz sam się z tobą rozmówi.

Weszło trzech wojowników uzbrojonych we włócznie i tarcze. W ślad za nimi, prowadzony pod ręce przez starszą plemienia, z trudem powłócząc nogami, szedł niski starzec. Wyglądał na chorego i był nim rzeczywiście, jak się później okazało.

Biała, wełnista broda okalała jego szeroką twarz o wystających kościach policzkowych, niskim czole, małych, chciwych oczkach i podwójnym podbródku. Miał duże, zabawnie odstające uszy. Był otyły, ale jego ręce i nogi wydawały się bardzo cienkie. Wokół bioder nosił pasiastą przepaskę. Stara czapka marynarska z trudem trzymała się na siwej, kędzierzawej głowie, a pierś ozdabiała mnóstwo amuletów. W lewej ręce dzierżył laskę, do której przymocowane były dzwoneczki.

Dostojnicy wyróżniali się od pozostałych mieszkańców wioski tym, że wyglądali na lepiej odżywionych, nosili miedziane bransolety, a głowy ich stroiły skomplikowane, wysokie koafiury, przypominające stożkowate bochenki czarnego chleba. Z włosów sterczały kolorowe pióra, a biodra mieli, tak jak król, przepasane kawałkami materiału.

Król od razu usiadł, napuszył się i przybrał dumną postawę, choć w jego świńskich oczkach dostrzec było można błyski strachu.

Starszyzna i reszta świty ustawiła się półkolem za władcą. Król przywołał tłumacza i coś mu powiedział, przy czym marszczył się i potrząsał głową. Tłumacz zwrócił się do Genta:

— N'Kombe pragnie usłyszeć od *muzungu*, dokąd on idzie i po co, i czego szuka tu we wsi.

Gent powtórzył swe poprzednie wyjaśnienia. Król długo mówił coś tłumaczowi.

— Król królów pyta — rzekł Murzyn — jakie przynosisz mu podarunki i co może dla ciebie uczynić. Nie wolno mu dużo mówić ani długo siedzieć. Prosi, aby cię powiadomić, że padł ofiarą intrygi: został otruty i już od pięciu dni choruje. Słyszał, że płynny ogień białych

ludzi pomaga w każdej chorobie, i prosi, żebyś dał mu trochę tego cudownego napoju.

Gent chciał się dowiedzieć, co spotkało czarnego monarchę. Na to król zaczął jęczeć, mlaskać językiem, wywracać oczami z miną męczennika i długo przedkładał coś tłumaczowi, aż w końcu Gent został wtajemniczony w następującą historię.

Zazwyczaj przeznaczone dla króla potrawy — przed spożyciem ich przez władcę — dawano do skosztowania jednej z jego żon. Tym sposobem trucizna mogła wykazać swoje działanie bez uszczerbku dla monarchy. Lecz dzięki niedbalstwu zaufanych ludzi, a może przez roztargnienie samego N'Kombe, przez kilka dni tych prób nie dokonywano. W rezultacie król poczuł się źle i zaczął tracić siły. Wówczas królewski czarownik, a jednocześnie kapłan, po złożeniu ofiar, zaklęciach i zamawianiach, tak oto wyjaśnił sprawę:

Król został otruty przez młodą dziewczynę z sąsiedniej wioski. Dziewczyna ta miała zostać żoną jednego z dworzan. Na nieszczęście jeden z niewolników, będących własnością jej brata, zabił wolnego człowieka, bliskiego przyjaciela czarownika, z którym powaśnił się w świąteczny dzień. Według miejscowego prawa krewny lub przyjaciel zabitego wolnego człowieka mógł domagać się w zamian śmierci właściciela niewolnika-zabójcy. Brat nieszczęsnej dziewczyny, aby ratować swoje życie, zdołał nakłonić króla, by zamiast niego poświęcił siostrę. Ona to, jak twierdził czarownik, zatrąła jedzenie, pragnąc śmierci N'Kombe.

Oczywiście, całe oskarżenie, zupełnie bezpodstawne, zostało skonstruowane przy udziale sił nadprzyrodzonych, które wykryły przestępczynię, ale Gent dostrzegł od razu niezręczną, złośliwą intrygę, uknutą na zasadzie prawa królewskiego do obcinania głów według własnego widzimisię.

W dniu przybycia Genta sprawa przedstawiała się tak, że oskarżona i jej narzeczony, podejrzany o współudział w zbrodni, pozostawali pod nadzorem straży w oczekiwaniu kąpieli.

— Królu N'Kombe! — przemówił Gent wysłuchawszy relacji tłumacza. — Ja, biały *muzungu*, proszę cię o zezwolenie zbadania ciebie! Jestem wielkim czarownikiem, wielkim znachorem i kapłanem u białych. Umiem leczyć. A teraz kładę przed tobą te oto dary!

Tu rozpakował tłumoczek, na oczach zachwyconego monarchy oderwał pięć metrów niebieskiego barchanu w różowe kropki, dołożył jeszcze dwa lusterka w mosiężnej oprawie, kilka sznurów zielonych paciorków oraz pół butelki rumu i podał to wszystko władcy.

Choroba jak gdyby opuściła króla na widok tych skarbów. Poruszył nerwowo nogą, zerwał się z miejsca i zanurzył drżące ręce w barchanie, przykładając go do szyi, piersi i brzucha, następnie złapał lusterko, wytrzeszczył oczy i ogromnie zadowolony roześmiał się do swego odbicia. Jednak całkowicie przykuła jego uwagę dopiero butelka napełniona do połowy rumem. Obwąchiwał ją, obmacywał rękami, przykładając do policzków, potrząsał nią nad uchem, w końcu zaś wcisnął palcem korek do środka i językiem spróbował zawartości. Na jego twarzy rozlało się pełne zachwyty zdumienie.

Poddani oraz świta podzielali radość władcy. Ciasnym kołem okrążyli rozłożone u jego stóp dary, a ich podniecenie i zazdrość były aż nadto widoczne.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, król posadził wokół siebie dostojników i za pośrednictwem tłumacza oznajmił, iż dla uczczenia białego podróżnika zarządzi tańce, po czym nastąpi uczta, a na zakończenie zostanie wykonana kara śmierci na przestępcach. Było oczywiste, że N'Kombe pragnie zaimponować gościowi.

Tymczasem przytknął do ust cenną butelkę i duszkiem wypił prawie połowę rumu. Przyniesiono mu drewniany kubek. Nalawszy do niego tyle trunku, że w butelce pozostała jeszcze dobra porcja, król poczęstował dostojników, którzy po wypiciu nie przestawali rzucać pożądlivych spojrzeń na butelkę. Ale król zatkał ją i rozkazał odnieść do swojej chaty.

I znowu głos zabrał tłumacz:

— Król dziękuje białemu człowiekowi. Bardzo potrzebne mu są leki. Jeżeli biały człowiek zniweczy działanie trucizny, N'Kombe obiecuje spełnić wszystkie jego życzenia!

Gent podniósł się dostojnie, równym krokiem podszedł do monarchy i kazał mu poło-

żyć się na ławie. Dziesiątki oczu wpiły się w ręce Europejczyka i w jego twarz, śledziły bacznie każdy jego ruch. Strach i szacunek ledwie pozwalały obecnym oddychać. Zaległa nabożna cisza.

Król położył się ze stęknieniem, wytrzeszczył oczy na Genta, który z całą powagą zawinął rękawy. Kazał pacjentowi otworzyć usta i pokazać język. Język był zupełnie biały, co wskazywało na zepsuty żołądek. Następnie Gent obmacał królewski brzuch, twardy na skutek obżarstwa jak bęben, a w końcu przyłożył ucho do serca, w którym dosłyszał niepokojące szmery; biło z przerwami i chwilami zamierało. Gent studiował niegdyś medycynę, zrozumiał więc, dlaczego król czuje się źle. Gdy ponadto jego wysokość wyznał, że przed dwoma dniami odbyła się uczta, w czasie której najadł się wieprzowiny, zastosowanie przeczyszczającego środka stało się koniecznością. Zaprzeczać, iż władcę otruto, nie zdałoby się na nic, toteż Gent powiedział tylko:

— Króla N'Kombe boli serce, brzuch, plecy, gardło, szyja i głowa. Oto co stwierdziłem!

Zadowolony z obfitości chorób, czyniących jego osobę godną pożałowania w oczach obecnych, król mlasnął językiem i znowu zaczął jęczeć, klepiąc się po rzekomo bolesnych miejscach. Na ten widok wszystkie kobiety podniosły lament, ocierając suche oczy. Po czym król wstał i poprosił *muzungu*, aby udał się za nim. Cała świta wysypała się na podwórze, a za nią pozostali widzowie. Murzyni rozsiedli się szerokim kręgiem. Gent i Caupere zajęli miejsca przy królu. Obok ulokowała się orkiestra, złożona z pięciu muzykantów. Jeden z nich, z nosem przekłutym kościaną pałeczką, trzymał podobną pałeczkę utkwioną w cienkim końcu wydrążonego słoniowego kła. Dmuchał weń ustami i nosem, lecz Gent nie mógł pojąć, jak to się działo, że wydobywał dźwięki. Muzyka, podobna do ryku krowy, brzmiała dziko i ogłuszająco. Drugi muzykant bił kością w bęben, zrobiony z wydrążonego pniaka, obciągniętego skórą. Trzeci wydobywał przenikliwe tony z dwóch wołowych pęcherzy, w których tkwiły piszczałki. Czwarty targał struny naciągnięte na wyżłobionym drewnie, piąty zaś włożył na napięstki okrągłe, żelazne talerze i uderzał z całych sił jednym o drugi. Podobna muzyka mogła doprowadzić człowieka do rozpacz. W dodatku towarzyszyły jej przyśpiewki. Całość, pozbawioną jakiegokolwiek melodii, wykonywano w tempie dowolnym, o zmieniającym się często rytmie.

W takt tej orkiestry wystąpili tancerze. W rękach trzymali włócznie oraz szerokie, trójkątne noże. Twarze mieli pomalowane białą i żółtą farbą, ich biodra opasywały krótkie fartuszki, a z ramion zwisały podarte skóry zwierzęce. Sam taniec przypominał trochę kadryla: tancerze, ustawieni w dwa rzędy, to się do siebie przybliżali, to znowu odsuwali, odwracali tyłem, klepali w pięty, pochylając głowy ku ziemi, a wszystkim tym figurom towarzyszyły skoki, obroty w kółko i potrząsanie bronią. Na zakończenie tancerze wydali ogłuszający okrzyk, wszyscy jednocześnie podskoczyli na szeroko rozstawionych nogach, po czym padli na twarz przed królem. Po skończonym przedstawieniu wmieszali się w tłum.

Gent odetchnął z ulgą, ponieważ głód doskwierał mu porządnie. Ale była to dopiero pierwsza część programu.

Zadźwięczał dzwonek i z ciżby, tłoczącej się za plecami króla, wysunęła się osobliwa postać. Był to tutejszy kapłan, prawa ręka władcy. Sadził wielkimi susami, dziwacznie przypadając do ziemi za każdym krokiem, i gwałtownie machając rękami, dopadł szybko środka koła. Owinięty był mnóstwem szmat, co czyniło go podobnym do stracha na wróble. Głowę jego otaczała płaska obręcz obwieszona kośćmi, paciorkami i brzękadłami. W ręku trzymał kij, na którym kołysał się dzwonek. Kapłan trzykrotnie obrócił się wokoło i zaczął przemawiać.

— Co on mówi? — zwrócił się Gent do tłumacza. — Chcę wszystko wiedzieć.

Tubylec urywanymi słowami zaczął mu buczeć w samo ucho:

— Słuchajcie uważnie i dziwcie się! Biały człowiek przybył ze wschodu; bogaty biały człowiek; nigdy u nas nie był ani myśmy go nigdy nie widzieli. Nie jest naszym wrogiem i

przyjeliśmy go ze czcią. Ujrzał naszego króla N'Kombe i zdumiał się jego potęgą. Ujrzał wojowników, strasznych niczym lwy. Widział taniec wojenny, a teraz ujrzy, jak wypełnia się sprawiedliwość według naszych świętych praw! Dowie się, że przestępca — kimkolwiek jest — nie ma co liczyć na zmiłowanie, jeżeli pod płaszczykiem przyjaźni knuje zdradzieckie plany!

Ostatnie słowa kierował niewątpliwie pod adresem Genta, który obiecał leczyć króla. Myśliwego zdziwił fakt, że choć dotąd kapłan się nie pokazał, znał jednak jego zamiary. Lecz te rozmyślenia przerwało zakończenie przemowy:

— Słuchajcie! Stracenie Kagongi i Mo-oswego odbędzie się za chwilę. Dzieci N'Kombe, przyprowadźcie nędzników! Możecie im oznajmić, że nadeszła ich ostatnia chwila. Idźcie i powracajcie szybko!

Nastąpiło wielkie poruszenie. Murzyni, chciwi krwawego widowiska, niecierpliwie czekali na straszną scenę, o której myśl napawała Genta smutkiem i przyprawiała o zimny dreszcz. Wzmagający się głód spowodował przy tym, że zły nastrój podróżnika przerodził się w jawne rozdrażnienie.

„Dzieci”, to znaczy czterej ogromni Murzyni, odeszli w podskokach po swe ofiary. Kapłan usadowił się przy królu i zapadł w posępne milczenie. Teraz nie ulegało już wątpliwości, że czuje się urażony i kipi w nim złość. Jego ponure spojrzenia, rzucane spode łba na Genta, świadczyły o tym aż nazbyt wymownie.

Krąg rozstał się, aby przepuścić skazańców. Stańeli zgnębieni, złożyłwszy ręce. U prawej nogi dźwigali drewniane kłody, które idąc wlekli za sobą, co musiało być ogromnie męczące. Kagonga wydała się Gentowi niemal dziewczynką. Robiła wrażenie przerażonego, dziko rozglądającego się wokoło zwierzątka, a z jej oczu wyzierał rozpaczliwy strach. Mo-oswe, młody dzikus, stał prosto, z rękami skrzyżowanymi na plecach. Z ponurą nieruchomą twarzą spoglądał wprost na króla. N'Kombe był podniecony rumem i mającą nastąpić egzekucją. Co chwila przywoływał któregoś z otaczających go dworzan i wydawał nowe zarządzenia.

Gent bacznie przyglądał się skazańcom. Ich pokora zawierała bezgraniczny smutek. Może zdarzyło się wam widzieć zdychającego psa. Zwierzę leży na boku z wyciągniętymi łapami, jego oczy są zamknięte, można by przypuszczać, że już nie żyje. Lecz nie — jeszcze oddycha, jego boki wznoszą się i opadają. Pies leży nie ruszając się z miejsca, a na jego widok przechodzień czuje, że nie ma już dla niego nadziei, bo ustała w nim walka o życie.

„Ci skazańcy przypominają takie psy” — pomyślał Gent i nagle powziął zamiar uratowania nieszczęśliwych. Zdawał sobie sprawę, że swą ingerencją może wywołać oplakane skutki, ale nie potrafił zdobyć się na bierne obserwowanie niesprawiedliwej i okrutnej kaźni. Tymczasem przyniesiono dwa krótkie, grube kloce. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Genta, tłumacz odmalował mu scenę stracenia: oskarżeni zostaną powaleni na ziemię, a ciężkie kloce zmiążdżą im kręgi szyi.

„Nie, nie dopuszczę do tego!” — postanowił Gent i szybko obmyślił plan działania.

— Słuchaj — rzekł do tłumacza, zdając sobie sprawę, że za chwilę wywoła wielkie zamieszanie. — Chcę wygłosić przemówienie do obecnych, Niech wszyscy wysłuchają, co powie biały człowiek!

Ledwie czarny zdążył przetłumaczyć słowa Genta, gdy czarownik coś krzyknął, podbiegł do króla i wszczął z nim długą rozmowę. Widać było, że władca się czemuś sprzeciwia. Wreszcie czarownik odszedł, tłumacz zaś wyjaśnił Gentowi, że nie chciał on zezwolić, aby biały człowiek przemawiał, ponieważ uważał, iż należy jak najszybciej wykonać wyrok na skazańcach. Jednakże król był odmiennego zdania.

Gent zaczął przemawiać, a czarny, gwałtownie gestykułując i wywracając oczami, tłumaczył jego słowa. Niewątpliwie to przemówienie, ożywione tego rodzaju mimiką, było dla tłumu niezwykle sugestywne.

Gent mówił, że pragnie i potrafi uleczyć króla. Monarcha wyraził zgodę i obiecał, że w wypadku, gdy kuracja okaże się skuteczna, spełni wszystkie życzenia lekarza. Dlatego też Gent prosi o odłożenie karni: Wielki Duch oznajmił mu, że ludzie ci nie są winni, prawdziwym zaś winowajcą jest demon, zwany „obstrukcją”, który zamieszkał w królewskim żołądku i chce zniszczyć władcę. Lecz on, Gent, da królowi lekarstwo i wypędzi złego ducha, a wtedy król wyzdrowieje. Już jutro będzie rześki i silny. Z tego powodu trzeba odłożyć wykonanie wyroku, bo Kagonga i Mo-oswe są niewinni. Jutro, kiedy król wyzdrowieje, wszyscy przekonają się o tym i uwolnią oskarżonych.

Mowa Genta wywołała olbrzymie wrażenie w tłumie. Na próżno czarownik, widząc, że podważono jego autorytet, machał rękami i przekonywał króla, by nie ustępował białemu. Widocznie wchodziły tu w grę różne namiętności, porachunki i nadzieje, ponieważ przesądni Murzyni wrzeszczeli straszliwie. Twarze skazańców ożywiły się, pojawił się na nich cień uśmiechu i napięcie oczekiwania. Król w ogniu sporów ze starszyzną i czarownikiem częstował ich kuksańcami w żebra i najwidoczniej był w rozterce co do decyzji, jaką ma powziąć. Tłumacz biegał od króla do Genta i z powrotem, mruczając coś niezrozumiale.

— Dobrze — oświadczył wreszcie król. — Ale dotychczas biały człowiek nie dał nam jeszcze żadnego znaku, który by wykazał jego potęgę. Jeżeli udowodni, iż rzeczywiście jest czarownikiem, zgodzę się na jego prośbę i odłożę karni; będę się u niego leczył, a gdy wyzdrowieję, uwolnię skazanych!

Decyzja królewska spotkała się z ogólnym aplauzem i czarownik rozkazał na migi Gentowi wyjść na środek koła. Podróżnik usłuchał.

— Oto — oświadczył zebrany — dam wam dowód, że jestem wielkim białym czarownikiem: zagotuję wodę bez ognia i wypiję ją bez skrzywienia!

To powiedziawszy wyjął z worka swoją szklankę i poprosił o wodę. Napełnił naczynie i wpuścił do niego kawałek cytrynowego kwasu oraz szczyptę sody. Woda zapieniła się i zasyczała. Przerażeni dzicy odskoczyli wyjął z zachwytem i zdumieniem na widok Genta, który jednym haustem połknął przyjemny, orzeźwiający napój, przy czym uśmiechnął się zwracając na lewo i prawo.

„Pokonałem was lemoniadą!” — pomyślał widząc wrażenie, jakie wywołał. Kapłan gdzieś zniknął. Zrozumiał, że w tych okolicznościach powinien się na razie usunąć w cień, aby móc swobodnie obmyślić decydujący odwet. I na własne nieszczęście — jak się wkrótce przekonamy — obmyślił go istotnie.

Odprawiono oskarżonych, król i jego świta podnieśli się z miejsc, a Genta poproszono o towarzyszenie władcy do pałacu, który okazał się zwykłą chatą, tylko dwa razy większą od innych i nieco czystsza. Było tu mnóstwo skór, tarcz i broni, stos zdobytych na wrogach czaszek oraz sporo rozmaitych naczyń, drewnianych, glinianych i żelaznych.

Jedli siedząc na podłodze wokół czegoś w rodzaju owalnych mis zrobionych z kory, na których kładziono jadło. Obiad składał się z gotowanej baraniny, kukurydzianych placków smażonych na baranym łożu, kur przybranych gotowanymi jajami, zsiadłego mleka, fig oraz palmowego wina.

N'Kombe prawie nie tknął jedzenia. Uskarżał się na ból głowy i ociężałość żołądka. Gent uznał za stosowne zaaplikować mu porcję kalomelu, zmieszał więc proszek z wodą i podał królowi, który zerknął niepewnie na dworzana. Bardzo pragnął wyzdrowieć, ale jednocześnie bał się nieznanego lekarstwa. Wobec tego Gent, ryzykując rozstrój żołądka, sam upił łyk lekarstwa, a wtedy król odważnie opróżnił szklankę. Gent nalał mu jeszcze pół szklanki rumu i w rezultacie monarcha poczuł się lepiej.

Zaspokoiwszy głód, Gent powiedział, że pragnie odpocząć. Zaprowadzono go do pustej chaty, w której Caupere położył się przy wejściu, myśliwy zaś na posłaniu zrobionym z ubitej ziemi, przykrytej warstwą trawy i skórą. Nie spodziewał się, że zaśnie, jednak sen w końcu go zmorzył. Zbudziwszy się ujrzał, że otacza go gromada kobiet i dzieci, siedzących w kucki i

przyglądających się białemu człowiekowi w milczeniu i z szeroko otwartymi ustami. Przy pierwszym poruszeniu myśliwego cała czereda pierzchła w popłochu.

Jeszcze leżał pykając z fajeczki, gdy przyszedł jeden z dzikich i oznajmił mu w imieniu króla, iż ten zaprasza go do siebie.

Gent zabrał ze sobą Cauperego i udał się do władcy. N'Kombe był osłabiony, jednak minę miał weselszą. Powiedział, że lekarstwo działa doskonale i że chce mu się jeść. Przyniesiono mięso, ale Gent poradził, aby król na razie ograniczył się wyłącznie do bananów i mleka — i N'Kombe usłuchał. Oświadczył z głośnym mlaskaniem, że spełni prośbę Genta, i polecił natychmiast przyprowadzić skazańców. Zanim wojownicy wykonali rozkaz, król zaczął wypytywać ciekawie, czy biali zawsze podróżują samotnie.

Cel pytania był aż nazbyt przejrzysty, toteż Gent szybko skorzystał z okazji.

— W odległości mniej więcej pięciu dni drogi — odparł — płyną za mną jeszcze cztery łodzie, na których znajduje się pięciu białych i osiemdziesięciu tragarzy. Wiozą ze sobą dużo towaru. Mają zamiar pohandlować w tych okolicach.

Król nic nie odpowiedział, nie chciał zdradzać swojej opinii na ten temat, było jednak widoczne, że odczuwa raczej zadowolenie; liczył zapewne na nowe podarunki i wypitkę. Gent zaś wspominał o tym na wszelki wypadek, w obawie, aby Murzyni nie zaczęli w stosunku do niego próbować jakichś podstępnych sztuczek.

Rozległo się bicie w bęben, wzywające poddanych do wysłuchania królewskiej decyzji, i mały placyk zapełnił się tłumem. Dostojnicy zajęli honorowe miejsca. Przyprowadzono oskarżonych.

Król zabrał głos:

— Przebaczam Kagondze i Mo-oswemu, ponieważ są niewinni. Trucizny w jedzeniu nie było. Lekarstwo białego człowieka przyniosło mi ulgę. Obiecałem spełnić jego prośbę i dotrzymuję słowa.

Przemówienie to poddani przyjęli głośnym wrzaskiem. Gent nie orientował się, czy radość owa była szczerą, lecz patrzył z zadowoleniem, jak więźniom zdejmowano kłody.

Nagle kapłan, który dotychczas siedział spokojnie z boku, wstał kierując się na środek koła. Nie wiedział, że naraża się na pewną zgubę. Owładnęło nim pragnienie upokorzenia Genta i udowodnienia jego słabości. Sztuczka, którą obmyślił, miała się odbyć błyskawicznie. Kapłan zabrzączał dzwoneczkiem i oświadczył:

— Biały człowiek jest oszustem! Nie posiada żadnej siły i nic nie wie. Jeżeli biały jest rzeczywiście czarownikiem, to niech powie, co stanie się za chwilę z Kagongą i Mo-oswem. Oni tu stoją i także nie wiedzą. A ty wiesz, biały człowieku?

— Powiedz czarownikowi — zwrócił się Gent do tłumacza, podejrzewając coś złego — że złe siły nie ruszą już Kagongi ani Mo-oswego. Będą żyli szczęśliwie!

Słyszając to kapłan zaśmiał się złowieszczo.

— Biały człowiek kłamie! — wykrzyknął. — Oto los przestępców! Patrzcie!

Jednym susem znalazł się przy zdjętych przerażeniem, dopiero co uwolnionych więźniach i dobywszy szerokiego noża zamierzył się na Mo-oswego. Jednak Gent był przygotowany na wszystko. Szybko wycelował i rozrywająca kula powaliła kapłana, który upadł wypuszczając nóż z ręki.

Powstało straszne zamieszanie. W tłumie rozległy się okrzyki przerażenia. Niektórzy Murzyni padli na ziemię, większość — w tej liczbie również bohaterowie wydarzenia, Kagonga i Mo-oswe — rozbiegła się na wszystkie strony i skryła w krzakach. Gdy Gent się obejrzał, nie było już nikogo — ani króla, ani wodzów; wszyscy uciekli w obawie dalszych, okropnych wydarzeń. Pozostał tylko Caupere. Wykorzystując sytuację, Gent rzekł do niego:

— Wyruszamy stąd natychmiast. Bierz nasze rzeczy. Doskonale. Tylko nie biegnij. Idź szybko i śmiało.

Ruszyli do bramy wyjściowej. Wieś robiła wrażenie wymarłej. Nie zatrzymani przez

nikogo, minęli bramę, przeszli przez mostek na strumieniu i po zejściu z góry znaleźli się w kamienistej dolinie prowadzącej do rzeki. Piroga leżała tam, gdzie ją zostawili.

Gent odetchnął z ulgą.

Zepchnęli łódź na wodę, Gent wsiadł, a Caupere stanął za nim z wiosłem. Piroga wypłynęła na środek rzeki.

— Jak myślisz — zapytał Gent — jakim cudem uszliśmy cało, chociaż zastrzeliłem kapłana? Sądziłem, że zacznie się bitwa, i już się do niej przygotowywałem.

— *Muzungu* jest odważny — odparł Caupere. — *Muzungu* wie więcej od Caupere. *Muzungu* widzi, że we wsi nie ma strzelby. Strzelba to piorun. Piorun zabił czarnego czarownika, a za białym czarownikiem podążają jeszcze inni biali — więc wszyscy przestraszyli się i uciekli.

— Jacy biali, Caupere?

— Przecież powiedziałeś, że płyną cztery pirogi, a w nich pięciu białych!

— Ależ to ja tylko tak powiedziałem! Naumyślnie!

— Uach! — odrzekł z powagą Murzyn. — *Muzungu* wszystko może!

Rozdział XV

LIVINGSTONE

Udzidzi leży wśród amfiteatru wysokich gór, na brzegu jeziora Tanganika, odkrytego przez Livingstone'a. Większość mieszkańców to Arabowie, zajmujący się handlem żywicą, kością słoniową, kauczukiem oraz olejem palmowym. Ich domostwa, otoczone tarasami i gankami wspartymi na rzeźbionych słupach, toną w zieleni drzew figowych, daktylowych i kokosowych palm, nie brak tu też krzewów kawy i plantacji orzeszków ziemnych, a drzewa pomarańczowe i cytrynowe szczerze sypią swym białym kwieciem.

Pewnego wczesnego ranka na tarasie jednego z takich domostw, stojącego samotnie na skraju osady, ukazał się wysoki, przygarbiony mężczyzna. Włosy jego były białe, a wąsy i broda zaczynały siwieć. Niebieska czapka, czerwona kurtka i szare spodnie składały się na ubiór doktora Livingstone'a, on to bowiem był właśnie. Powrócił niedawno z kraju Mannu-ema.

Livingstone spoglądał w zadumie na jezioro, gdy nagle z daleka postyszał głosy i hałas, jak gdyby gdzieś za ogrodem szło w pośpiechu wiele ludzi.

„Cóż tam się dzieje o tak wczesnej porze?” — pomyślał i przywołał swego służącego Suzi. Suzi, młody Arab o wesołej i sympatycznej twarzy, zjawił się natychmiast na tarasie.

— Co to za hałas? — zapytał doktor. — Idź i dowiedz się.

— Dobrze, *sir!* — Suzi mówił doskonale po angielsku. Odszedł, by wrócić po kilku minutach. Był ogromnie wzburzony i zaniepokojony. — *Sir* — rzekł — do Udzidzi przybyło dwóch podróżnych, biały i czarny. Biały jest Anglikiem. Otacza ich mnóstwo Arabów. Gdy Anglik dowiedział się, że jestem pana służącym, polecił mi oznajmić, że pana poszukuje i prosi o rozmowę. Nazywa się Gent.

— Gent... — powtórzył Livingstone; obdarzony był tak doskonałą pamięcią, że prawie wcale nie prowadził notatek, ograniczając się do znaków na mapie, tylko dla siebie zrozumiałych. — Jeżeli to ten Gent... Suzi, powiedz, że czekam na niego!

Arab odszedł znowu, a po chwili hałas przybliżył się i pośród drzew zamigotały białe turbany. Arabowie zatrzymali się nie opodal, po czym od grupy oddzieliło się dwóch ludzi i

ruszyło szybko w kierunku domu Livingstone'a. Suzi prowadził ich, wskazując drogę.

Livingstone zszedł z tarasu na spotkanie gości. Ujrzał człowieka o znajomej twarzy, spalonej słońcem i niemal czarnej od kurzu. Ubranie podróżnego było pomięte i gdzieś porwane, a zmęczone oczy błyszczały podnieceniem. Za nim postępował czarny, z ustami rozdziawionymi z wrażenia, niosąc karabin pod pachą.

Livingstone wyciągnął rękę. Obaj byli niezwykle wzruszeni, lecz dali temu wyraz jedynie mocnym uściskiem dłoni. Brytyjczyk, gdy nawet wpadnie do krateru wulkanu, nie pozwolił sobie na żaden histeryczny okrzyk, a tylko spokojnie zauważył: „Zdaje mi się, że jest tu dość gorąco”.

Pierwszy przemówił Gent:

— Dzięki Bogu, że widzę pana żywym i zdrowym, doktorze! Czy mnie pan poznaje?

— Doskonale! Suzi powiedział mi pana nazwisko. Czemu nie zgłosił się pan wtedy do mojej karawany?

— To długa, bardzo długa historia, *sir!* Ale nie jestem sam, towarzyszy mi Caupere, zbiegły niewolnik.

— Bardzo dobrze, Suzi zajmie się nim. Chodźmy do mnie.

Weszli do domu. Mieszkanie Livingstone'a urządzone było po spartańsku: stół, ławy, dwa stołki, mapy na ścianie i papiery na stole — oto co ujrzał Gent w pierwszym pokoju.

— A teraz proszę posłuchać, przyjacielu — odezwał się doktor. — Kategorycznie odmawiam wszelkich rozmów z panem, zanim pan nie osiągnie jakiejś takiej równowagi duchowej. Musi pan odpocząć i porządnie się pożywić. Proszę za mną!

Wprowadził Genta do następnego pokoju. Stało tu żelazne łóżko, stół, mała kanapka, a w kącie blaszana umywalnia.

— Niech się pan rozgości — rzekł gospodarz. — Suzi, zabierz Murzyna do siebie, nakarm go, a potem przygotuj nam obiad. A postaraj się!

— Tak jest, *sir!* — I Arab oddalił się bezszelestnie.

— Jak się pan tu przedostał? — zapytał Livingstone. — Wokół wre wojna, w Unianie-mbo szaleje Mirambo.

— Przypląnąłem pirogą z biegiem Malagarasi — wyjaśnił Gent siadając ociężale na brzegu łóżka. — Na dolnych porohach tyle razy musieliśmy przenosić łódź, że Caupere upadał po prostu ze zmęczenia. Fale dwukrotnie omal nas nie zatopiły. Dopiero od ujścia rzeki płynęliśmy bez przygód kilkadziesiąt mil przez jezioro.

— Niech to diabli... — Doktor w zdumieniu spoglądał na myśliwego. — Tak we dwójkę?

— Tak!

— No, no! Niezły wyczyn! Na razie odchodzę, a gdy pan sobie wypocznie, proszę przyjść do mnie na taras. Tam zwykle jadam.

Wyszedł. Gent z bezwiednym uśmiechem spoglądał w okno, za którym błyszczało jezioro Tanganika. Czuł, że odpręża się nerwowo. Trzysta mil niebezpiecznej, trudnej i męczącej drogi miał już poza sobą. Był z Livingstone'em. Teraz zamierzał przystąpić do wykonania swego właściwego planu. Świadomość, że znajduje się w zapadłym kącie, z dala od cywilizowanego świata, napełniła go spokojem i zesłała sen po ciężkich przeżyciach ostatnich dni. Ciało wykonywało jeszcze ruchy, ale umysł pogrążał się już w sen. Była to zwykła reakcja organizmu. Gent położył się w pozycji półsiedzącej. Bardzo chciało mu się palić, ale ogarnęło go zbyt wielkie lenistwo, aby szukać fajki. Na moment przymknął oczy, lecz otworzyć ich już nie zdołał. Jeszcze w mózgu kłębiły się jakieś pogmatwane wrażenia, lecz oto głowa osunęła się na poduszkę i Gent zapadł w ciągu sekundy w kamienny sen. Nogi jego zwisły na podłogę, ciało legło na posłaniu.

Po upływie pół godziny zajrzał do pokoju Livingstone. Wiedząc, jak twardy może być taki sen, przywołał służącego.

— Suzi, połóż nogi pana na łóżku, zdejmij mu buty i zabierz torbę. Kiedy się zbudzi, powiesz że czekam na niego. Obiad zjem sam.

Myśliwy spał do późnego wieczora. Suzi zabierał się już do nakrywania do kolacji. W trakcie posiłku, na który złożył się miejscowy ser, pomarańcze, orzechy, butelka malagi oraz kawa, Gent zaczął rozmowę na temat wydarzeń w Europie. Livingstone nie miał o niczym pojęcia. Gent opowiedział mu najważniejsze nowiny: o wojnie francusko-pruskiej zakończonej porażką Francji, o Napoleonie III, który został wzięty do niewoli, o cesarzowej ratującej się ucieczką, o przyłączeniu do Prus części Danii, Szlezwika-Holsztynu, o tym, że Grant został obrany prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, o stłumieniu powstania na Krecie, i wreszcie o tym, że rewolucja pozbawiła tronu hiszpańską królową Izabelę.

Livingstone słuchał z taką uwagą, że prawie nie tknął jedzenia. Tymczasem szeicy arabscy, na wieść o przybyciu gościa do domu doktora, przysłali coś w rodzaju kulinarnej delegacji: na jednym półmisku wniesiono górę gorących pierożków z mięsem, na drugim pieczone kurczaki, na trzecim potrawkę z koźlęcia, a na innych jeszcze — owoce i orzechy w cukrze.

Zaspokoiwszy głód, Gent zabrał się do kawy i paląc fajkę opowiedział doktorowi o swym spotkaniu ze Stanleyem i wspólnej z nim podróży; ucieszył ogromnie Livingstone'a wiadomością o listach, które wiózł dla niego Amerykanin.

— Udając się w drogę ku Malagarasi, ryzykowałem więcej niż Stanley — powiedział Gent — toteż nie wziąłem żadnego listu. Pańska karawana, wysłana przez zanzibarskiego konsula, przywiozła je już przed rokiem do Taboru. Stanley zabrał ze sobą cały ładunek karawany oraz pocztę.

— A więc są tam na pewno listy od moich dzieci — rzekł doktor. — Miałbym ogromną ochotę po tych sześciu latach powrócić już do domu, ale nie mogę poniechać mojej pracy. Potrzeba mi nie więcej niż pół roku, aby dojść do właściwego źródła Nilu, do jeziora zwanego przez tubylców Czau-Ambi.

Kiedy mówił o tych sprawach, ożywał się, a jego spojrzenie stawało się młodzieńcze i bystre. Stopniowo dorywcze uwagi zlały się w opowiadanie o owej sześcioletniej podróży.

— Wyruszyłem w głąb kontynentu — rozpoczął — siódmego marca 1866 roku.

Miałem ze sobą dwunastu bombajskich sepojów, dziesięciu ludzi z Wysp Komorskich, siedmiu wyzwolonych niewolników i dwóch Murzynów z Zambezji. Było też trzynaścioro zwierząt: sześć wielbłądów, trzy bawoły, dwa muły i dwa osły. Sepoje, uzbrojeni w szybkostrzelne karabiny, stanowili ochronę ekspedycji. Zabrałem także dziesięć tobołów z tkaninami i dwa worki szklanych wyrobów, by móc prowadzić handel wymienny z Murzynami.

Posuwałem się lewym brzegiem Ruwumy, rzeki wpadającej do oceanu niedaleko przylądka Delgado. Rosła tam trzcina, którą musieliśmy przerażać siekierami na przestrzeni wielu mil.

Sepoje i tubylcy komorscy okazali się strasznymi leniami. Bardzo prędko odechciało im się iść z karawaną. Chcąc zmusić mnie do zawrócenia, tak męczyli i bili zwierzęta, że ani jedno z nich nie pozostało przy życiu.

Gent przypomniał sobie Zimbaueni, lecz nie odezwał się ani słowem.

— Widząc, że ich taktyka nie daje rezultatów — ciągnął doktor — zaczęli podjudzać przeciwko mnie okoliczne plemiona, puszczając pogłoski, że biali kupują Murzynów, aby ich potem zjadać. To były prawdziwe łotry. Pakunki i broń kazali nosić pod groźbą śmierci pierwszej lepszej napotkanej kobiecie lub dziecku. Nie mogli iść przez godzinę, aby nie położyć się na drodze, przy czym utyskiwali na swój los i knuli coraz to nowe intrygi.

Obecność takich ludzi stanowiła groźne niebezpieczeństwo, toteż najgłośniejszym narzekającym zaopatrzyłem na drogę w tkaniny i odesłałem z powrotem. Został mi niewielki oddziałek i z nim, przedarłszy się przez straszliwe gęstwiny kraju Wagiuja, doszedłem w początkach sierpnia do okolic w pobliżu jeziora Niasa, gdzie panował król Mpondo.

Był wśród moich tragarzy, z których dwu zbiegło w drodze — młody Murzyn Wiktani. Kiedyśmy przybyli w tamte strony, przyszedł do mnie i powiedział, że na wschodnim brzegu jeziora mieszka jego rodzina i że jego siostra jest ukochaną żoną króla Mpondy. W końcu poprosił mnie o zezwolenie na odwiedzenie krewnych.

Widząc, że uparcie obstaje przy swoim, zaprowadziłem go do Mpondy, który nawiasem mówiąc, nigdy nie widział Wikotaniego na oczy, dałem mu trochę towaru i kazałem mu czekać, dopóki rodzina się po niego nie zgłosi. Gdy spostrzegł, że odkryłem jego podstęp, zaczął buntować również Murzyna Czumaju, obiecując mu wyszukać żonę. Czumaju jednak nie dał się skusić i opowiedział mi o wszystkim.

Później było jeszcze gorzej. Od króla Mpondy trafiłem do wsi króla Babizy i popełniłem tę nieostrożność, że zatrzymałem się u niego, aby wyleczyć go z choroby skóry. W tym czasie przybył tam Arab z zachodniego brzegu. Prawdopodobnie brał udział w jakiejś ciemnej aferze, zaczął bowiem opowiadać niestworzone kłamstwa.

Twierdził, że został ograbiony przez plemię Mazitu. Mazitowie zaś żyją w odległości co najmniej stu pięćdziesięciu mil na północny zachód od miejsca, z którego ów Arab przybył. Słuchałem tego wszystkiego z nieufnością, lecz Muza (tak zwał się naczelnik komorskich Murzynów) udał, że mu wierzy. Wieczorem przyszedł do mnie i zaczął rozmowę o nieszczęściu, jakie spotkało arabską karawanę. „A ty mu wierzysz?” — zapytałem. „O, tak, mówi szczerą prawdę!” „Muza — przekonywałem go — Arab łże! Mazitowie nie tylko grabią, ale zawsze zabijają. Widocznie obawiasz się iść dalej. Chodź ze mną do króla Babizy, on cię na pewno przekona”.

Król wysłuchał całej historii i powiedział:

„Arab kłamie. Gdyby Mazitowie byli gdzieś w pobliżu, już dawno bym o tym wiedział”.

Kiedyśmy wracali, Muza zaczął jęczeć:

„Oj, doktorze! Nie, ja nie chcę dostać się w ręce Mazitów. Mazitowie mnie zabiją! Ja chcę do domu, chcę być znowu z rodziną, boję się Mazitów!”

„Przecież Mazitów tu nie ma!”

„Ach, któż to może wiedzieć! Ja się boję, boję!”

„Muza, jeżeli ty i twoi towarzysze tak się boicie, to pójdziemy prosto na zachód, omijając kraj Mazitów”.

„Przecież oni nas wszystkich pozabijają, jest nas tak mało!” uparcie jęczał Muza.

Miałem ogromną ochotę, mister Gent, palnąć mu po prostu w łeb jak zdrajcy. Żałuję, że tego nie zrobiłem. Zdawało mi się, że w końcu przełamałem upór komorskich Murzynów i ruszyliśmy na zachód. Ale w nocy wszyscy opuścili obóz. Po tym wypadku pod karą śmierci zabroniłem wspominać o Mazitach.

Z Niasy szedłem dalej przez skalistą okolicę, gdzie nie dotarli handlarze niewolnikami. Toteż ludność była tu gościnna i życzliwa. Za znikomym wynagrodzeniem tubylcy przynosili mój bagaż. Gdyby nie ich pomoc, to pozostawiony sam z pięcioma zaledwie tragarzami, w ogóle nie mógłbym iść dalej.

Po drodze udało mi się nająć kilku ludzi. W początkach grudnia 1866 roku przechodziłem przez kraj, po którym grasowały bandy rozbójniczych plemion. Nie było tam bydła ani zasiewów, a ludność puciekiała. Cierpieliśmy straszny głód, jedliśmy dzikie owoce, czasem udało się ubić antylopę. Nowi tragarze często uciekali kradnąc moją bieliznę i ubrania. Mimo to ciągle szedłem naprzód.

Prześladowany różnymi niepowodzeniami, przebyłem ziemie królów Bobamby i Barungi i znalazłem się w okolicy, gdzie władcą był król Pundu.

Pundu rządził w Kazembe. Był to człowiek niegłupi i dość przyzwoity. Przyjął mnie wspaniale i wystawnie, wypytawszy uprzednio za pośrednictwem swego dworzanina dokąd i po co idę. Odpowiedziałem stosując się do jego poziomu umysłowego:

„Tam gdzie żyją biali, jest wielu uczonych, którzy pragną wiedzieć, jakie są w nieznanych krajach jeziora i rzeki, jak się nazywają i dokąd płyną. Idę na południe, ponieważ, jak słyszałem, jest tam dużo wody”.

Dworzanin wytłumaczył królowi:

„Nie rozumiem, na co to potrzebne białemu człowiekowi, ale, jak widać, bardzo mu na tym zależy i nie ma w tym nic złego, że szuka wody”.

Wówczas przedstawiono mnie królowi Kazembe.

„Biały człowiek chce iść na południe?” — zapytał.

„Tak; słyszałem, że są tam rzeki i jeziora”.

„Nadzwyczajne! — zdumiał się Pundu. — Po co masz iść tak daleko? Tu jest tyle wody, ile tylko zapragniesz. Woda jest w pobliżu”.

Znowu postawił mnie w kłopotliwym położeniu, ale właśnie zjawiała się królowa. Zaaranżowała imponujące wejście, licząc na wywołanie wielkiego wrażenia na białym. Jej świta składała się z amazonek uzbrojonych w dzidy, sama również trzymała ogromną włócznię. Ubrana była w szeroką, czerwoną spódnicę, wysoka fryzura mieniła się barwnymi piórami, a z nosa, uszu i warg zwisały kółka. Zeszecona w tak okropny sposób ta młoda, ładna i wystrojona kobieta zmieszała się, kiedy głośno się roześmiałem. Powinien był pan to widzieć, mister Gent! Zaśmiewałem się do rozpuku, tak że w końcu i królowa wybuchnęła śmiechem, a za jej przykładem cała świta. Królowa zawstydziała się i czym prędzej skryła pomiędzy swoimi amazonkami.

Jak panu wiadomo, chciałem znaleźć źródła Nilu. Proszę mi pozwolić zapoznać pana pokrótce z moimi niektórymi odkryciami. W kraju Lunda dużo kłopotu sprawiła mi rzeka Czambezi, którą Portugalczycy myślą z Zambezi. Długo włóczyłem się po Lunda i przyległych okolicach i stwierdziłem, że Czambezi to rzeka inna niż Zambezi, że bierze początek pod 11° szerokości południowej i że właśnie Czambezi jest najdalej na południe wysuniętym odcinkiem wielkiego Nilu *.

Na północny wschód od Kazembe trafiłem na bardzo duże jezioro. Tubylcy zwą je Liamba. Idąc jego brzegiem na północ, przekonałem się, że stanowi ono południowo-wschodnią część Tanganiki. Dalej przebyłem rzekę Maringe i znalazłem się nad jeziorem Mueru.

Jest to prześliczne, urzekające swym pięknem jezioro, malowniczo otoczone ze wszystkich stron górami; wspaniała, tropikalna roślinność porasta brzegi. Jego wody przepływają szumiącym potokiem przez głęboką górską rozpadlinę, dając początek rzece Lualabie, którą ja nazwałem Uebba — imieniem mego oddanego, starego przyjaciela. Lualaba wpada do długiego jeziora Kamolondo pod 6°30' szerokości geograficznej.

Na południowy zachód od Kamolondo leży wielkie jezioro Szebungo, które nazwałem Jeziorem Abrahama Lincolna. W ten sposób...

— W ten sposób — wtrącił Gent — wznosił pan pomnik wielkiemu człowiekowi. Pomnik, którego nie wykonała ręka ludzka, lecz trwalszy niż z marmuru czy brązu.

— Może... — powiedział Livingstone. — Czytałem urywek jego przemówienia, w którym wspomniał o niewolnictwie i wołał o wolność dla czterech milionów czarnych obywateli Ameryki. Tu, u źródeł niewolnictwa, pomnik ten wydaje mi się bardzo na miejscu.

Z Jeziora Lincolna wypływa rzeka Leky, która wpada do Lualaby. W ogóle tyle rzek do niej wpada, że na mojej mapie zaznaczyłem tylko najważniejsze, jak na przykład Lufire.

I teraz stanął przede mną problem, czy przypadkiem owa Lualaba nie jest Nilem, za którego południowy odcinek uważałem Czambezi. Po wielu wątpliwościach doszedłem do wniosku, że to właśnie Nil. O szczegółach moich dociekań poinformuję pana kiedy indziej.

W marcu 1869 roku przybyłem do Udżidzi, gdzie pozostałem do lipca tegoż roku. Tam

* Wiemy obecnie, że Nil wypływa z Wyżyny Wschodniej Afryki jako rzeka Kogera, przecina Jezioro Wiktorii, po czym jego kolejne odcinki noszą nazwy Kiwiora i Bahr el-Gebel. Wymieniona dalej Lualaba jest górnym biegiem rzeki Kongo.

wpadł mi do głowy pomysł, aby przepłynąć całą Tanganikę wzdłuż jej brzegów, lecz spostrzegłem się, że gdybym to uczynił, zostałbym doszczętnie obrabowany, ponieważ zarówno Arabowie, jak tubylcy odznaczają się nienasyconą chciwością.

W końcu lipca opuściłem Udżidzi i skierowałem się w stronę Ugugu, a znad Ugugu podążyłem razem z napotkaną handlową karawaną do kraju Urua; przeprowadzałem badania na północ od Lualaby do 4° szerokości południowej. Po drodze dowiedziałem się, że dalej na północ jest jeszcze jedno jezioro, do którego wpada Lualaba, ale musiałem zrezygnować z udania się tam. Moi tragarze się zbuntowali: oświadczyli mi, że dalej pójdą jedynie pod ochroną dobrze uzbrojonego konwoju, a takiego konwoju nie mogłem wynająć, nie było bowiem ani gdzie, ani za co.

Nie pozostało mi nic innego, jak powrót do Udżidzi. Trudna i nużąca była ta droga... Zrobiłem to z ciężkim sercem, pewny bowiem już byłem osiągnięcia celu, a tu nagle poczułem się bezsilny. Przecież owo jezioro mogło być właśnie tym ostatnim ogniwem w łańcuchu moich badań, jeziorem, do którego powinna wpadać Lualaba.

Livingstone zasepił się, a jego twarz wyrażała głęboki żal. Opanowany swoimi marzeniami, wierzył w nie i służył im. Gent słuchał ze wzruszeniem tych fragmentów surowej, lecz cudownej historii. Oto siedział przed nim człowiek opętany duchem odkrywczym. Oszukiwany, niepraktyczny, ufny, uparty, owładnięty żelazną wolą osiągnięcia tego, co nakreślił sobie jako cel życia, gnębiony niepowodzeniami, zdradą i podłością — nieugięty, mimo krwawiących stóp, dążył do zbadania całego wielkiego systemu centralnych jezior Afryki i łączących je rzek, aby sprecyzować — wciąż jeszcze wątpliwy — bieg wielkiego Nilu. Patrząc na Livingstone'a i słuchając jego historii, Gent czuł jasno, jak wielki cel wypełnia bez reszty jego duszę i tym samym daje mu jakby przedsmak spełnienia. Nigdy jeszcze własny plan nie wydawał mu się równie głęboki i jasny. To, co dotąd było tylko gorącym pragnieniem, po wysłuchaniu opowieści Livingstone'a przerodziło się w jakiś potężny zew. Szczegóły planu ułożyły się wyraźnie jak na mapie i Genta ogarnęła młodzieńcza gorączka, by teraz, zaraz porozmawiać na ten temat z doktorem.

Zamyślił się. Ujrzał w wyobraźni mapę Czarnego Łądu: środek jej lśnił srebrem rzek i jezior tak jasnych, jak gdyby były żywymi strugami wody: po chwili obraz ten zmętniał i wody przybrały barwę czerwoną; płynęła w nich krew męczenników.

— Kiedy powróciłem do Udżidzi — odezwał się znowu Livingstone — czekał mnie nowy, ciężki cios: przed wyruszeniem w drogę niewielkie zapasy towaru oraz resztę rzeczy pozostawiłem na przechowaniu u szejka Szerifa. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy szejak zakomunikował mi, iż wszystko... zostało sprzedane! Powiedział, że powróżył sobie z Koranu i tym sposobem uzyskał informację o mojej śmierci! Gdy to mówił, łotr wyglądał niemal żałośnie ze swymi rozbieganymi oczyma, ale ja nie mogłem nawet słuchać jego nikczemnych usprawiedliwień. Na pożegnanie wyciągnął do mnie rękę. Nie przyjąłem jej... Odszedłem i przez całą noc nie zmrużyłem oka.

Byłem zrujnowany i ograbiony, nie miałem towarów ani ludzi — cóż miałem dalej począć? W czasie mego poprzedniego tutaj pobytu przysyłano mi niewolników niezdolnych do pracy i tchórzliwych. Gdybym teraz znowu poprosił o ludzi, na pewno powtórzyłoby się to samo. Zupełnie jak gdyby nikomu nie chciało się zająć porządnie tą sprawą, a przecież przysłanie mi wolnych tragarzy nie przedstawiało jakichś niezwykłych trudności!

Livingstone znowu umilkł.

Udżidzi spało. Głęboka noc zaległa nad tą czarowną ziemią. Gent nie przerywał milczenia. Myślał o ludziach, którzy w tej chwili płynęli po oceanach, znajdowali się w drodze, przebywali w niewoli — i o tym, jak by ich ratować.

— Przyszedłem do Udżidzi bardzo chory — podjął swą opowieść doktor — niemal bliski śmierci. Febra i zmęczenie ścięły mnie z nóg. Teraz czuję się już lepiej, lecz w dalszym ciągu jestem bezradny, chyba że Stanley tutaj dotrze.

Było widoczne, że jest zmęczony. Przymknięte oczy i nerwowość, przebijająca w głosie, świadczyły o wyczerpaniu. Gent zdał sobie z tego sprawę i postanowił dalszą rozmowę odłożyć do jutra, a teraz udać się na spoczynek.

— Dobranoc! — rzekł wstając z miejsca. — Zmęczyłem pana. Ale miło mi oznajmić, że wkrótce nie zazna już pan kłopotów!

— Co pan mówi? — uśmiechnął się Livingstone. — Czy zawarł pan przymierze z jakąś dobrą wróżką?

— Może... Zwie się ona Przypadkiem. Jutro opowiem o wszystkim. Dobranoc!

— Dobranoc, mister Gent! Wstaję wcześniej, o ósmej jadam śniadanie.

Rozstali się. Gent udał się na spoczynek. Długo nie mógł usnąć, a w myśli tak żywo dyskutował z Livingstone'em na temat swego planu, że musiał kilkakrotnie zapalać fajkę. Wreszcie sen zmaćił bieg jego myśli i ogarnął go mrokiem, poprzez który nie miały dostępu żadne trwogi ani widziadła.

Rozdział XVI

WIELKIE MARZENIE

Nazajutrz Gent zbudził się o wschodzie słońca i pośpieszył do ogrodu, gdzie zastał Livingstone'a, przechadzającego się wśród drzew. Przy powitaniu skonstatował, że podróżnik jest w dobrym nastroju. Livingstone zaczął opowiadać o Udżidzi, zabawnie opisując miejscowe obyczaje. Z kolei Gent wspomniawszy swe liczne przygody w Zimbaueni, opowiedział o Arabach, o strzale Showa i wielu innych sprawach.

— Tak, bez wątpienia miał on zamiar zabić Stanleya! — zauważył doktor, po czym poruszył sprawę spisku w Zimbaueni.

— To dziwna, bardzo dziwna historia, Gent! Arabowie są rzeczywiście despotyczni, natchalni i znieawidzeni przez krajowców. Wprowadzili systematyczny handel niewolnikami, mają swoje centrale, filie, tysiące agentów... Opowiem panu na przykład o Maniuemi. Ten kraj graniczy z okręgiem Urda. Przede mną nie dotarł tam nigdy żaden Europejczyk.

Początkowo brano mnie za Araba. Tłumaczyłem, że należę do zupełnie innego narodu, europejskiego, który nie ma nic wspólnego z Arabami. Ostatecznie uwierzyli mi i wówczas dowiedziałem się wielu nowych rzeczy.

Za niewolników z kraju Maniuemi płaci się bardzo wysoką cenę, ponieważ mają jasną skórę, są dobrze zbudowani, przystojni, pracowici i zręczni we wszelkim rzemiośle. Wyrabiają tkaniny z włókien roślinnych i barwią je farbami. Z ich kobietami żenią się chętnie rdzenni Arabowie. W ogóle plemiona te pod względem umysłowym stoją wyżej od innych plemion Afryki.

Nie znali przy tym do niedawna broni palnej i każdy wystrzał przyprawiał ich o paniczny strach. Toteż nawet mała banda uzbrojonych w karabiny Arabów mogła ograbić cały okręg, uprowadzając ze sobą wszystkich dorosłych mieszkańców.

W ostatnich czasach Arabowie byli na tyle nieprzezorni, że zaczęli sprzedawać im broń i proch oraz nauczyli ich strzelać. Tym samym spowodowali szereg energicznych wystąpień przeciw sobie samym. Teraz więc prześladują, a nawet zabijają tych wszystkich, którzy tubylcom sprzedają broń. W ogóle podłość i okrucieństwo Arabów doprowadziły do tego, że stali się przedmiotem nienawiści ze strony tubylczej ludności.

W ogrodzie ukazała się czarna postać Murzynki Kumilagi, pełniącej u Livingstone'a

funkcje kucharki. Już z daleka wołała.:

— Proszę pana, śniadanie i kawa na stole! Wszystko stygnie!

— Idę już, Kumilago! — odrzyknął Livingstone. — Chodźmy, mister Gent. Dzięki Bogu, ma pan dobry apetyt, nie tak jak ja!

Śniadanie składało się z sera, masła, pierożków, leśnych śliwek oraz kawy ze śmietanką.

Zaciszny taras zalewało jaskrawe światło podnoszącego się nad jeziorem słońca. Przy jedzeniu doktor rozprawiał o bogactwach krainy Maniuemi, płynącej mlekiem i miodem, o jej strumieniach niosących złoto, o sprzyjającym rolnictwu doskonałym klimacie.

Przy kawie i fajce Gent zaczął wreszcie mówić o swoim wielkim planie.

— Gdyby pan zadał sobie pytanie, sir, czy to wdzięczność i szacunek dla pana osoby przywiódł mnie tutaj, trzeba by na nie odpowiedzieć twierdząco. Ale łączy się z tym jeszcze jedna okoliczność, o której nie wspomniałem wczoraj z powodu późnej pory. Otóż u południowego podnóża gór w okręgu Rufidzi, na południe od Zimbaueni, o jakieś sto pięćdziesiąt mil od Bagamojo, znalazłem skarb ukryty w sztucznej grocie.

Gent opisał skarb, jego przypuszczalną wartość i pokazał Livingstone'owi kilka brylantów. Zainteresowanie podróżnika było ogromne. Obejrzał kamienie i dał Gentowi znak, by mówił dalej.

— Zna pan mój wstręt do bogactwa — ciągnął Gent. — Czy jest to objaw normalny, czy nie — to inna sprawa. Lecz do chwili kiedy odkryłem ów skarb, coraz silniej odczuwałem, że moje życie pozbawione jest treści, że brak w nim działalności, która by je wypełniła i porwała mnie bez reszty. Jakieś zajęcie połowiczne, na przykład akcja filantropijna, popieranie nauki czy sztuki — szczerze mówiąc — nie dałoby mi żadnego zadowolenia. Zadowolenie przyniosłaby mi tylko taka sprawa, która dotyczyłaby wszystkich przejawów życia, zarówno w dziedzinie duchowej, jak i materialnej. Gdy to pojąłem, moje myśli potoczyły się w tym właśnie kierunku i przypomniałem sobie pana... Rok temu mówiono w Europie, a nawet twierdzono stanowczo, że pan zginął... Ale ja pomyślałem o celu, jaki postawił pan sobie w życiu, i zrozumiałem, że gdyby skarby tamtej pieczary obrócić na wydatki związane z podróżami — wtedy można by poznać życie na całej kuli ziemskiej, zetknąć się z najrozmaitszymi przejawami działalności ludzkiej zarówno w praktyce, jak i w teorii. I w wyobraźni swej widziałem już człowieka zdolnego do objęcia kierownictwa takiego przedsięwzięcia.

Tym człowiekiem jest pan.

Gdy spotkałem ekspedycję Stanleya, powróciła mi wiara w odszukanie pana i przyłączyłem się do jego karawany. Cała rzecz polega na tym, że osobiście uchylam się od odegrania głównej roli w zrealizowaniu mego pomysłu, będąc zdania, że sam fakt przypadkowego zawładnięcia olbrzymim aż do absurdu majątkiem nie uprawnia mnie jeszcze do objęcia tego stanowiska. A najważniejsze jest to, że do ogromnych przedsięwzięć trzeba się specjalnie urodzić, by im podołać i wypełnić zadania związane z tak poważną sprawą. Do tego tylko pan się nadaje.

A teraz proszę, by zechciał pan rozpatrzyć mój plan.

Proponuję, by założyć „Towarzystwo Odkryć i Badań”, dokonywanych we wszystkich częściach naszego globu. Mój plan stanie się dla pana jasny, jeśli przykładowo ograniczę się na razie do Afryki.

Przed wszystkim Towarzystwo musiałoby dysponować całą flotyllą statków przeznaczonych do podróży dalekomorskich. Statki, załadowane niezbędnym sprzętem, popłyną ku brzegom Afryki. Z portów wyruszą w głąb ładu wielkie karawany, a wzdłuż arterii wodnych liczne statki rzeczne, ciągnące ciężarowe barki.

Po pewnym czasie, w miejscach wyznaczonych uprzednio jako punkty odprawy dla podróżników, powstaną duże stacje wyposażone we wszelkie możliwe towary potrzebne do handlu wymiennego z miejscową ludnością oraz na użytek podróżników.

Ostatnie zdobywcze techniki i nauki powinny być zastosowane przy instalowaniu w najdzikszych i najniebezpieczniejszych okolicach wielkich mieszkalnych domów, pełnych światła, przestrzeni, powietrza, higienicznych i wygodnych, w których byłoby miejsce na komfort i rozrywki.

Powstaną tam sady, ogrody, stacje meteorologiczne i astronomiczne, teatry, kluby, szpitale, pracownie artystyczne dla rzeźbiarzy i malarzy, sale koncertowe z fortepianami i orkiestrami, a także sale przeznaczone na tańce i uroczyste obchody.

Wielkie szklane galerie ogrodzą najbardziej malownicze części lasów, co pozwoli bez naruszania praw przyrody wprowadzić do nich artystyczne ulepszenia oraz utrzymać w nich czystość jak w oranżeriach i wytworzyć nastrój właściwy miejscom zamieszkanym, zamienionym w jeden wielki ogród.

Przybędą tutaj podróżnicy, geografowie, przyrodnicy, geolodzy i w ogóle wszelkiego rodzaju uczeni pragnący samodzielnie zajmować się badaniami. Oprócz tego zorganizuje się sieć agentów rozsianych po całej kuli ziemskiej. Ich obowiązkiem będzie wyszukiwanie wśród wszystkich warstw społecznych ludzi przedsiębiorczych, bystrych i odważnych, miłośników niezwykłych przygód, marzących o niebezpiecznych podróżach, żądnych silnych wrażeń i zwycięstw; będą werbowani i kierowani tam, gdzie ich wyobraźnia i zamiłowania znajdą właściwe ujście.

Niezwykle staranny dobór lekarzy, preparatorów, rzemieślników, przewodników, wioślarzy, myśliwych, robotników, kartografów, kreślarzy i przedstawicieli różnych innych zawodów, niezbędnych dla wszechstronnego wyekwipowania każdej ekspedycji, stworzy niepokonaną potęgę. Armia ta ruszy w najniebezpieczniejsze dżungle, zbada i ustali bieg rzek, odkryje wszystkie wody i jeziora dziś jeszcze nie znane, zmierzy i policzy góry, przestudiuje florę i faunę, przebogatymi zbiorami zapełni europejskie muzea, utrwali za pomocą nut wszystkie pieśni i motywy muzyczne dzikich plemion, spisze ich bajki i podania, zbada zwyczaje i obrzędy, nauczy tubylców rękodzielnictwa i rzemiosła, a także racjonalnej uprawy ziemi. Założy kopalnie w miejscach bogatych w złoża minerałów i metali i kto wie, jakie jeszcze otworzą się możliwości zastosowania energii powstałej z woli i natchnienia, które promieniować będą tam, gdzie dotąd nie postąpiła noga białego człowieka!

Gent długo jeszcze rozprawiał z zapalem na temat swego wymarzonego przedsięwzięcia, przeskakując z ładu na ład. Szkicował schemat wypraw na bieguny południowy i północny, do mało znanej Polinezji, do środkowej Australii, nie zbadanej jeszcze przez Europejczyków, do tajemniczego Tybetu. Opowiadał o dalekich morzach, wulkanach, wodospadach i grotach — słuchając go, Livingstone zagłębiał się wraz z nim w wielkie i małe tajemnice świata. Gdy Gent przestał mówić, zaległo długie milczenie.

Przerwał je wreszcie Livingstone.

— Piękna idea, *mister* Gent! Będzie wymagała wielu trudów i mam nadzieję, że uda nam się pracować nad nią wspólnie.

— Ja też bardzo bym tego pragnął. Proszę jednak, aby — jeśli wszystko ułoży się pomyślnie — moja osoba pozostała w cieniu, w głębokim, cichym cieniu. Moim zamiarem jest być tylko zwykłym myśliwym i niczym więcej.

— Zgoda. Na ten temat będziemy musieli jeszcze odbyć wiele rozmów. Ale proszę mi powiedzieć, jakie są pana zamiary na najbliższą przyszłość?

— Odpocznę, zbiorę karawanę z należytych konwojem i udam się na wybrzeże. Później wyruszę ponownie do okręgu Rufidzi, zabiorę wszystko z pieczary, przewiozę w bezpieczne miejsce, po czym zajmę się spieniężeniem skarbu. Będę czekał na pana w Londynie. Czy długo zamierza pan tutaj jeszcze pozostać?

Livingstone zamyślił się.

— Chętnie bym wyruszył bodaj zaraz — powiedział z nie ukrywanym żalem — lecz potrzeba mi jeszcze jakichś sześciu czy siedmiu miesięcy dla ostatecznego ustalenia, gdzie są

prawdziwe źródła Nilu. Prawdopodobnie wkrótce przybędzie tu Henry Stanley. Przy jego pomocy zakończę tę ostatnią wyprawę i dopiero wtedy powrócę do Europy.

— Ja nie będę zwlekał — oświadczył Gent. — Proszę mi wskazać jakiegoś przyzwoitego, tutejszego wielmożę arabskiego.

— Bardzo przyzwoicie zachował się w stosunku do mnie szejik Abdulla-ben-Said. Jego *tembo* znajduje się na drugim końcu wsi.

— Dziękuję panu.

Gent wstał i opuścił taras. Livingstone spoglądał za nim, rozważając jego plany. Projekt ten zachwyił słynnego podróżnika i długo jeszcze zajmował jego myśli.

Rozdział XVII

ARABSKA GOŚCINNOŚĆ

Gent przybył do *tembo* szejika Abdulli-ben-Saida w towarzystwie półnagich dzieci arabskich i dorosłych Arabów, którzy spotkawszy go na drodze, towarzyszyli mu aż tutaj. U wejścia do domu wszyscy się zatrzymali, rozczerowani mało towarzyskim zachowaniem się Genta, i rozeszli do swych domów, by opowiedzieć o przyjeździe *buany*, który nie mówi nic oprócz „tak” i „nie”.

Dom szejika otaczały pola pszenicy oraz warzywniki, gdzie rosły dynie, cebula, czosnek, czerwony pieprz, ogórki i tykwy. Dom, ozdobiony kolumnkami i bogato pokryty rzeźbą, miał tarasy obwieszane perskimi dywanami i stał w cudownym ogrodzie, w którym rosły gęsto drzewa pomarańczowe i cytrynowe, grusze i brzoskwinie, a także mnóstwo akacji, oleandrów, jaśminów i wszelkich gatunków róż. Wzrok Genta przyciągnęły zwłaszcza niezwykle żółte róże, mieniające się delikatnym odcieniem złota.

Na spotkanie podróżnika wyszedł sługa i wysłuchawszy go, udał się w głąb domu, po czym wrócił z odpowiedzią, że szejik prosi do siebie gościa doktora Livingstone'a.

Gent wszedł do wielkiej komnaty, chłodnej, mrocznej i na modłę wschodnią przytulnej. Szereg otoman ciągnął się wzdłuż ścian. W kącie stało europejskie biureczko i fotel. Podłogę zaścieniały barwne dywany. Abdulla-ben-Said — chudy mężczyzna o długiej, poważnej twarzy — ubrany był w chałat, barwny turban oraz pantofle wyszywane złotem. Wyłonił się z głębi domu i powitał gościa życzliwie.

— Witaj, niech łaska Allacha spłynie na ciebie! Już wczoraj słyszałem o twym przybyciu. Skąd przyszedłeś?

— Z Taborów.

— O! A czyż nie ma tam Miramby?

— Owszem, Mirambo sieje tam wielki postrach.

— Więc jak zdołałeś dostać się tutaj?

— Przy płynąłem rzeką Malagarasi.

— Na Allacha! Czy trudna to była podróż?

— Dość trudna.

— Siadaj, zaraz przyniosę kawę, przekąsimy coś i wypijemy.

Wszedł czarny sługa z poczęstunkiem. Serwis z czerwonej porcelany połyskiwał na srebrnej tacy. Na innej tacy, w miedzianych naczyniach ozdobionych skomplikowanym deseniem, dymił pilaw, pierożki i jajecznicę. Gospodarz, jak przystało na mahometanina, nie pił wina, nie gardził natomiast rumem i likierem. Karafki z tymi trunkami w dwóch gatunkach

zatkane były kryształowymi, złożonymi korkami.

— Chcesz może herbaty?

— Nie, dziękuję, lubię kawę. A gdzie kupujesz te wszystkie europejskie rzeczy?

— *Bismallah!* * Dwa razy w ciągu roku posyłam karawanę na wybrzeże po zakupy.

Gent pokosztował potraw, upił z filiżanki połowę bardzo mocnej kawy, zapalił cygaro ofiarowane przez gospodarza i przystąpił do sprawy, która go przywiodła.

— Mieszka tu w Udżidzi doktor, dobry i wielki człowiek.

— Wiem, *buana!* To święty człowiek. Moja córka była śmiertelnie chora i on ją uleczył.

— Ograbiono go.

— Tak! tak! To zrobił Szerif. Wszyscy się skarżą na tego łotra!

— Chodzi o to, szeiku Abdulla: niebawem przybędzie tu drugi Anglik, *buana* Stanley. Przyjdzie z wielką karawaną, wioząc odzież, broń, towary i pieniądze. Trudno mi powiedzieć, kiedy to nastąpi, w każdym razie nie prędzej niż za miesiąc. Stanley nadchodzi, omijając tereny zajęte przez Mirambę, daleką, okrężną drogą.

— Niech będzie przeklęty ten zbój!

— Stanie się, jak powiadasz. Ale tymczasem doktor potrzebuje pomocy, cierpi biedę.

— Rzeczywiście.

— A więc przyszedłem do ciebie i proszę cię, abyś zaopatrywał doktora w żywność i we wszystko, czego będzie potrzebował aż do nadejścia Stanleya.

Gent położył na tacy trzy duże diamenty, cały swój majątek. Abdula-ben-Said, znawca i miłośnik drogich kamieni, z czułością wziął je do ręki, odsunął dłoń i przymrużył oczy. Cudny, czysty blask brylantów pograżył Araba w błogiej zadumie. Zważył je na dłoni, potrząsnął i położył na stole przed Gentem.

— Przepiękne! — zawołał z przejęciem i spojrzał wyczekująco na myśliwego. — Po sto tysięcy piastrów każdy.

— Z całą pewnością! — Gent podsunął kamienie Arabowi. — Jeden weź sobie, żeby doktorowi nie brakowało niczego, dopóki...

Sucha twarz Araba przybrała dumny wyraz.

— Nie potrzeba.

— Weź, daję ci ten kamień w prezencie.

— To co innego. Dziękuję za upominek. Ponieważ mi o tym wspomniałeś, doktorowi i tak niczego by nie zabrakło. On sam nic nie mówił.

— Tak, jest bardzo dumny.

— Z pewnością. Uratował moją córkę i nigdy mu tego nie zapomnę.

— Doskonale. Ja rozumiem ciebie, a ty rozumiesz mnie. Ale teraz mam do ciebie prośbę w mojej własnej sprawie, przyjacielu!

— Proś, o co chcesz!

— Chodzi o to, że za parę dni muszę stąd wyjechać. Nie znam tutejszych ludzi, a niezbędny mi jest porządny konwój, żywność, zapas tkanin do wymiany po drodze oraz dobry przewodnik, abym mógł się przedostać najkrótszą drogą do Bagamojo. Proszę cię, poproś któregoś z twoich znajomych, tutejszych kupców lub pośredników, aby w przeciągu pięciu dni przygotował mi ładunek, eskortę oraz zwierzęta. Temu człowiekowi dasz w zamian drugi brylant.

— *Bismallah!* Jeszcze sto tysięcy! Jesteś chyba księciem!

— Nie! — roześmiał się Gent. — Odziedziczyłem duży spadek!

— Spadek... a... — Arab obrzucił swego rozmówcę spojrzeniem, w którym malowały się ciekawość i respekt, po czym zamyślił się, popijając kawę.

* *Bismallah!* — na Boga!

— Będziesz miał wszystko! — oświadczył krótko, kończąc swe rozważania. — Zdobędziemy dla ciebie takich wojowników i strzelców, że każdy z nich wart będzie dwóch! Znajdą się konie i osły. Hakim-ben-Tawiz, mój przyrodni brat, wszystko załatwi, ja mu powiem. Towary... jakie tylko chcesz. Mogą być płótna, paciorki, nici, guziki, drut. Będziesz zadowolony.

— A teraz żegnaj! — Gent wstał. — Dziękuję ci!

Arab podniósł się również.

— Zaczekaj chwilę, nie odchodź tak — rzekł znacząco. Obrócił się ku ścianie, na której wisiała broń, otaczając kręgiem starożytne tarcze, pokryte złotymi arabeskami i cytatami z Koranu. Zdjął kindżał z damasceńskiej stali ze złotą rękojeścią wysadzaną perłami i turkusami. — Mój dziad dał go mojemu ojcu, a ojciec mnie. Ja daruję go tobie. Spójrz!

Szeik odstąpił klingę. Ani czas, ani zużycie nie pozostawiły na matowym, szarym ostrzu żadnych śladów. Kindżał był leciutki, a stal dźwięczna i ostra jak brzytwa.

Następnie Arab wziął ozdobne żelazne szczypce, służące do nakładania węgla do nargili, i podał je Gentowi.

— Weź i trzymaj mocno!

Gent wyciągnął rękę i nadstawił szczypce. Klinga błysnęła, rozległ się suchy trzask i połowa szczypiec upadła na ziemię jak przecięta marchew. Gent zdumiał się siłą Araba, lecz zdziwił się jeszcze bardziej, gdy obejrawszy ostrze, nie znalazł na nim najmniejszej szczyrby. Chuchnął nań — wilgotny ślad znikł niemal natychmiast.

— Cudowna stal — zauważył. — To dla mnie?

— Tak. Używaj jej i pokonuj swych wrogów.

— Dzięki! — Myśliwy ukrył broń w zanadru. — Nigdy się z nim nie rozstanę.

— Allach słyży twoje słowa. Idź i pokój niech będzie z tobą. Pokochałem cię.

Obdarowany na drogę wszelkimi błogosławieństwami, Cent już zamierzał wyjść, gdy nagle coś sobie przypomniał i przystanął.

— Trzeci diament, szeiku Abdulla, użyjesz na umożliwienie doktorowi powrotu do domu, w razie gdyby Stanley nie przybył.

— Dobrze, uczynię, jak każesz.

Rozdział XVIII

POŻEGNANIE Z LIVINGSTONE'EM

Livingstone zwykł był jadać obiad wcześniej, toteż Gent po powrocie zastał nakryty stół, a doktora przechadzającego się w zadumie przed tarasem. Na widok Genta rzekł:

— Dobrze, że pan już jest. Obiad gotowy. Cały czas chodzę i rozmyślam o pana wielkich planach, mister Gent! W samej rzeczy, czy społeczeństwo europejskie nie ponosi winy za to, że w większości wypadków podróżnicy uważani są za ludzi skazanych na zagładę, że badania na pustyniach Gobi, Saharze czy na Ziemi Ognistej wymagają tak licznych ofiar, że czasem bezczelnie włóczędzy kłamią jak najęci, podając jako fakty zmyślane historie lub wprost śmieszne teorie nie oparte na relacjach świadków naocznych? Gdybyśmy wydali miliard rocznie na podróże w celach naukowych, dawno już wiedzielibyśmy o kuli ziemskiej wszystko, wliczając w to nawet oba bieguny. Zaiste, nie zasłużyliśmy na los męczenników, przecież cały świat jest mniej lub więcej zainteresowany w nowych odkryciach. Tak, im dłużej zastanawiam się nad możliwościami tak wspaniałomyślnie przedstawionymi przez pana,

tym bardziej zapalam się i zachwycam tym projektem i gdy tylko skończę z Nilem, zawrę z panem trwałą umowę!

Po obiedzie doktor wraz z Gentem poszli się przejść po Udżidzi, by przyjrzeć się tubylcom i ich obyczajom. Poszli na rynek, gdzie wokół stołów i koszy z towarami, pod wielkimi parasolami siedzieli sprzedawcy, Murzyni z plemienia Wadżidzi, Arabowie i handlarze ze wschodniego wybrzeża. Tutaj zobaczył Gent ryby z jeziora Tanganika — sumy, *salarę*, tłustą, mięsistą rybę, wyglądem i smakiem przypominającą karpia, *czaję* o zielonym grzbiecie i białym brzuchu, podobną do leszcza, *mwuro* o kształcie prawie czworokątnym i niezwykle kłujących płetwach oraz dwa rodzaje nagich, pozbawionych łuski ryb, ładnych i barwnych, z gatunku okoni i węgorzy.

Na targ przyprawiono mnóstwo kóz i baranów, piętrzyły się stosy jaj, owoców i jarzyn. Tu i ówdzie stały koszyki pełne ostryg i małych raczków łowionych w jeziorze.

Białych obstał zwarty tłum. Doktora znano tu dobrze, lecz za Gentem stale postępował z dziesiątek czarnych, natrętnych i rozciekawionych. Uczesanie tubylców było bardzo rozmaite. Niektórzy mieli głowy całkowicie ogolone, inni tylko częściowo, a reszta włosów kosmykami spadała im na uszy. Jeszcze inni nosili fryzury w kształcie wałków albo też mnóstwo warkoczyków, upiętych w wysokie wieże.

Ręce Murzynów były tatuowane w białe, faliste linie i koncentryczne wzory z łukowatych kresek; skomplikowana sieć falistych i poziomych nacięć nakrywała im brzuchy. Szyje obwieszali rzeźbionymi kawałkami kości słoniowej, zębami hipopotamów i kłami dzików. Co bogatsi przystrajali się w kolorowe drewniane paciorki, żelazne dzwoneczki, zwoje miedzianego drutu i białe muszle. Ubranie składało się tylko ze skór owczych i kozich, pomalowanych czerwoną gliną. Na ciemnym tle widniały niewybredne desenie.

— A to jest *uwanca* — odezwał się Livingstone wskazując budynek na palach, pokryty trzcinowym dachem. — Murzyński „klub”. Przychodzą tu, by pogadać i podzielić się nowinami. Rozmawiają o białym człowieku, plotkują. Podczas takich zebrań tubylcy robią różne rzeczy: ostrzą dzidy, malują fajki, toteż chętnie schodzą się w *uwancy*. Gdy akurat jest tam pusto, każdy znajduje sobie pod jakimś drzewem gromadkę rozmówców i przyłącza się do nich. Uwanca jest również czymś w rodzaju giełdy, miejscem ogólnych zebrań, wszystkim, czym pan chce!

Im dłużej Gent obserwował doktora, tym większym darzył go szacunkiem i sympatią. Sądząc z opowiadań konsula Kirka, Livingstone był mizantropem i człowiekiem nieprzystępnym. Gent nie stwierdził w nim żadnej z tych cech.

Sławny podróżnik miał w tym czasie około sześćdziesięciu lat, lecz wyglądał na pięćdziesiąt, choć na skutek nieodpowiedniego pożywienia powypadały mu zęby. Chód miał sprężysty i szybki, całą postać nieco pochyloną. Odnaczał się szczerą i ujmującą grzecznością, dobroduszością i humorem. Jego śmiech był po prostu zaraźliwy. Gdy coś opowiadał, z jego bladej twarzy nie schodził subtelny, ironiczny uśmieszek. Pod surową powierzchownością krył się wielki umysł i młodzieńczy duch. Lubił opowiadać wesołe dykteryjki o przygodach myśliwskich i o życiu krajowców.

Choć pozbawiony od kilku lat książek, zdumiewał swą pamięcią, cytując w całości poematy Byrona, Burnsa, Longfellowa i Tennysona.

Z początku Arabowie nie lubili go i unikali, lecz doktor stopniowo zjednał sobie ich serca dzięki niezmiernej dobroci i łagodnemu obejściu. Arabowie na jego widok mówili: „Niech łaska Allacha będzie z tobą, buana!”

Świetnie strzelał, ze stoicyzmem znosił zabójczy klimat Afryki i posiadał zapas niespożytej energii.

Z tym niezwykłym człowiekiem spędził Gent jeszcze cztery dni. Minęły niepostrzeżenie — rozmowy o Europie, o źródłach Nilu oraz plany na przyszłość skracały czas. Nadszedł wreszcie moment rozstania.

W przeddzień wieczorem długo siedzieli razem.

— Pozostawiam do pańskiego uznania, czy wtajemniczać Stanleya w nasze zamiary dotyczące „Towarzystwa Odkryć i Badań”. Jeśli idzie o mnie, to gdybym mógł, ukryłbym przed nim fakt mego pobytu tutaj.

— Czemu?

— Stanley z narażeniem życia udał się na poszukiwanie pana. Wie, że nie podam do publicznej wiadomości, iż przybyłem tu przed nim, lecz sam ten fakt nie będzie mu miły. Można by to nazwać próżnością, ale ponieważ nie wypływa ona z niskich pobudek, wolałbym nie wspominać, że miałem szczęście odnaleźć pana przed nim.

— Ma pan rację — rzekł Livingstone. — No, więc ja mu tak powiem: „Był tu *mister* Gent i pytał mnie, czy nie ma jeszcze Stanleya. »Jeszcze nie ma«. »Przepraszam, mnie też tu jeszcze nie było« — powiedział mi wtedy *mister* Gent”.

— Doskonale! — zaśmiał się Gent. — I niech pan doda: „Nawet na mnie nie spojrział, tak że właściwie wcale mnie nie widział”. Ja osobiście uważam, że dopóki skarb nie zostanie spieniężony, nie ma potrzeby wtajemniczać w tę sprawę zbyt wielu osób.

Rozstali się późno, dopiero o trzeciej nad ranem. Livingstone otworzył miedzianą skrzynkę, w której przechowywał mapy, notatki oraz materiały piśmienne, i zaczął pisać listy, które chciał wysłać przez Genta.

Myśliwy już się rozbierał, gdy wszedł Caupere. Murzyn miał twarz zasmuconą. Ostatnie dni spędzał bez swojego *muzungu*, w towarzystwie kucharki Kumilagi oraz Suziego i Sumagi, służących doktora.

— No co, Caupere? — zwrócił się do niego Gent. — Nie cieszysz się, że jutro wyruszamy? Zabiorę cię do kraju białych ludzi i zobaczysz tam mnóstwo różnych cudow!

— Caupere jest smutny — rzekł czarny. — On pójdzie wszędzie z *muzungu*. Ale tam, wśród białych, gdzie jest dużo paciorków i lusterek, gdzie woda zimą twardnieje, gdzie dom stoi koło domu i gdzie jest dużo jedzenia i rumu — tam nie będzie mojej żony, Mzuty, którą zabili w lesie!

— Ożenisz się z inną Mzutą — pocieszał go Gent. — Będiesz miał dzieci, własny dom, bydło i owce.

— Jak Mzuta wyrabiała ciasto — odparł żałośnie Caupere ocierając oczy — to oblizywała palce... o, tak. Druga Mzuta nie będzie tak oblizywała palców!

Ale smutek nie mógł trwać długo przy żywym usposobieniu Murzyna. Już po pięciu minutach wesoło przekomarzał się z Kumilagą, pokazywał, jak się denerwuje robiąc pierogi, jak sprawdza, czy nadzienie pod ciastem jest już miękkie, po czym oddalił się niezwykle zadowolony z prezentu otrzymanego od Genta — małego, srebrnego gwizdka. Co najmniej przez pół godziny rozlegał się za domem nieustanny gwizd, który umilkł dopiero wtedy, gdy z kuchni dobiegło głośnie wymyślanie.

Gent zasnął i obudził się wcześniej. Na tarasie zastał Livingstone'a, wyraźnie zasmucenego rozstaniem. Zdążyli zaledwie wypić po filiżance kawy i zamienić z sobą kilka słów, gdy w głębi ulicy zauważyli niezwykle ruch. Kopyta zwierząt i dziesiątki czarnych, bosych stóp wzbijały tumany kurzu. To Hakim-ben-Tawiz prowadził przygotowaną karawanę. Wokoło tłoczyli się liczni gapie. Przodem szli Arabowie, Abdulla i Hakim, za nimi, z karabinami na ramionach, postępowało trzydziestu zabijaków z plemienia Waniemwezi, chłopów na schwał, niosących pakunki z towarem, zwinięte namioty i inne bagaże. Orszak zamykało pięć osłów i dwadzieścia baranów.

Strzelając na wiwat, karawana rozłożyła się naprzeciw domu, a Arabowie weszli na taras. Hakim, rosły i tęgą czarnobrody mężczyzna, wyglądał bardzo sympatycznie ze swymi wesołymi, figlarnymi oczyma.

Po wymianie słów powitalnych pierwszy odezwał się Abdulla: .

— I ja, i Hakim wykonaliśmy wszystko zgodnie z pańskim poleceniem. Może pan

spokojnie wyruszyć w drogę. Za każdego z tych ludzi ręczę jak za samego siebie!

Następnie podał Gentowi listę zawierającą imiona wszystkich tragarzy i konwojentów oraz spis pakunków, paciorków, drutu i tkanin.

Gent był głęboko przekonany, że pomimo uczciwego zorganizowania karawany Hakim wyszedł dobrze na tym interesie. Ucieszyło go to, wołał bowiem dawać niż otrzymywać samemu.

Przewodnikiem był stary Murzyn z plemienia Wadżidzi, imieniem Uokolo. Livingstone przywołał go i wypytywał, jaką trasę zamierza obrać.

— Uokolo nie spotka się z Mirambą — zapewnił stary przymrużając chytrze jedno oko. — Pójdziemy przez Ukararanga i Uwinza, a potem doliną rzeki Gombe. Tylko ja jeden znam tę drogę i już kilka razy nią chodziłem.

— Ano cóż — powiedział Gent obejrzawszy karawanę i porozmawiawszy z tragarzami — trzeba iść i działać. Gdzie jesteś, Caupere?

— Gdzież miałbym być, jak nie tutaj? — usłyszał odpowiedź spoza swych pleców i Caupere, uzbrojony w karabin, wysunął się z tłumu. — Jestem tutaj, czas w drogę.

— Żegnam pana, drogi panie Livingstone — rzekł Gent. — Trudno mi znaleźć w tej chwili jakieś sensowno słowa. Proszę zrozumieć mnie i bez tego.

— Bądź zdrow, drogi przyjacielu — odparł doktor.

Objęli się i mocno uścisnęli sobie dłonie, unikając nawzajem swego wzroku, tak silnie byli obaj wzruszeni. Umówili się, że spotkają się w Londynie, po czym Gent zszedł z tarasu. Rozległo się kilka pożegnalnych salw. Pstry tłum ludzi i zwierząt ruszył naprzód i stopniowo zaczął znikać za stromym pagórkiem.

Gent jeszcze się obejrzał. Livingstone stał ciągle pod drzewem i machał czapką. Jego siwa głowa w blasku słonecznych promieni wyglądała jak otoczona złotą aureolą.

Rozdział XIX

DRAMAT W PIECZARZE SKARBÓW

Minęły trzy miesiące.

Po nagiej pochyłości góry, w miejscu gdzie ongiś Gent po raz pierwszy wdrapał się ku skalnej szczelinie, pięło się trzech ludzi.

Dwaj spośród nich to nasi starzy znajomi — Gent i Caupere, trzeci zaś, krępy, niski Anglik, o twardej, okrągłej twarzy, był znanym na wschodnim wybrzeżu włóczęgą i poszukiwaczem przygód; zwał się Ben Sallas. Był to człowiek nieustraszony i łagodny, choć od czasu do czasu popadał w gniew.

Po wyjściu z Udżidzi Gent nie od razu udał się po skarb. Przybywszy szczęśliwie do Zanzibaru, zorganizował ekspedycję składającą się wyłącznie z Europejczyków, przy czym korzystał z pomocy i rad Bena Sallasa, swego starego przyjaciela, z którym ongiś włóczył się po Indiach. Ben, wielki znawca ludzi i mający liczne znajomości, pozyskał dla wyprawy czteremastu uczestników, na których można było całkowicie polegać. Oddziałek, uzbrojony po zęby i gotów na wszystko, przypominał gniazdo os i przeciwstawiłby się śmiało wszelkiej napaści, gdyby zaszła tego potrzeba. Nie przewidywano jednak niebezpieczeństw, wszyscy umieli milczeć i tajemnica przy przewożeniu skarbu była zagwarantowana. Podróżnicy zabrali z sobą dwadzieścia wielbłądów.

Tego właśnie dnia ekspedycja dotarła do skał. Gent, Ben i Caupere udali się na wstępne

ogłędziny pieczary, aby zorientować się, co i w jaki sposób należy wydobyć w pierwszej kolejności.

— A więc zdążamy do królestwa Szeherezady — sapał Ben, dźwigając na krótkich nóżkach swe ciężkie ciało po nagim zboczu skały. — Ale jak tu ponuro... Te skały chyba ogolił fryzjer: ani włoska, ani ździebełka trawy! Widzę, Gent, że ten krajobraz i na pana działa przygnębiająco!

Myśliwy istotnie czuł się nieswojo. Szedł blady i zdenerwowany, ze ściśniętym sercem. W duszy czuł dziwny niepokój. Wydawał się sobie człowiekiem zamierzającym poruszyć wody ogromnego, zamarzniętego wodospadu.

— Nie — odpowiedział na uwagę Bena — to nie krajobraz powoduje mój zły nastrój. Sam nie wiem, co mi jest. Dużo pieniędzy, Ben, tyle pieniędzy! Aż trudno to sobie wyobrazić!

— Im więcej, tym lepiej! — odparł pożądliwie awanturnik. — Zaczynam być głodny. Czy daleko jeszcze do tej rozpadliny?

— Już bardzo blisko. Znajduje się za tym zwałem głazów. Jesteśmy prawie na wierzchołku skały.

Caupere niósł sznurową drabinkę i mocną żerdź, potrzebną do opuszczenia się w rozpadlinę. Nagle krzyknął.

— Co się stało? — zaniepokoił się Gent.

— Tam... jakiś człowiek! Widziałem! — wybełkotał czarny wskazując ręką w stronę jeziora. — Był tam!

Obaj biali zatrzymali się jednocześnie i spojrzeli we wskazanym kierunku. Na niebieskim tle jeziora rysował się posępna, błyszcząca masa nierówny łańcuch skał, lecz ani tam, ani w pobliżu nie było widać nikogo.

— Zdawało ci się, Caupere!

— Nie, muzungu! Była głowa i znikła!

Skał, oprócz nich, wzięłyby się tutaj żywe istoty? Gent zdawał sobie sprawę z absurdalności takiego przypuszczenia i choć przez chwilę pozwolił ogarnąć się trwodze, zaraz się uspokoił. Ben z roztargnieniem rozglądał się po okolicy.

— Nikt nie mógł się tu przedostać — rzekł z przekonaniem. — Tędy nie przepęłzyłby nawet robak!

Przeprawili się przez ostatni zwał kamieni. Przed nimi czerniała szpara przepaści. Patrząc na skałę, miało się wrażenie, jakby ktoś przeciął ją ogromnym nożem. Na widok rozpadliny Ben zaczął przynaglać do pośpiechu. Ogarnęło go podniecenie.

— Gdzie jest żerdź i drabina? — mruczał. — Gent, gdzie to jest, w którym miejscu? Jazda na dół!

Przygotowali wszystko do opuszczenia się w szczelinę. Gent nachylił się i dostrzegł znajomy, czarny otwór.

— Tam jest wejście, Ben! — zawołał. — Opuść się pierwszy, a ja za tobą. Caupere, ty zostaniesz na górze. Pilnuj nas!

— Chyba przed chmurami! — mruknął Ben, zręcznie schodząc do rozpadliny.

Z góry widać było tylko jego biały kapelusz. Zabłysła latarka i przy jej świetle Sallas ruszył ciemnym korytarzem. Za nim, nie zwlekając, opuścił się również Gent. Serce biło mu, jakby szedł na stracenie, nie mógł pojąć, co się z nim dzisiaj dzieje.

Dopiero na końcu korytarza dogonił Bena. Krąg światła latarki w jego ręce błędził po ścianach i sklepieniu pieczary. Ben usłyszał za swymi plecami zmieniony, obcy, ochryply głos. To mówił Gent.

— Mało światła, za mało światła! — powtarzał i czuł, że ogarnia go słabość, a w oczach migają cienie, co sprawiało, że wszystko wydawało mu się jakąś fantasmagorią. — Ja nic nie widzę... A czy ty widzisz? O, tu, wszędzie, pod ścianami, owalne, gliniane naczynia... O

Boże! Ben, zapal świece, kilka świec!

— Naczynia... — Ben zrobił ruch nogą i coś zabrzączało. — To skorupy. Że były tu jakieś naczynia, o tym nie można wątpić, ale że je potłuczono i rozbito — to też pewne.

— Co?! — Gent zachwiał się i oparł o ścianę.

Ben skierował snop światła na jego twarz. Myśliwy był straszliwie blady.

— Tutaj nic nie ma! — Sallas wymówił te słowa głośno i dobitnie. — Nie mam świec, o które prosisz, ale kolejno oświetlę wszystko dokoła latarką i sam się przekonasz, że oprócz tych skorup nic tu więcej nie ma.

I trzymając latarkę w wyciągniętej ręce, obracał ją na wszystkie strony. Krag światła, przełamany kątami ścian, powoli obiegnął pieczarę. Jego mleczny blask nie oświetlał nic, poza kilku porzuconymi strzelbami i kupą skorup i szmat.

Gent wyjął fajkę i począł ją nabijać. Ręce tak mu dygotały, że rozsypywał tytoń. Machinalnie włożył fajkę z powrotem do kieszeni.

Ben obszedł wszystkie kąty, potracając butem rozmaite rupiecie.

— Nie widzę twojej twarzy, Sallas — przemówił Gent głosem tak cichym, jakim mówi ciężko ranny, gdy go składają na noszach. — Podejdź bliżej!

— Nie mogę teraz patrzeć na ciebie — odparł krótko Ben. — No, uspokój się!

— Jestem spokojny.

Rzeczywiście, był już spokojny, lecz w sobie czuł śmierć. Wzrok jego błędził ślepo po otaczającym go półmroku. Usiadł na kamieniu i w tej samej chwili nachylił się podnosząc coś, co spadło z głazu. Był to jakiś papier. Pięć kartek wyrwanych z notesu.

— Teraz naprawdę potrzebne mi jest światło — rzekł pewniejszym głosem. — Oto jest coś, co może okazać się kluczem do tej całej historii.

— Rzeczywiście.

Ben szybko podszedł do towarzysza. Myśliwy wziął latarkę i zaczął zgarniać kartki. Zapisane były ołówkiem, znanym mu charakterem pisma Van Landa.

— Czytaj na głos — rzekł Ben.

— Tak. Słuchaj.

Brak było daty, nagłówka lub jakiejś wskazówki, kiedy to zostało napisane. Tak postępuje człowiek ogarnięty ostateczną, beznadziejną rozpaczą.

Jeżeli pan to przypadkiem znajdzie, to niech pan wie, że wszyscy zginęliśmy. To nie pana wina i nie mam do pana żalu.

Ja, Van Land, jestem ostatnim, który został przy życiu. Piszę z trudem, jestem bardzo słaby, już pięć dni nic nie jadłem i nie piłem. Gdy skończę pisać, wyjdę ponad przepaść i strzelę sobie w łeb. Nie chcę tutaj leżeć martwy.

Tego wieczora, gdy pan nas opuścił, piliśmy i graliśmy w karty. Po jakimś czasie wstał od stołu syn Stephensona i wyszedł nie mówiąc, dokąd idzie. Zauważyłem, że zabrał z sobą karabin, ale nic nie powiedziałem i czekałem, aż wróci.

Tymczasem nie wracał i nie było go do rana. Niepokoiiliśmy się przez całą noc, krążyliśmy wokół obozu paląc światła i nawołując, a nawet strzelaliśmy, aby mu dać znać o sobie — na próżno, znikł bez śladu.

Jednakże wrócił rano i przyszedł prosto do mnie. Nie mogłem go poznać: oczy miał zaczerwienione, był blady i gadał od rzeczy. Początkowo nic nie rozumiałem.

„Co się z tobą dzieje? Gdzie byłeś?” — spytałem.

„Gent chciał nas okraść! — wrzasnął młodzik. — Tam gdzie byłem, jest dość milionów, aby strzelać do słoni brylantami! Masz, bierz! Starczy dla wszystkich. Bierz!”

Sięgnął w zanadrze i sypnął na łóżko deszczem drogich kamieni. Były to rubiny i brylanty, perły i szmaragdy. Zerwałem się, zapominając, gdzie jestem i kim jestem. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Ogarnął mnie strach.

Młody Stephenson opróżnił kieszenie i cały stół zarzucił złotem, pierścieniami i bransoletami. Wyglądał, jakby nie był przy zdrowych zmysłach. Potrząsnąłem nim mocno za ramiona i chlusnąłem mu wodą w twarz.

Powoli się uspokajał. A oto jego relacja:

W nocy wyszedł i śledził pana, skradał się po skałach jak kot i widział, jak pan schodził do pieczary. Potem przeczekał, aż pan odejdzie, sam się tam dostał, napchał, ile się dało, do kieszeni i za pazuchę i powrócił do obozu.

No i zaczął mi opowiadać, ile tego jest w pieczarze. Nie miałem już żadnych wątpliwości i uwierzyłem wszystkiemu, bo jakże miałem nie wierzyć!

Poszliśmy do reszty towarzystwa, zebraliśmy się wszyscy i zaczęli naradzać. Najbardziej opętany był Kleben. Z niecierpliwości omal nie tarzał się po ziemi. Nie zdążyliśmy nawet nic zjeść ani wypić — nie myśląc o jedzeniu wyruszyliśmy do pieczary.

Opuściliśmy się ze skały w ten sam sposób, jak pan to uczynił, przyświecając sobie smolnym tuczywem. Gdyśmy ujrzeni, co kryje pieczara — małośmy nie powariowali. Nawet Van Bush drżał jak liść. Myślałem, że głowa mi pęknie. Stary Stephenson śpiewał i całował wszystkich. Ale Kleben był okropny: wsadził ręce w złoto i stał tak, obmacując palcami monety, plółł coś bez sensu i nie mógł oderwać się od skarbów. Cały zsiniał. Odciągnąłem go na bok, wyjąłem mu z rąk monety, które jakby przylepiły mu się do dłoni. Wtedy zaczął nagle płakać, drżał i jęczał. Ale wówczas nie przejęliśmy się tym specjalnie.

Do obozu jużśmy nie powrócili. Jak długo przebywaliśmy w pieczarze, zanim spostrzeżyliśmy nieobecność Klebena — tego już nie pamiętam. Rozmawialiśmy, chodziliśmy dookoła tych przeklętych skarbów, licząc je i sprzecając się między sobą. Nagle Van Bush zapytał:

„A gdzie Kleben?”

Nigdzie go nie było. Przez korytarz wydostałem się na zewnątrz i spojrzałem w górę, gdzie widniał pas jasnego nieba... Serce we mnie zamarło: pień drzewa leżący w poprzek przepaści znikł, brak było również drabiny!

Krzyknąłem:

„Kleben, gdzie jesteś?”

W górze, na skraju urwiska, ukazała się głowa. Był to on, ale nie widziałem jego twarzy, nachylonej nad ciemną przepaścią.

„Jestem tutaj! — zawołał. — Czego chcesz, Van Land?”

„Co to wszystko ma znaczyć?”

„Nic. Zrzuciłem pień i drabinę. Już stamtąd nie wyjdziecie”.

Sens jego słów jeszcze nie dotarł do mego umysłu, ale poczułem zawrót głowy. Bałem się pytać dalej. Kleben krzyknął jeszcze:

„Nie ma tam nic, co by do was należało, idź i powiedz o tym wszystkim. Wróć tu, kiedy już wyzdychacie!”

Widocznie postradał rozum. Po chwili głowa Klebena znikła. Chociaż wołałem ze wszystkich sił, nie ukazała się więcej. Pewnie on sam odczuwał strach. Wróciłem do pieczary i opowiedziałem, co zaszło.

Początkowo towarzysze nie chcieli mi wierzyć, później sami poszli na skraj przepaści i przekonali się, że wydostanie się z niej stało się niemożliwe. Żaden z nas nie posądzał Klebena o żart, bo za takie żarty się zabija. Byliśmy zdruzgotani. Nie mieliśmy wody ani żywności.

Co pewien czas któryś z nas wychodził i wołał Klebena. Ale on nie odpowiadał ani się nie pokazywał. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co nas czeka — nie wytrzymałem nerwowo i załamałem się. Wszyscy powtarzali chórem: „Tak, jesteśmy zgubieni, nie wyjdziemy stąd, nadchodzi nasz koniec i śmierć!”

Ognia też nie mieliśmy. To znaczy zostały nam zapałki, ale cóż mogliśmy nimi zapalić! Noc przesiedzieliśmy w ciemnościach. Żaden z nas nie spał. Rozmyślałem nad tym, że nie ma

dla nas żadnej nadziei. Zupełnie, jakbyśmy zatnęli bez wieści w głębi oceanu.

Następnego dnia poruszaliśmy się z trudem, tak bardzo byliśmy osłabieni i zmęczeni. Nie chcieli nam się nawet rozmawiać. Pod wieczór coś złego zaczęło się dziać z młodszym Stephensonem. Krzyknął: „Ja stąd wyjdę, wyjdę!” Jak szalony poczołgał się ku wyjściu. Nikt go nie zatrzymywał, tylko ojciec zawołał za nim: „Uważaj, żebyś nie spadł!” i roześmiał się. Po chwili usłyszałem, że płacze. Z przepaści dobiegł krzyk, później rozległ się oddalony hałas i wszystko ucichło.

Prawdopodobnie młody Stephenson zaczął wdrapywać się po gładkiej ścianie w górę i runął w przepaść. Próbowałem dodać ducha sobie i towarzyszom, przekonywałem, że może Kleben odzyska rozum i ostatecznie nie pozwoli opanować się zbrodniczej chciwości.

„Wybij to sobie z głowy — rzekł Stephenson. — Nie ma o czym mówić. Szatan złota opętał Klebena, a to jest nieuleczalne”.

„Nigdy nie byłem pokorny wobec życia i nie ukorzę się też przed śmiercią — rzekł Van Bush. — Nie chcę zdychać z głodu i z pragnienia jak pies. Jeśli do jutra nie zdarzy się jakiś cud — sam skończę z sobą!”

Moje myśli bynajmniej nie były weselsze. Zapadł już trzeci wieczór i nic się nie zdarzyło. Odchodziłem od zmysłów z pragnienia. Bałem się zamknąć oczy, bo natychmiast ukazywała mi się falująca woda, a na jej powierzchni łagodne kręgi. Przemyslałem wtedy więcej niż przez całe moje życie.

W nocy Stephenson, staniając się na nogach, skierował się ku wyjściu. „Idę do mego syna — powiedział. — Żegnajcie!” „Spotkamy się — zapewniłem go. — Do widzenia! Nie chcesz dłużej cierpieć?” „A po co?” Cóż miałem mu odpowiedzieć? Po chwili usłyszałem wystrzał i przeżegnałem się.

Ta druga śmierć jeszcze bardziej wzmożyła moją rozpacz. „Zanim pomrzemy, zrzućmy wszystko do przepaści. Niech Kleben zostanie pozbawiony swojej diabelskiej nagrody za morderstwo” — powiedziałem do Van Busha. Zrozumiał mnie i przystał na propozycję. Gorączkowo zabraliśmy się do dzieła. Z naszych koszul skręciłem kilka grubych powrozów, po czym zapaliłem jeden z nich. Van Bush znosił złoto i skarby i układał je w stos nad brzegiem przepaści. Później on mi przyświecał, a ja pracowałem. Ożywiła nas jakaś dzika siła. Spieszyliśmy się, mogło bowiem zabraknąć światła. Żagwie nam się skończyły. Zdjęliśmy z siebie resztę bielizny i porobiliśmy nowe. Nie pamiętam, jak długo tak pracowaliśmy, ale wynieśliśmy wszystko z jaskini i zrzuciliśmy w otchłań. Gdyby pan wiedział, jak błyszcząły brylanty, kiedy je wysypywał!

Wreszcie pieczara była pusta. Długo jeszcze obchodziłem ją dookoła, przyświecając sobie ledwie tłącym końcem żagwi, i zbierałem to, co jeszcze tu i ówdzie leżało. Nie chciałem, by Klebenowi dostał się bodaj jeden pens!

Gdyśmy już skończyli z tym wszystkim, Van Bush wziął strzelbę i powiedział: „Chodźmy. Ty mnie pochowasz”. „Idź, zaraz przyjdę” — odrzekłem. Ale nie mogliśmy się już powstrzymać i rozplakaliśmy się. „Za co nas to spotkało?” — szepnął Van Bush. Bo i rzeczywiście, za co? Van Bush był dobrym człowiekiem.

Skierował się ku wyjściu ze słowami: „Popatrzę na niebo i umrę”. Złapałem się rękami za głowę, aby nie słyszeć wystrzału, a jednak go usłyszałem. Gdy stanąłem u wyjścia, nikogo tam już nie było. Zastrzelił się i spadł w głąb przepaści.

Przeżyłem jeszcze parę dni, a teraz siadłem, by do pana napisać. Pan tu jeszcze na pewno wróci. Proszę mi wybaczyć. Pozbawiłem pana wszystkiego. Teraz czas i na mnie. Żegnam pana, nie mogę już myśleć ani pisać.

— Ach — przerwał długie milczenie Ben. — Proszę mi dać te kartki, chcę jeszcze raz je przeczytać.

Przejrzał szybko list i w zadumie oddał Gentowi.

— Widzi pan — przemówił Gent — właściwie wcale nie żałuję skarbu. Żał mi tylko moich marzeń. Jestem ukarany. Nie trzeba było nic stąd zabierać.

— Nie trzeba było robić prezentów!

Gent nie odpowiedział. Wstał ciężko i w milczeniu ruszył do wyjścia. Ben postępował za nim. Na górze zatrzymali się nad przepaścią i ze smutkiem obnażyli głowy. Oddawszy tę ostatnią posługę zmarłym, Gent powiedział:

— Niech pan wraca do doliny, Sallas, i powie, że ja nadejdę później. Chcę pozostać tu chwilę sam.

Rozdział XX

OSTATNIA GODZINA

Gent usiadł na kamieniu i patrzył w dół. Ben już dawno odszedł. Caupere drzemał leżąc w słońcu. Rząd namiotów jaśniał w dolinie białymi cętkami, wokół których wznosiły się cieniutkie jak włos smugi dymu z płonących ognisk. Towarzysze czekali tam, aż Gent zejdzie ze skarbami, pełni nadziei na rozpoczęcie nowego życia, opromienionego sławą. Snuli już fantastyczne plany przyszłych przedsięwzięć, tak śmiałych, że aż graniczących z brakiem rozsądku. Lecz cóż on mógł im teraz przynieść?

— Pan wrócił, Sallas? — odezwał się w pewnej chwili, słysząc za sobą lekkie kroki. Obejrzał się i zerwał z kamienia. Przed nim stał Kleben.

Gent nie od razu go poznał. Morderca był brudny, straszliwie obdarty, wychudły i blady, z gołą głową. Jego gęste brwi poruszały się bezmyślnie, oczy płonęły. W rękę trzymał strzelbę.

Stali tak twarzą w twarz ci dwaj ludzie, tak krańcowo od siebie różni. Jeden uosabiał szaleńczą chciwość, drugi — nienawiść do bogactwa.

Kleben przemówił pierwszy:

— Czekałem na ciebie. Długo na ciebie czekałem, Gent!

— To on! — krzyknął nagle Caupere, który porwał się z ziemi i zamierzał rzucić na Klebena. — To była jego głowa! *Muzungu*, to on wyglądał wtedy zza skały!

— Czekaj, Caupere, zostaw go — powstrzymał go Gent. — Kleben, co się z panem dzieje? Od jak dawna jest pan tutaj?

— Od dawna, od bardzo dawna... — Kleben zaczął trzeć ręką czoło, jakby starając się coś sobie przypomnieć. — Dlaczego zabrałeś ze sobą kamienie i złoto?

— Nie było mnie tu i nic nie zabierałem. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, coś uczynił, Kleben? Zabiłeś swoich towarzyszy, czterech ludzi. Pamiętasz?

Kleben zachichotał.

— Łziesz, toś ty ich wprowadził i to wyście stąd wszystko wynieśli. Już ja dobrze wiem!

— Oszalałeś, Kleben!

— Gent, posłuchaj... Podziel się ze mną. Wiesz, ja tam w kącie zakopałem skrzynię pełną złota. Pójdziemy razem i dasz mi trochę, nie trzeba mi wiele.

Tu zaczął coś bełkotać głośno i niewyraźnie, mieszając bluźniercze modlitwy ze strasznymi wspomnieniami o zaginionym skarbie. W końcu wybuchnął przekleństwami. Owładnęła nim wściekłość. Wydawało się, że nie widzi Genta. Rozkładał ręce i wzruszał ramionami, spoglądając w dół.

— Odejdź! — powiedział Gent.

— Słuchaj, oddaj mi skarb! — ocknął się Kleben. — Zaklinam cię na Boga, oddaj mi to, co tak tam błyszczało i sypało iskrami. Oddaj wszystko! Oddaj!

— Ja nic nie mam! — przerwał mu Gent. — Zrozum to wreszcie i odejdz! Nie chcę z tobą więcej mówić!

Kleben umilkł. Nie patrząc na Genta, westchnął ciężko i zaczął się powoli oddalać. Zrobiwszy ze dwadzieścia kroków, przystanął nagle i wycelował w myśliwego.

W tym samym momencie strzelił i Caupere, ale chybił. Kleben nacisnął kurek. Echo dwóch wystrzałów potoczyło się przez góry aż do jeziora i doliny.

Gent drgnął, cofnął się o krok i usiadł. Kula przebiła mu pierś na wylot. I nagle wypadki potoczyły się z taką szybkością, z jaką ptak wzbija się w powietrze: Caupere rzucił się na Klebena i doścignął go w chwili, gdy ten uciekając potknął się i upadł. Murzyn zamachnął się dwukrotnie kolbą karabinu.

Rozległ się straszny, przeciągły krzyk.

Dysząc ciężko i drżąc na całym ciele, zrozpaczony i oślepiiony wściekłością Murzyn powrócił do swego pana. Gent leżał czując narastającą słabość, która czyniła jego ciało coraz lżejszym.

— Zabiłem go! — powiedział czarny. — I zabiłbym jeszcze raz!

Nagle spostrzegł krew ściekającą po plecach Genta i gorzko zapłakał.

— *Muzungu*, co ci jest?

— Nic. To śmierć — wyszeptał Gent. — Caupere, zejdz w dolinę. Mnie już pomoc nie możesz, jestem śmiertelnie ranny. Idź! Opowiedz im o wszystkim. Przyrowadź tu Bena... znieście mnie na dół... Tak, umieram... Żegnaj, Caupere! **B a d ż s o b i e z a w s z e w i e r n y!** Pamiętaj o tym, a będzie ci dobrze na świecie!

Zamknął oczy i w ciemności popłynął ku drugiemu brzegowi, skąd nie ma powrotu. Świadomość jeszcze go nie opuściła. Cieszył się, że nie czuje strachu. Jego zimne ręce znalazły się w mokrych od łez dłoniach Murzyna i po chwili cicho nadeszła śmierć.

SPIS ROZDZIAŁÓW

I.	Stanley udaje się w głąb Afryki	02
II.	Stanley i Gent	03
III.	Febra	06
IV.	Łowcy słońi	10
V.	Pieczara skarbów	12
VI.	Diabeł w karawanie	21
VII.	Spiskowcy z Zimbaueni	24
VIII.	Niewolnik Caupere	30
IX.	Lekcja uprzejmości	34
X.	Rozbójnik Mirambo	37
XI.	Usiłowanie zabójstwa	42
XII.	Oblężenie wysepki	46
XIII.	Las dzudżu	50
XIV.	Król N'Kombe	52
XV.	Livingstone	60
XVI.	Wielkie marzenie	66
XVII.	Arabska gościnność	69
XVIII.	Pożegnanie z Livingstone'em	71
XIX.	Dramat w pieczarze skarbów	74
XX.	Ostatnia godzina	79